



**NATALIA
PŁONKA**

**NIE
POKORNI**

NOVAE RES

NATALIA PŁONKA

NIEPOKORNI



NOVAE RES

Spis treści

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

Pierre zaciągnął się papierosem i rozejrzał dokoła: przy pierwszym stoliku siedziały cheerleaderki, zaraz potem koło naukowe, jeszcze dalej kolejni ludzie podzieleni na grupy i przyporządkowani do konkretnych miejsc w społeczeństwie. Każdy miał określoną rolę, nikt nie wyłamywał się z ram. Nie tworzono nowych grup, nie należano do kilku. Wszyscy byli tacy sami – monottonni, nudni, szampowi. Obrzydliwe.

Zniesmaczony chłopak ponownie włożył papierosa do ust i poczuł, jak dym odbywa swoją niezmienną trasę od gardła przez krtań aż do płuc, gdzie rozlewa się, przenikając wraz z krwią do wszystkich komórek ciała. Lubił to sobie wyobrażać – tuziny małych czerwonych krwinek pętających toksyczne związki i prowadzących jako więźniów do przypadkowych cel. Niby wolne, a jednak zamknięte w jego ciele.

Pierre odczuwał dumę z tego, że samotnie stał pod ogrodzeniem szkoły, a siatka za nim wpijała mu się w łopatki wystarczająco mocno, by być odczuwalną, ale za słabo, by wywołać ból. Chciał być sobą – a taki mógł być tylko we własnym towarzystwie. Nie dopasowywał się do nikogo, nie

narzucano mu, jaki ma być. Kimkolwiek się stał, był nim z wyboru.

Zawiał wiatr, zrobiło się chłodno. Ciemne chmury zasłoniły i tak blade już słońce. Chłopak ostatni raz wciągnął dawkę dymu, rzucił niedopałek na zieloną, wczesnowiosenną trawę, przydeptał go czarnym Martensem i odgarnąwszy z twarzy wpadające do oczu włosy oraz otuliwszy się mocniej skórzaną kurtką, ruszył w kierunku budynku szkoły.

Marcel siedział zamknięty w trzeciej kabynie męskiej ubikacji. Skulony na klapie sedesu, pisał w zeszycie opartym na podwiniętych kolanach. Nie mógł wyjść w obawie, że ktoś przechwyci notatnik i zacznie go czytać, a nie chciał się dzielić z nikim innym swoimi myślami – i tak by go nie zrozumieli.

Musiał pisać. Kiedy w głowie pojawiała się myśl, należało od razu przelać ją na papier. Nieuwięziona atramentem między okładkami zeszytu ulatywała, wracała zniekształcona albo uwierała gdzieś na dnie umysłu. Im bardziej starał się schwytać ideę, tym gwałtowniej się wyrywała – niczym śliska świeżo złowiona ryba, którą bezskutecznie próbowano utrzymać w dłoni, gdy ta jeszcze ostatkiem sił desperacko walczyła o życie. Nienawidził tego uczucia, dlatego zapisywał myśli natychmiast.

Postawił ostatnią kropkę i zahaczywszy długopis o okładkę, zamknął notes. Schował go do plecaka i podniósłszy się z miejsca, energicznie otworzył drzwi kabiny. Nie patrząc na innych, szybkim krokiem wyszedł na korytarz.

Camille i Viviane stały na środku korytarza, żywo rozmawiając i zmuszając zirytowanych ludzi do omijania ich. Mimo że wszyscy przyzwyczaili się do kolorowych zwiewnych sukienek, chustek, barwnych kwiatów, tandetnej biżuterii, niektóre zwyczaje przyjaciółek wciąż wywoływały westchnienia oraz przewracanie oczami. Chociaż to nie ich ubiór czy specyficzny styl były przyczyną braku znajomych, lecz odmienne od reszty poglądy, a także zachowania. Wbrew jednak powszechnej opinii, dziewczyny nie zawsze się ze sobą zgadzały. Nigdy nie brakowało im tematów do dyskusji i chyba właśnie ten antagonizm przyciągał je wzajemnie. Były egzaltowane, dostrzegalne.

Czasem odczuwały pragnienie rozmowy z kimś innym, świeżym. Siebie znały wystarczająco dobrze, aby łatwo określić, jaki pogląd będzie miała druga w niektórych sprawach. Na podstawie słów przyjaciółek wydawać by się mogło, że myśli te znikają równie szybko, jak się pojawiały, pod wpływem ciągłego przybywania nowych argumentów, perspektyw, a także nieustannego poznawania siebie. Ale do każdej z nich wracały jak natrętne komarzyce, które wbijają się w skórę, kąszą, by zostawić swędzącego, dokuczliwego bąbla, by co jakiś czas o sobie przypominać.

„Czy ja chcę iść na uniwersytet? Akurat ten? Po co? Czy ta nauka ma jakikolwiek sens? Przecież w każdej chwili mogę

wpaść pod metro...” - takie i inne myśli przelatwały przez głowę Philippe’a, kiedy siedząca na jego kolanach Brigitte całowała go łapczywie, rozmawiając jednocześnie z grupą przy stoliku i nie zauważając jego wewnętrznej nieobecności.

Koledzy także nie dostrzegli żadnej zmiany w zachowaniu chłopaka. Nathan, Bastien, Adrien i Antoine zachowywali się - jak zwykle pewni siebie - głośno i wulgarnie.

Byli najpopularniejsi w szkole. Każdy chciał należeć do tej elitarnej grupy lub chociaż upodobnić się do niej. Nie mieli zmartwień - życie i bogaci rodzice dawali im to, czego potrzebowali. Philippe był typowym przedstawicielem ich warstwy: zamożny, przystojny, korzystający z życia członek drużyny lekkoatletycznej.

Na początku czuł się dobrze w tym towarzystwie. Miał pewne miejsce w grupie, szacunek wśród kolegów, a jedyne, czego nie posiadał, to problemy. Czasem jednak odczuwał potrzebę rozmowy o czymś więcej niż najbliższy i ostatni piątek. Gdy próbował zainicjować dyskusję na inny temat, zostawał natychmiast uciszany. Liczyło się jednak to, że miał przyjaciół. Nie musiał spędzać przerw samemu.

Ocknąwszy się z rozmyślań, odwzajemnił pocałunek Brigitte, przeczesującej palcami jego blond włosy.

Camille i Viviane żywo dyskutowały, gestykułując, a wypieki na ich twarzach odzwierciedlały wszystkie emocje oraz kotłujące się w nich myśli.

- Ale anorektyczka, kiedy je, też ma wyrzuty sumienia,

a jedzenie przecież nie jest złe.

- Nie twierdzę, że cała moralność pochodzi od Siły Wyższej, ale są rzeczy, których żaden człowiek nie jest w stanie zrobić - broniła swojej tezy Viviane.

- To bez sensu - stwierdziła krótko Camille. - Przecież w takim wypadku nie powinno być zbrodni.

- Może to, co człowiek zwykł nazywać moralnością, wcale nią nie jest? - dziewczyny umilkły na dźwięk niskiego, męskiego głosu, obracając się w stronę jego źródła.

Tuż za nimi stał wysoki blady chłopak w martensach, czarnych dżinsach, T-shircie z logo Ramones i skórzanej kurtce. Wszystkie elementy garderoby były przetarte, podniszczone, ale widać było, że to skutek długotrwałego użytkowania, a nie fabrycznego zamiaru. W lewym uchu łobuzersko pobłyskiwał kolczyk. Podobnie jak w dolnej wardze, prawej brwi oraz lewym nozdrzu. Z jednej strony twarzy na czoło spadała mu grzywka, z drugiej był wygolony. Niebieskie oczy emanowały pewnością siebie, inteligencją oraz przekorą. Pachniał ostro - dymem papierosowym i imbirem. Delikatnie przekrzywił głowę w prawą stronę, sprawiając, że grzywka opadła na oko. Odgarnął ją bladymi, smukłymi palcami.

- W takim razie co nią jest? - spytała Camille, przekrzywiając głowę w identyczny sposób i uśmiechając się figlarnie.

Chłopak odwzajemnił grymas. Widząc to, Viviane westchnęła, wznosząc oczy ku górze. Była przyzwyczajona do tego, że przyjaciółka stale flirtowała, ale ciągle ją to

irytowało. W tym momencie zabrzmiał dzwonek na lekcję, i dziewczyna postanowiła interweniować:

- Wiesz, spotykamy się dzisiaj na grobie Morrisona na Père-Lachaise o siedemnastej - zwróciła się do chłopaka, który przeniósł teraz swoją uwagę na nią. - Jeśli chcesz, możesz dołączyć - i pociągnęła koleżankę za rękę w stronę sali, gdy ta jeszcze machała nowo poznanemu na pożegnanie.

Chłopak stał chwilę w miejscu, uśmiechając się i myśląc o dwóch zakręconych dziewczynach. Usłyszawszy jeszcze tylko, jak ta poważniejsza mówiła do rozchichotanej przyjaciółki „ogarnij się!”, zawrócił, mijany przez tłumy uczniów.

Nie był pewien, dlaczego wtrącił się do dyskusji. Rozmawiały głośno na intrygujący temat. W dodatku zdecydowanie wyróżniały się na tle pozostałych także wyglądem. Zaczął rozważać propozycję rzuconą przez jedną z nich. Przecież jedno spotkanie do niczego nie zobowiązuje, nawet nie musi się odzywać. Co prawda mieszka w innej części miasta, ale i tak będzie w okolicy - uczył tam jednego dzieciaka gry na gitarze. Pójdzie, posłucha - nic zobowiązującego.

„Po co ja tam właściwie idę?” - pytał samego siebie Philippe, zmierzając wzdłuż ogrodzenia cmentarza. Przecież te dziewczyny nawet go nie zaprosiły, po prostu przechodził obok. Coś go jednak do nich ciągnęło. Z jakichś nieznanym mu powodów chciał z nimi porozmawiać, zaintrygowało go to, że

stały z boku, miały tylko siebie, a przede wszystkim były ze sobą szczere. W miarę jak mijał kolejne mauzolea, czuł się coraz bardziej skrępowany i niepewny. Twarze z portretów nagrobnych i pomników patrzyły na niego, nie ukrywając ciekawości. Najwyżej powie, że nie przyszedł do nich, z cmentarza go nie wyrzucą.

„Ciekawe, czy ten chłopak, z którym rozmawiały, przyjdzie...” – właściwie nie powinno go to interesować. Przecież i tak nie miał zamiaru nic mówić, tylko słuchać.

„Czy ich rozmowa tak bardzo różni się od tej w mojej paczce? – myślał Philippe. – Czy ich relacja jest podobna do naszej...?”.

Sam nie wiedział, czego szukał i dlaczego to coś miałyby znajdować się między starymi mogiłami. Był świadom irracjonalności całego przedsięwzięcia – wpraszenie się na spotkanie, okłamanie Brigitte, niepójście na trening. Ale potrzebował czegoś świeżego, dusił się. Czuł, że musi pomyśleć. Im więcej ludzi przebywało w jego otoczeniu, tym więcej tlenu było wypompowane z jego płuc, a wraz z tlenem zabierano mu osobowość – kawałek po kawałku.

Nagle poczuł, jak jego ramię obija się o coś twardego. Oderwał wzrok od kępki trawy wyrosłej na startej, zniszczonej przez turystów oraz odwiedzających ścieżce i zobaczył znajomą twarz okoloną bujnymi blond lokami. Ciemne oczy obdarzyły go czujnym, nieufnym spojrzeniem. Philippe kojarzył go ze szkoły, lecz nigdy nie natknął się na niego w czasie przerwy. I nigdy nie słyszał, by mówił coś na lekcji.

- Przepraszam - odezwał się Philippe, schodząc na bok.
Marcel - tak miał na imię chłopak.

- Nie ma sprawy, moja wina - odpowiedział tamten i niepewnie się uśmiechnął, mocniej ściskając zeszyt, który otaczał ramionami w opiekuńczym geście.

Już chciał iść dalej, gdy Philippe znów otworzył usta.

- Wiesz może, jak dojść do grobu Morrisona? - zapytał, bo czuł, że zgubił się w marmurowym labiryncie.

- Tak - skinął chłopak. - Musisz iść... - podniósł dłoń, żeby wskazać odpowiedni kierunek, ale po chwili wahania opuścił ją. - Wiesz, pokażę ci, to dość skomplikowana trasa - zaproponował.

- Nie chcę zajmować ci czasu - zaczął natychmiast Philippe.

- Nic nie szkodzi i tak się nie spieszę - w jego głosie słyszalna była nuta czegoś na granicy smutku i żalu. - W ogóle jestem Marcel - przedstawił się.

Philippe w odpowiedzi uczynił to samo. Aż do miejsca docelowego nie zamienili już ze sobą ani słowa.

Stojąc w cieniu rozległego, pochylonego przez starość i wiatr drzewa, Pierre obserwował wydarzenia rozgrywające się w centrum nekropolii paryskiej. Gitara ciążyła mu na ramieniu, gdy wychylał się zza pnia, by lepiej widzieć, a jednocześnie pozostać niezauważonym. Chciał najpierw dopalić napoczętego papierosa.

Obie dziewczyny siedziały na mogile frontmana The Doors

- ta śmielsza z rozprostowanymi nogami, druga ze skrzyżowanymi. Na kolanach miały otwarte zeszyty, pomiędzy nimi stała butelka wina, po którą właśnie sięgała jedna z nich. O nagrobek oparte były ich torby.

Chłopak rozejrzał się dokoła i po drugiej stronie dostrzegł dwie sylwetki zbliżające się do grobu piosenkarza. Myślał, że będą tylko dziewczyny. Nagle wraz z wydychanym dymem uleciała cała jego dotychczasowa pewność siebie. Nie przewidział, że będzie tu ktoś jeszcze.

Zaczął się wahać, czy na pewno chce zostać. Gdy figury podeszły bliżej, rozpoznał jedną z nich - Philippe'a. Rozpieszczonego bachora ze szkoły, który myślał, że wszystko mu się należy. Pierre poczuł, jak narasta w nim gniew. Wiedział, że nie może o nic obwiniać dziewczyn, a jednak to robił. Nie podobało mu się, że zadają się z kimś takim. Straciły właśnie cały swój urok. Nie były już tajemnicze ani oryginalne, ale tak samo żałosne jak wszyscy. Już chciał odejść, zacząwszy się odwracać, kiedy usłyszał dźwięk tłuczonego szkła - uderzył gitarą o jeden ze zniczy, które stały na najbliższym pomniku. Przeklął pod nosem. Usłyszał za plecami poruszenie i wiedział, że już nie da rady wycofać się niezauważenie.

- To się nazywa wielkie wejście - powiedziała ze śmiechem jedna z dziewczyn i podeszła do chłopaka, by pomóc mu zbierać szkło.

Druga ostentacyjnie odwróciła wzrok i ujrzała dwie męskie sylwetki - wątlą w czarnej workowatej bluzie

i muskularną w kurtce szkolnej drużyny lekkoatletycznej, opinającej szerokie barki noszącego ją. Viviane była zła na przyjaciółkę za to, że robi maślane oczy do wszystkich. Mimo że to ona zaprosiła tego chłopaka na cmentarz, czuła złość, że się pojawił. Miała nadzieję, że nie przyjdzie. Wiedziała, że Camille będzie nim teraz całkowicie zaaferowana.

Uśmiechnęła się jednak do nadchodzących, machając im wesoło. Ośmieliło ich to trochę, i podeszli bliżej. Dziewczyna nie wiedziała, dlaczego się pojawili, ale postanowiła improwizować.

- Do nas? - zapytała, w duchu zadając sobie pytanie, co robi i do czego to doprowadzi. Mogli być psychopatami, zabijającymi na cmentarzu, żeby nie musieć szukać miejsca na pochowanie zwłok. - Jestem Viviane, a tamta to Camille - przedstawiła siebie oraz przyjaciółkę.

- Philippe - sportowiec wyciągnął ku niej rękę.

Ucieszył się, że tak łatwo poszło. Nie miał żadnego planu działania i chwilę temu zastanawiał się, czy nie zawrócić albo nie powiedzieć, że chciał tylko złożyć hołd piosenkarzowi. Był wdzięczny dziewczynie za przejęcie inicjatywy.

Drugi chłopak zawahał się, zanim wyjawiał imię. Ani nie był zaproszony, ani nie planował tu przychodzić, nie znał tych dziewczyn. Spojrzał na kolana siedzącej i dostrzegł do połowy zapisany zeszyt.

- Marcel - powiedział ostatecznie.

Ktoś, kto prowadzi notatnik, nie może być ogarniętym furją Hannibalem Lecterem. Poza tym i tak nie miał co robić. Może to nie przypadek, że znalazł się tu akurat w tym samym

czasie, co ta dziwna zbieranina.

- Siadajcie - Viviane wskazała na grób i podkuliła nogi, żeby wszyscy zmieścili się na płycie.

Philippe poczuł się nieswojo. Było coś niewłaściwego w siadaniu na miejscu czyjegoś spoczynku, a jednocześnie ta nowość dodawała mistyki, owiewała tajemnicą i tak skryte postaci dziewczyn. Posłusznie usiadł na zimnym kamieniu obok Viviane. Zaraz za nim to samo zrobił Marcel, przez którego głowę przebiegła myśl o zapaleniu pęcherza, ale ostatecznie presja grupy wygrała.

W tym samym czasie do siedzących podszli roześmiani Camille oraz chłopak z gitarą. Spędzili ze sobą właśnie pełne trzy minuty, a dziewczyna zachowywała się, jakby znała go od dawna.

- O, widzę, że grono się poszerza - posłała uśmiech zgromadzonym. - To jest Pierre - wskazała na chłopaka, po czym usłyszała imiona pozostałych.

Usadowiła się obok przyjaciółki, a zaraz koło niej usiadł Pierre. Jego zdenerwowanie sprzed chwili minęło. Był swobodny. Ściągnął gitarę i położył ją na ziemi obok toreb dziewczyn.

- Miałyśmy dzisiaj rozmawiać o moralności - zaczęła Viviane - ale chyba najpierw wypadałoby się poznać - spojrzała na przyjaciółkę. - Nasz drinking game? - zwróciła się do niej, a ta w odpowiedzi energicznie pokiwała głową, jednak widać było, że coś jej się nie podobało. Nie do końca była swobodna.

- Zasady są proste - zaczęła wyjaśniać. - Zadaje się danej

osobie pytanie, jednak zanim odpowie, musi wypić nakazaną ilość alkoholu. Taka wariacja na temat „Dwudziestu pytań” naszego autorstwa. Kreatywniejsza i bardziej szczerza – skończyła, sięgając po zamkniętą jeszcze butelkę i próbując ją odkorkować.

Pierre wyjął ją z jej rąk, po czym sam otworzył. Marcelowi wydawało się, że Viviane lekko drgnęła, ale nie był pewien.

- My zaczniemy, żebyście złapali, o co chodzi – powiedziała Viviane, patrząc na przyjaciółkę. Zastanawiała się chwilę, po czym zakomenderowała: - Dwa duże hausty. - Camille posłusznie wypila nakazaną ilość i odłożyła butelkę. - Jaki jest największy grzech, który popełniłaś dzisiaj? - zadała bezkompromisowe pytanie, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

Ta po chwili namysłu odpowiedziała:

- Dzisiejszego dnia... - słychać było, że alkohol zaczyna działać. Wszyscy zwrócili głowy w jej stronę. Dziwnie się czuli. Nie przewidywali takiej bezpośredniości w pytaniach, a tym bardziej całkowitej powagi i szczerości w odpowiedziach. - Wykradłam mamie wino z barku! - roześmiała się jak wariatka. Widać było, że ma słabą głowę.

Viviane pokręciła głową ze smutkiem, a także czymś jeszcze, czego nie sposób było odgadnąć. Po tym drobnym geście znów zwróciła się do pozostałych z uśmiechem. Zupełnie jakby nałożyła inną twarz:

- Teraz już mniej więcej wiecie, na czym to polega. Jest jeszcze reguła, że ostatnio pytany wybiera kolejną osobę i wymyśla dla niej pytanie, więc ja bym na waszym miejscu już

zaczęła się bać – dokończyła i położywszy ręce za plecami, oparła się na nich.

- To teraz ja wybieram! – Camille rozejrzała się po zgromadzonych. Wszyscy byli jeszcze trochę onieśmieleni. – Jacyś chętni?

Nikt się nie zgłosił.

- Do odważnych świat należy – siedzący obok niej Pierre uśmiechnął się i sięgnął po butelkę.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

- Dwa małe hausty – poleciała, a chłopak posłusznie wychylił płyn. – Dlaczego podszedłeś do nas na korytarzu?

- Zaintrygowałyście mnie – odrzekł, będąc jeszcze całkowicie trzeźwym. – Wszyscy pieprzą albo o głupotach, albo siebie nawzajem. – Przy tych słowach Philippe drgnął ledwie zauważalnie. – A wy całkowicie na poważnie dyskutujecie o moralności – w jego oku pojawił się szelmowski błysk, kiedy spojrzał prosto na Viviane. – To pociągające – dodał, a kolczyk w jego wardze zamigotał łobuzersko, odbijając jeden z niewielu padających dzisiaj z nieba promieni słonecznych.

Camille, ośmielona winem, odpowiedziała odważnym spojrzeniem. Viviane odwróciła od nich wzrok.

Po chwili odezwał się Pierre:

- No to teraz Marcel – uśmiechnął się i widząc nieśmiałość chłopaka, nakazał cztery duże hausty.

Marcel trochę się przeraził i niepewnie sięgnął po butelkę z trunkiem. Przyłożył ją jednak do ust, uczciwie wypijając przeznaczoną dla niego ilość. Poczuł, jak płyn posuwa się

w dół przez przelyk aż do żołądka, by zejść niżej, a stamtąd trafić do wszystkich zakamarków jego ciała. Zaszumiało mu w głowie. Spojrzał w oczekiwaniu na pytającego. Nagle poczuł się o wiele lepiej. Nie trzymał już zeszytu tak kurczowo.

- Od jak dawna się tu spotykacie? - zapytał oględnie Pierre.

Przede wszystkim interesowało go, jak długo przychodzą tu Marcel z Philippe'em - nie widział ich rozmawiających w szkole ani ze sobą, ani z dziewczynami.

Marcel mieszał się początkowo, ale po chwili znów poczuł odprężenie.

- Nie wiem, jak długo spotyka się reszta, ale ja jestem tu pierwszy raz - odpowiedział. - Nawet nie planowałem tu przyjść, nie wiedziałem, że coś się szykuje. Byłem na grobie Wilde'a, a...

- Co robiłeś u Wilde'a? - wyrwała się Viviane, ale natychmiast została uciszona i przypomniano jej, że to nie ona teraz zadaje pytania.

Atmosfera robiła się coraz luźniejsza i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- No więc byłem u Wilde'a i spotkałem Philippe'a - spojrzał na siedzącego obok chłopaka. - Zapytał, czy wiem, jak dojść do Morrisona, to go przyprowadziłem - zrobił pauzę. - Właśnie, wiedziałeś, że tu się coś wyprawia? - zwrócił się do znajomego, a potem sobie o czymś przypomniał i dodał: - A, dwa małe hausty! - czym wywołał kolejną salwę śmiechu zgromadzonych.

Philippe, wśród znajomych tak pewny siebie, stracił rezon

i wypiwszy podaną ilość wina, odpowiedzieli:

- Tak. - Zwrócił uwagę wszystkich, bo nikt nie spodziewał się takiej odpowiedzi. - Wiem, że się wprosiłem, przepraszam - zaczął się usprawiedliwiać. - Po prostu usłyszałem, jak mówiliście Pierre'owi o spotkaniu, i pomyślałem, że w sumie chciałbym się dołączyć, przepraszam - spuścił głowę w poczuciu winy.

- Już się nie tłumacz, tylko pytaj kolejną osobę - powiedziała Viviane. Chłopak pozostawał dla niej zagadką. Pierre'a zaprosiły, Marcel znalazł się tu przypadkiem, a Philippe po prostu przyszedł. Wiedział, że tutaj będą. Nie znał nikogo, a mimo to przybył. Kojarzyła go ze szkoły - był jednym z tych bogatych. Miał dziewczynę i raczej nie wyglądał na takiego, który zadawałby się z frajerami jak oni bez powodu. Co znaczy, że jakieś powody istniały. Na twarzy chłopaka malowała się wdzięczność za niedrażnienie tematu, postanowiła więc zakończyć sprawę.

- No, to teraz twoja kolej - zwrócił się w jej stronę z uśmiechem i zamilkł na chwilę w zamyśleniu, kiedy dziewczyna sięgała po butelkę. - Trzy duże hausty. - Dziewczyna spełniła polecenie i czekała na pytanie. Poczowała, jak alkohol uderza jej do głowy. - O co chodziło, kiedy powiedziałyście, że miałyście rozmawiać o moralności? - zapytał o coś, co go interesowało i co, jak miał nadzieję, zbliży go do towarzystwa.

- Zawsze tak robimy - dziewczyna odpowiedziała z uśmiechem. - Umawiamy się na spotkania skupiające się na jakimś konkretnym zagadnieniu i wszystko spisujemy - uniosła

zeszyt z kolan - żeby za parę lat zajrzeć do notatek i porównać nasze poglądy - dokończyła, po czym chwyciła butelkę, wyciągając ją w stronę Philippe'a. - Zeruj - powiedziała, nie panując nad sobą po wypiciu trunku.

Chłopak zdziwił się nie tylko dlatego, że został ponownie wybrany, ale także słysząc komendę. Wszyscy podążyli spojrzeniem od dziewczyny do dopiero w połowie opróżnionej butelki. Philippe jednak posłusznie wypił pozostały płyn i poczuł, jak coraz bardziej kręci mu się w głowie. Spojrzał na Viviane mętnym wzrokiem, a ta - zadała pytanie, mrużąc oczy:

- Dlaczego przyszedłeś? - Gdy tylko zobaczyła minę chłopaka, natychmiast pożałowała. Przecież miała nie ciągnąć tematu.

Żrenice Philippe'a się rozszerzyły. Spuścił wzrok, zmieszany. Wszyscy byli pewni, że nie odpowie. Po chwili jednak wziął głęboki wdech i otworzył usta:

- Męczę się - zaczął, uciekając spojrzeniem. - Myślę, że mam idealne życie: imprezy, pieniądze, piękna dziewczyna - zrobił krótką pauzę i zaczął nerwowo wykręcać palce - ale prawda jest taka, że życie to coś więcej. Nie mówię o tym, co jest po życiu, ale o doczesności - jego głos stał się żywszy, pewniejszy, wzmocniony alkoholem. - Oni wszyscy są jak pędząca kolej elektromagnetyczna bez możliwości zatrzymania. Ale mi zrobiło się niedobrze od tej prędkości. I muszę wyskoczyć z tego pociągu, bo w każdej chwili może się on wykoleić.

Wszyscy słuchali w milczeniu. Atmosfera była ciężka, nikt nie spodziewał się aż takiej wylewności. Chłopak był jak

w transie, spojrzenie miał utkwione gdzieś w przestrzeni. W końcu się ocknął.

- Lepiej już pójdę - zaczął się podnosić z nagrobka i otrzepywać spodnie z piachu. - Przepraszam, że wam przeszkodziłem, nie chciałem się mieszać - zaczął powoli odchodzić.

- Nie, czekaj - gwałtownie odezwała się Viviane. - Nie przeszkodziłeś, po prostu byłem ciekawa, nie chciałam być złośliwa. Nie spodziewaliśmy się po prostu, że...

- Że taki tępak z drużyny może myśleć? - przerwał jej gwałtownie. W jego głosie nie było gniewu, tylko smutek. Jakby sam wierzył w to, co właśnie powiedział.

- Nie to miałam na myśli - podjęła znów dziewczyna, płacząc się coraz bardziej.

- Stary, to normalne, masz prawo czuć się przytłoczony - po raz pierwszy od początku spotkania Marcel odezwał się z własnej woli. - Masz prawo wyskoczyć na peron. Masz prawo wyjść do innego przedziału i otworzyć okno. Możesz zostać tam, gdzie jesteś. Nie masz tylko prawa do rzucenia się na tory - zakończył, dezorientując wszystkich.

- Naprawdę, muszę już iść - powtórzył tylko Philippe i nie żegnając się, zrobił zwrot, zostawiając skołowane towarzystwo wpatrzona w jego oddalającą się sylwetkę.

- Jutro też tu będziemy! - usłyszał jeszcze, tylko nie był pewien, do kogo należał głos.

Chłopak czuł się nieswojo - jeszcze nigdy nikomu nie zwierzał się w ten sposób. Nie był pewien, czy to alkohol, czy nowe towarzystwo tak na niego podziałały.

Najprawdopodobniej jedno i drugie. To wyznanie, ta myśl tak długo już go dręcząca, oddzielała go do tej pory od świata. Oddzielała go od kogoś, kim stał się przez ostatnie lata. Pozbywszy się jej, był nagi, bezbronny. Mur, broniący przed innymi i nim samym, został zburzony. Chłopak wiedział, że już nigdy nie uda mu się go odbudować.

Najpierw szedł wolno, jednak w miarę jak jego serce przyspieszało, krok nabierał tempa. W końcu zaczął biec. Chwiał się na boki i obijał o marmurowe pomniki, wyznaczające wąskie dróżki. Wiatr wiał mu w twarz, osuszając łzy, piekąc wargi i szarpiąc włosy. Próbował nie myśleć o słowach Marcela, ale te cały czas kołatały mu się po głowie. Miał nadzieję, że wiatr je stamtąd wypłoszy, ale on tylko zwiększał ich prędkość i powodował, że obijały się o siebie nawzajem, robiąc jeszcze większy zamęt. Wiedział, że jeśli wyskoczy z pociągu, nie da rady wrócić, ale nie chciał w nim zostawać. Musiał coś wybrać, bo położenie się na torach nie wchodziło w grę.

Zahaczył nogą o jeden z nagrobków i upadł. Oparł się o zimny kamień, który chłodził jego rozgrzane emocjami, alkoholem i biegiem ciało. Kiedy przekraczał bramę nekropolii, nie przypuszczał, że ktoś jednym bezczelnym, a zarazem tak prostym pytaniem, odbierze mu skrzętnie skrywaną część jestestwa. Tę, która aż do tej pory tak solidnie oddzielała prawdę od fałszu.

Na grobie zapanowała cisza. Nikt na nikogo nie patrzył,

jednak od czasu do czasu zerkano na załamana Viviane, która ukryła twarz w dłoniach. Po krótkiej chwili Camille zwróciła się w jej stronę:

- To nie twoja wina - zaczęła gładzić ją po ramieniu. - Nie chciałaś nic złego, zadałaś takie pytanie, jakie otrzymał tu dzisiaj każdy. Wiedział, na co się zgadza, kiedy podałam zasady gry.

Viviane poczuła narastający gniew. Na siebie za to, że nie umiała ugryźć się w język. Na Camille, że podrywa Pierre'a, na którego też była zła. Na Marcela, że pokazał Philippe'owi drogę do grobu. I na samego Philippe'a, że zamiast trzymać się swoich rozpieszczonych znajomych, postanowił nagle wyskoczyć na peron.

W tym momencie Pierre sięgnął po gitarę i zagrał parę znanych akordów, intonując:

- *No, woman, no cry...*

Wszyscy się odwrócili. Camille spojrzała na niego z wdzięcznością i dołączyła.

Ośmielony Marcel zaczął wystukiwać rytm na okładce swojego zeszytu - lubił ten utwór. Wszyscy myśleli, że na tym się skończy, ale Pierre zaśpiewał całą zwrotkę. Głos miał głęboki, lekko zachrypnięty z powodu wypalonych papierosów:

*Cause I remember when we used to sit
In the government yard in Trenchtown,
Oba - obaserving the 'ypocrites
As they would mingle with the good people we meet.
Good friends we have, oh, good friends we've lost*

Along the way.

In this great future, you can't forget your past;

So dry your tears, I seh. [\[1\]](#)

Na refren wszyscy się dołączyli. Przy jego trzecim wersie Viviane uśmiechnęła się lekko, a przy czwartym sama zaczęła śpiewać. Camille wstała i zaczęła tańczyć. Wkrótce przyjaciółka poszła w jej ślady. Pierre zaśpiewał kolejną zwrotkę solo, a przy *Everything's gonna be all right!* każdy krzyczał i ruszał się do wystukiwanego rytmu.

Mają rację – pomyślała Viviane. – Philippe nie wyskoczy z pociągu, boi się. A my nie jesteśmy pasażerami tej kolei. To nawet nie my kazaliśmy mu ją opuszczać. On jeszcze nie zdecydował, gdzie chce pojechać – to była ostatnia myśl dziewczyny, zanim została całkowicie pochłonięta przez muzykę.

Następnego dnia pierwszą lekcją Marcela był angielski. Jak zwykle usiadł samotnie w ostatniej ławce, kładąc na podręczniku swój notes. Rozejrzał się po klasie i zobaczył wchodzącego i lustrującego otoczenie Philippe'a. Natrafiwszy na wzrok Marcela, który niepewnie się do niego uśmiechał, chłopak skinął mu głową i podążył w kierunku Brigitte.

Marcel nie poczuł się zignorowany czy obrażony. Nie oczekiwał, że nowy znajomy będzie z nim rozmawiał. Było mu go żal. Wiedział, że jest kimś więcej niż mięśniakiem obściskującym się z dziewczyną i imprezującym co piątek. Chłopak wypierał się samego siebie w zamian za możliwość przynależności do najbardziej elitarnej warstwy społeczności szkolnej. Marcel go nie osądzał. Rozumiał, że nie każdy jest tak jak on samotnikiem, który lepiej się czuje w pojedynkę niż w stadzie. Niejasne było dla niego tylko to, że Philippe nie wybrał ludzi podobnych sobie, ale sam upodobił się do nich.

Znów spojrzał w jego kierunku. Zobaczył, jak chłopak wita się z kolegami, całuje blondwłosą piękność i siada na ławce. Nie była to ta sama osoba, która poprzedniego dnia przysłała na cmentarz i otworzyła się przed czworgiem nieznajomych.

Philippe czuł się nieswojo pod badawczym okiem kolegi. Ciężył mu na plecach jego wzrok. Próbował się skupić na otaczających go ludziach, ale nie potrafił. Gdy tylko zobaczył twarz Marcela, przypomniał sobie wydarzenia mające miejsce na cmentarzu. Nie mógł opędzić się od wspomnień, które wracały jak natrętne muchy. Był rozdarty, jakby stał na brzegu morza – chciał przejść na drugą stronę, ale nie miał ochoty zanurzać się w wodzie ze strachu przed utonięciem. Musiał jednak coś wybrać. Nie był Mojżeszem, tylko zagubionym chłopakiem, wahającym się przed zrobieniem kolejnego kroku w życiu.

Poprzedniego dnia po odejściu Philippe'a atmosfera uległa zmianie. Wszyscy naprawdę dobrze się dogadywali. Śpiewali, rozmawiali i grali w „dwadzieścia pytań” – tym razem bez alkoholu. A potem po prostu siedzieli, w milczeniu obserwując krwisty zachód słońca. Potem dziewczyny wróciły razem, Pierre poszedł na metro, a Marcel do domu, bo mieszkał blisko cmentarza. Przed snem spisał wszystkie minione wydarzenia w zeszycie i długo jeszcze leżał, patrząc na gwiazdy przez okno dachowe, nie umiając pograżyć się w zapomnieniu. Nie uważał do tej pory, żeby jego życie było nudne. Wczoraj jednak poczuł, że do tej pory czegoś mu brakowało. Jakby widział tylko trzy kolory tęczy i nagle został poinformowany, że istnieje szersza gama. Rozmowa z tymi ciekawymi, tak różnymi, lecz pasującymi do siebie ludźmi, była dla niego zupełną nowością.

Teraz odczuwał strach przed rozpoczynającym się dniem. Nie wiedział, czy wypada mu rozmawiać z Pierre'em

i dziewczynami, czy będą przyznawać się do znajomości z nim. Nie chciał się narzucać. Wkrótce jednak, pogrążony w lekcji, zapomniał o tych dylematach, a po dzwonku mechanicznie podążył w kierunku toalety.

Camille i Viviane wyszły na przerwie przed budynek szkoły. Dzień był słoneczny, o wiele przyjemniejszy niż wczorajszy. Czuć było wiosnę. Dziewczyny usiadły na ciepłej, ogrzanej przez złote promienie trawie i zapatrzyły się w przestrzeń. Pierwsza odezwała się Camille:

- I co sądzisz o naszych nowych znajomych? - spytała z uśmiechem.

Viviane spojrzała na nią wolno i odpowiedziała z namysłem:

- Sympatyczni - zaczęła. - Nawet nie wiedziałam, że chodzą do naszej szkoły, ale nie widziałam dzisiaj jeszcze żadnego z nich - zauważyła. - Ciekawe, czy przyjdą jeszcze na cmentarz?

Początkowo dziewczyna nie była zachwycona tą perspektywą. Czuła złość na myśl, że ktoś zaburzy ich rytuał. Kultywowały go, odkąd pierwszy raz usłyszały piosenkę *Light my fire* Doorsów. Zawsze odstawały zainteresowaniami i tematami rozmów od reszty, ale wtedy właśnie znalazły stałe miejsce dla wymiany myśli, które stało się ich prywatną świątynią, będącą świadkiem tylu historii: pierwsze zauroczenia, próby poetyckie, występy wokalne zarezerwowane tylko dla nich, smak pierwszych alkoholi.

Nigdy co prawda nie ustaliły jasnych zasad dotyczących charakteru spotkań, ale dziewczyna i tak miała poczucie złamania jakiejś reguły. Jakby intruzi wtargnęli do pilnie strzeżonego budynku. W miarę upływu czasu spędzonego wczoraj na cmentarzu, przekonywała się do nowych znajomych i wbrew sobie pałała do nich coraz większą sympatią. Wciąż jednak było jej żal, że straciła te najbardziej intymne chwile spędzane z przyjaciółką. Odczuwała zazdrość, ale nie powiedziałaaby tego na głos – duma nie pozwalała przyznać się do tego, że jest spychana na bok. Viviane miała świadomość, że nie może wymagać od Camille, aby ta była dla niej na wyłączność.

- A ty co myślisz? – odbiła pytanie i zobaczyła, jak na twarzy przyjaciółki wykwita uśmiech.

To Camille zawsze była bardziej wylewna i śmielsza. Miała dużo zalet, ale także wiele wad, które irytowały Viviane, a przy dzikim charakterze przyjaciółki były tym bardziej odczuwalne. Camille więcej mówiła o sobie, nie zawsze realnie oceniała swoje możliwości i czasem przeceniała samą siebie. Do tego, w przeciwieństwie do przyjaciółki, nie miała problemów z nawiązywaniem nowych kontaktów, czego ta zawsze jej zazdrościła. Kiedy Viviane poznała kogoś, była co prawda swobodna i lubiana, ale nie potrafiła powiedzieć pierwszego słowa, wykonać inicjalnego gestu.

- Milusi – zaczęła Camille, ale jej przyjaciółka wiedziała, że to dopiero początek. – Marcel na początku był nieśmiały, ale kiedy się otworzył, to naprawdę fajnie się z nim rozmawiało. Tylko strasznie niepewny siebie... No i poważny,

trzeba go będzie trochę otworzyć – dziewczyna mrugnęła do koleżanki, a ta już w duchu pożałowała chłopaka. – A Pierre też niczego sobie – uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Cwaniaczek. Tego znowu będzie trzeba nauczyć pokory – roześmiała się, jakby właśnie opowiedziała bardzo zabawny żart.

Fascynował ją ten chłopak. Nie była pewna, czy naprawdę go zainteresowała, czy prowadził jakąś gierkę, ale postanowiła nie rezygnować, dopóki dobrze się bawiła. Nie traktowała chłopaków poważnie, a ten nie stanowił wyjątku. Był dokładnie taki, jak oni wszyscy – zabawny, pewny siebie, nieposzukujący stałego związku, robiący dziewczynom wodę z mózgow i serc. Trafił jednak na równego przeciwnika.

O wiele bardziej interesował Camille skryty i zakompleksiony Marcel. Nie był pewny własnych atutów i właśnie to w nim pociągało, różniło od większości chłopaków. Mimo tych rozmyślań, dziewczyna miała swój honor i nie podrywałaby obu chłopaków naraz. Zabawa z kimś, kto tak jak ona nie był zainteresowany niczym poważnym, to jedno, ale wzbudzanie nadziei w osobie, do której uczuć nie jest się pewnym, stanowiło zupełnie inną sprawę. Najpierw musi wyczuć obu chłopaków – jedno spotkanie to za mało na wydawanie sądów ani co do nich, ani co do samej siebie.

Viviane westchnęła. Doskonale znała tryb życia przyjaciółki i zdecydowanie jej się on nie podobał. Camille przeprowadzała operacje na otwartych sercach jak wprawny kardiochirurg, ale czasem zapominała, że jeden fałszywy ruch może decydować o życiu pacjenta. Między innymi dlatego

dziewczyna nie lubiła, kiedy przyjaciółkę zbyt ponosiła fantazja - najpierw była delikatna i fundowała chłopakom przejażdżkę na latającym dywanie, potem zabierała na romantyczny spacer, a na koniec rozgniałała jak buldożer. Czasem mieli do tego taki sam stosunek jak ona, innym razem przeżywali boleśnie rozstanie. W obu przypadkach dostarczając tyle samo satysfakcji dziewczynie, która po chwili o nich zapominała. To Viviane przeżywała za nią wyrzuty sumienia, żałując ofiar bardziej niż sprawcy krzywd. Mimo tego, że chłopcy wtargnęli w ich rytuał, nie chciała ich cierpienia.

- Tylko nie złam mu serca - przestrzegła przyjaciółkę, a ta popatrzyła na nią z miną niewiniątka. - Nie złam im serc - poprawiła się Viviane, rozpoznając iskry igrające w oczach Camille.

Nagle zauważyły, że przykrył je cień. Podniosły wzrok i zobaczyły Pierre'a, zupełnie jakby chłopak znał temat ich rozmowy.

- Dzień dobry - zwrócił się do nich z szelmowskim uśmiechem, którego symetrię zaburzał kawałek metalu utkwiony z lewej strony.

- Czemu zawdzięczamy to miłe towarzystwo? - Camille przejęła inicjatywę, nim Viviane zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Nie rozmawialiśmy o moralności.

Pierre'owi podobał się temperament tej dziewczyny. Potrafiła być poważna, ale pozwalała sobie na flirty. Viviane była inna, trzymała dystans, było w niej coś niepokojącego, sprawiającego, że w jej towarzystwie nie czuł się swobodnie.

Przykucnął tak, że miał twarz na wysokości rozmówczyń.

- Czasami warto zapomnieć na chwilę o moralności - mruwnął do Camille. - Właściwie chciałem zapytać, czy masz po szkole trochę czasu.

- Pytaj - kontynuowała dziewczyna, coraz bardziej zaabsorbowana rozgrywką.

Viviane nagle poczuła się nieswojo. Gdyby mogła, najchętniej by zniknęła, ale to zwróciłoby na nią uwagę rozmawiających.

- Czy masz po szkole trochę czasu? - Pierre także czerpał coraz więcej frajdy z przekomarzań.

- To zależy... - Camille uniosła brwi i spojrzała wyzywająco na rozmówcę.

Rzuciła mu rękawicę, którą ten bez zawahania podniósł:

- Od czego?

Odzwierciedlił jej gest brwiami.

- Od tego, czy zapomnimy o moralności - powiedziała z satysfakcją, patrząc mu prosto w oczy.

Nachylił się w jej stronę tak blisko, że czuła teraz jego nikotynowy oddech na swojej szyi. Po krótkiej pauzie wyartykułował wolno, ściszoneg głosem:

- Nigdy o niej nie pamiętam - wstawszy, odwrócił się. Wyciągnął papierosa, zapalił go, wciągnął dym i znów spojrzał na dziewczynę. - Będę czekał przed szkołą - mruwnął do niej i odszedł.

Camille śledziła jego oddalającą się sylwetkę. Viviane spojrzała na koleżankę i, po raz sto trzydziesty szósty w ciągu ostatnich dwóch dni, przewróciła oczami.

- O, proszę was! - w jej głosie słychać było politowanie. - Ten cały wstęp był naprawdę potrzebny?

Camille tylko się do niej uśmiechnęła.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć - poklepała przyjaciółkę po ramieniu - mój młody padawanie - dodała z filozoficzną miną, po czym znów się roześmiała, wstała energicznie i wyciągnęła ręce w stronę siedzącej, żeby ją podnieść.

Viviane i Camille wyszły ze szkoły. Słońce świeciło jeszcze intensywniej niż wcześniej.

- Przyjdiesz potem na cmentarz? - Viviane spytała odchodzącą już przyjaciółkę, nie będąc pewną, czy spotkanie nie zostało anulowane z powodu Pierre'a.

Camille uśmiechnęła się:

- Spokojnie, będę, przecież bym cię nie wystawiła - zapewniła, jednak nie uspokoiło to dziewczyny.

Po drugiej stronie podwórka stał Pierre z papierosem w ustach. Dziewczyny pożegnały się i podążyły w różnych kierunkach: jedna w lewo, a druga przed siebie, do chłopaka w czerni, który na jej widok z uśmiechem wyciągnął papierosa z ust.

- Mogę palić? - spytał, odrywając plecy od siatki.

- Dlaczego palisz? - dziewczyna bezceremonialnie sięgnęła po skręta i rzuciwszy go na ziemię, przydeptała tłącą się końcówkę.

Chłopak zmarszczył czoło tak, że jego brwi prawie się

zbiegły.

- Ci wszyscy idioci myślą, że papieros w jakiś magiczny sposób robi z nich lepszych niż są w rzeczywistości - zaczęła wyjaśniać. - A ty nie wydajesz się być taki jak oni. Nawet się z nimi nie zadajesz, stojąc na uboczu, co swoją drogą też jest...

- Podniecające? - przerwał jej, unosząc jedną brew i zbliżając twarz do dziewczyny.

- Interesujące - odsunęła jego głowę dłonią, uśmiechając się. - I nie zmieniaj tematu!

Chłopak spoważniał. Zamyślił się i mechanicznie sięgnął do kieszeni, wyciągając zapalniczkę wraz z nowym papierosem, którego natychmiast odpalił, gwałtownie wciągając dym do płuc. Przytrzymał go tam chwilę, wypuścił siwy obłok wolno, z westchnieniem.

- Wszystko przez to, że wszyscy są identyczni - zrobił krótką pauzę. - Dlatego jestem samotnikiem, bo chcę być sobą. Nie dlatego, że nie chcę towarzystwa. Lubię rozmawiać, ale oni wszyscy są nudni - kopnął kamyk, który znalazł się w zasięgu jego buta. - Nie chcą ciebie, chcą swojego wyobrażenia o tobie - ostatnie zdanie zawisło w powietrzu niczym straceniec na szubienicy po rozsunięciu się zapadni.

Nastąpiła niezręczna cisza.

Po chwili odezwała się Camille:

- Rozumiem to. - Chłopak popatrzył na nią z uwagą, a ona kontynuowała. - Mam szczęście, że trafiłam na Viviane, nie musiałam się zmieniać, a jestem przekonana, że nie byłabym w stanie tego zrobić. Jestem zbyt... - zawiesiła głos, szukając

odpowiedniego słowa - niepokorna - dokończyła.

Znów pomiędzy nich wkradło się milczenie. Tym razem jednak było pełne zadumy i wzajemnego zrozumienia.

Camille ponownie oddała się rozważaniom na temat kroczącego obok niej chłopaka, który z każdą kolejną rozmową stanowił większą zagadkę. Wcześniej utrzymywał, że to oryginalność dziewczyn była powodem, dla którego nawiązał z nimi kontakt, jednak aż do tej pory Camille nie była przekonana co do szczerości tych słów. Widziała w nowym znajomym tylko czarującego flirciarza, bagatelizując jego poważne wywody, sądząc, że chce jej zaimponować. Teraz zobaczyła zupełnie inną stronę chłopaka - refleksyjną i szczerą. Nie ukrywał się pod maską, lecz ukazał swoją twarz bez cienia makijażu. Zrobiło to na niej wrażenie.

Pierre miał podobne odczucia co do rozmówczyni. Dotychczas myślał, że to Viviane ma głębszą osobowość w tym duecie. Okazało się jednak, że Camille w żaden sposób nie odstaje od niej intelektualnie. Zobaczył w niej kogoś więcej niż ładną kokietkę z ciętym językiem. Mimo że tamto wcielenie dziewczyny podobało mu się, teraz wydawała się warta jeszcze większej uwagi. Jakby spróbował apetycznie wyglądającego ciastka, myśląc, że będzie tam coś, czego nie lubi, a okazało się, że to najlepszy deser, jaki w życiu jadł.

- To słowo opisuje chyba całkiem zgrabnie także ciebie - odezwała się Camille, patrząc poważnie na chłopaka. - Viviane jest inna - nagle zaczęła mówić o przyjaciółce. - Jest altruistką. Wielką indywidualistką, ale altruistką. Powiedziałyby, że są ludzie, dla których warto się czasem

zmienić - dziewczyna prychnęła. - Ciągłe pracuje nad charakterem, nie chce ranić, dąży do doskonałości..., a ja się godzę z tym, jaka jestem. Ona chce zostawić w sobie tylko dobro, a ja wszystko, co mam - zapatrzyła się w przestrzeń i odpłynęła gdzieś daleko na morze myśli. - Jednak krnąbrność nie wyjaśnia nikoty - zawinęła z powrotem do portu rzeczywistości.

Pierre westchnął, ale nie był zirytowany. Raczej skrępowany.

- Nie odpuścisz, co? - Dziewczyna przecząco pokręciła głową, uśmiechając się. - No dobra - zaczął. - To dłuższa historia, powiązana z moim dzikim trybem życia - ostrzegł.

- Mamy czas - odparła.

Szli teraz zwirowaną ścieżką parku. Drzewa ożywały po zimie, łapiąc każdy cenny promień słońca i wykorzystując go maksymalnie, jakby w każdej chwili mógł zniknąć. Mijali ławki, ale nie przysiedli. Nie musieli tego uzgadniać, lecz czuli, że gdyby teraz przestali iść, atmosfera, którą stworzyli, pękłaby niczym bańka mydlana. Skurcze mięśni pozwalały im zapomnieć o tym, co mówią. Nie skupiali się na słowach, lecz krokach, dzięki czemu łatwiej przychodziła szczerłość. Każde zdanie wypowiadali bez namysłu i nie dobierając słów, pozwalając im spontanicznie wypływać ze źródeł przy sercu.

- Kiedyś miałem kumpli - zaczął. - Było nas sześciu, trzymaliśmy się razem od dzieciństwa. Kiedy mieliśmy po czternaście lat, jeden z chłopaków ukradł bratu elektronicznego papierosa - Pierre uśmiechnął się do swoich wspomnień. - Tak zacząłem, z liquidami. Lubilem to uczucie,

kiedy rozprzestrzeniał się we mnie dym. Wyobrażałem sobie, że jestem światem, a z kominów unosi się szara mgła. – Przerwał na chwilę, po czym podjął wątek na nowo. – Ufałem ludziom, nikt mnie aż do tamtej pory nie skrzywdził, nie miałem powodów do podejrzliwości. Myślałem, że inni akceptują cię takim, jaki jesteś. A już na pewno nie oceniają bez podstaw – uśmiech ustąpił wyrazowi rozczarowania. – Pewnego dnia, jadąc autobusem, usłyszałem w tłumie rozmowę. Ktoś obgadywał jakiegoś chłopaka. Nazywał go dziwakiem, odmieńcem. Sam często rozmawiałem ze znajomymi o różnych ludziach, więc nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Nawet gdy usłyszałem swoje imię. Wiedziałem, że plotkuje się o wszystkich, nie każdego się lubi..., ale na dźwięk imienia obróciłem się automatycznie – zawiesił głos – i zobaczyłem całą swoją paczkę. Z wyjątkiem siebie. Spotykali się beze mnie, nie miałem im tego za złe. Też często uczestniczyłem w spotkaniach, gdzie nie wszyscy byli obecni. Zraniło mnie jednak, że nikt mnie nie bronił. Ani jeden z nich nie odezwał się dobrym słowem – znów sięgnął do kurtki po papierosa. – Nie pokazałem im się wtedy, po prostu zerwałem kontakt. Najgorsze było to, że nikt się o mnie nie upomniał. Byli zdziwieni, ale nie zawiedzeni – ręka mu drżała, gdy odpalał zapalniczkę. – Nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego. Podarłem wszystkie wspólne zdjęcia, oddałem przedmioty, które nadawały się do użytku i wyrzuciłem te, z których nic już nie można było zrobić. Pozbyłem się wszystkiego, z wyjątkiem nałogu – popatrzył na skręta w prawej ręce. – Na moje czternaste urodziny zrzucili się na

e-papierosa dla mnie. Pozbyłem się go razem z innymi rzeczami, ale potrzebowałem dymu, jego obecności w swoim ciele. Nie chcąc powrotu wspomnień, sięgnąłem po zwykłe fajki – dokończył. – I tak już zostało – zaciągnął się ostatni raz i rzucił niedopałek.

Do tej pory nikomu nie opowiadał tej historii. Po tamtych wydarzeniach przestał ufać ludziom, więc nikomu się nie zwierzał. Czuł się nagi. Przez tyle lat wszystkie te słowa siedziały w nim, a teraz podzielił się nimi z kimś, kogo znał zaledwie dwa dni. Nie patrzył na Camille, czuł wstyd. Ona za to bacznie go obserwowała. Miała wrażenie, jakby układała puzzle i za każdym razem, gdy zbliżała się do skończenia obrazka, okazywało się, że w kartonie pozostało jeszcze parę elementów, które wcześniej przeoczyła.

– Nie wszyscy ludzie są tacy sami – odezwała się.

Powoli odwrócił głowę w jej stronę, zatrzymując na niej mglisty wzrok.

– Jesteś cynikiem, masz do tego prawo, ale nie możesz skreślać wszystkich na starcie. Potrzebujesz ludzi – stwierdziła. – Nieważne, jak bardzo będziesz się zapierał, ciągniesz do nich. Po prostu nie spotkałeś jeszcze odpowiednich, ale nie jesteś samotnikiem.

Chłopak zastanawiał się, czy nie powiedział za dużo. Był wrażliwy, ale dla kogoś jego powód, by wycofać się ze społeczeństwa, mógł być niewystarczający. Ona jednak to rozumiała.

– Nie uważam, że ktoś z tych, których znam, zaakceptowałby mnie ze wszystkimi moimi zaletami i wadami

- powiedział na głos.

- Ja cię akceptuję - powiedziała, patrząc mu w oczy.

Odwzajemnił spojrzenie. Zatrzymali się i zastygli w tej pozycji, nie tyle skupieni na własnych myślach, ile próbujący całkowicie przeniknąć umysł drugiego. Po chwili dziwnego wahania odwrócili od siebie wzrok.

- Cmentarz - powiedziała tylko dziewczyna i ruszyli w stronę stacji metra, nie odzywając się do siebie ani słowem, cały czas próbując odgadnąć, o czym myśli krocząca obok osoba.

Viviane zmierzała w stronę miejsca spotkania, lawirując między pomnikami. Niebo było już szare, słońce powolnymi, leniwymi krokami niechętnie wychodziło na spotkanie horyzontowi.

Wciąż zastanawiała się, czy przyjaciółka aby na pewno przyjdzie. Druga sprawa, która ją dręczyła, to czy Camille będzie z chłopakiem. Była ciekawa, jaki jest jej stosunek do Pierre'a, czy traktuje go poważnie i jak przebiegło ich spotkanie. Jednocześnie nie chciała być wścibska lub natrętna. Nie mogła pokazać swojej zazdrości i rościć sobie praw do tego, żeby mieć dziewczynę na wyłączność. Bolało ją to, że jest spychana na bok, ale usprawiedliwiała koleżankę przed samą sobą.

Doszła do nagrobka. Zapatrzyła się w litery na tablicy: JAMES DOUGLAS MORRISON. 1948-1971. KATA TON DAIMONA EAYTOY. Kiedyś razem z Camille sprawdziły, co to

znaczy: „Sprzeciw się swoim demonom”. Było coś pięknego w tym prostym motcie. Zawsze dodawało ono sił Viviane, kiedy już prawie ich nie miała. Traktowało o przekraczaniu granic, a jednocześnie o przestrzeganiu ich – za to je kochała. Podnosiło ją przy upadku i sprowadzało na ziemię, gdy wlatywała za wysoko.

„Staram się, Jim – pomyślała. – Wiesz, za co cię kocham? Za szczerość. Przyznawałeś się do swoich demonów, bo tylko wtedy mogłeś je zwalczyć. Przegrałeś, ale wielu pomogłeś wygrać – podeszła bliżej, uklękła i zaczęła wodzić dłonią po wypukłościach liter, widniejących na kamieniu. Po kilku minutach oderwała rękę, podniosła się i odwróciła. Wydała z siebie jęk przestachu, kiedy zobaczyła stojącego za nią Marcela, przyciskającego do piersi swój zeszyt.

Na jego twarzy odmalował się wyraz skruchy i zmieszania:

- Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać, ja tylko... Może powinienem iść... tak, ja już idę – zaczął się plątać. – Nie wiem, dlaczego przyszedłem, głupio, to...

- Hej, spokojnie – Viviane uśmiechnęła się do przejętego chłopaka, który teraz cały poczerwieniał. Rozczuliło ją to. – Nic się nie stało, nie ma za co przeproszać, siadaj – wskazała kamień i sama na nim usiadła.

Chłopak posłusznie zrobił, o co prosiła, i uśmiechnął się niepewnie.

- Co tam chowasz? – spytała, ruchem głowy wskazując zeszyt.

Marcel mocniej przytulił notatnik i znów się zmieszał.

- Myśli - odpowiedział wprost, spuszczać głowę. - Wiesz, spisuję to, co myślę. Trochę tak jak wy z Camille. Tylko że nie mam drugiej osoby - dodał.

Viviane zamyśliła się, ale po krótkim zastanowieniu zdecydowała się jednak na kolejne pytanie:

- Dlaczego się nie odzywasz, jeśli masz coś wartościowego do powiedzenia? - spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem, jednak nie stremowało to chłopaka, ale, paradoksalnie, ośmieliło go.

- Nie lubię ludzi - przyznał. - Nie czuję potrzeby przebywania z nimi, nie jestem zbyt społeczny - uśmiechnął się blado, a ona odwzajemniła gest. - Wolę słuchać, niż mówić. Poznawanie opinii innych sprawia mi ogromną przyjemność, ale dzielenie się nimi... wolę, żeby zostały moje, chcę zachować je na wyłączność. Dziwnie bym się czuł, dopuszczając kogoś tak blisko. A że myśli muszą gdzieś ulatywać, żeby zrobić miejsce nowym, to mam zeszyt - teraz jego uśmiech był pełny. - Mówienie uspokaja tylko na chwilę. To pisanie daje prawdziwą ulgę.

Viviane go rozumiała. Choć zawsze postrzegala sprawę inaczej: kiedy nawiedzała ją jakaś idea, chciała się nią dzielić, przedyskutowywać na forum, nie tylko prowadzić wewnętrzny dialog. Lubiła wymieniać poglądy, ale też nie ze wszystkimi. Rozmówca musiał być odpowiedni: otwarty, inny, chętny do wyrażania własnego poglądu, nie mógł oceniać i obrażać, chociaż te wszystkie cechy były drugorzędne. Najważniejszą rolę grała umiejętność słuchania.

Nie zdążyła jednak powiedzieć tego wszystkiego na głos,

gdyż usłyszała za sobą ciche kroki. Odwróciła się i zobaczyła Camille oraz Pierre'a, idących ramię w ramię. Nie patrzyli na siebie, pomiędzy nimi panowało wyraźne napięcie, jakby byli kulami generatora Van de Graafa. Dziewczyna usiadła obok przyjaciółki, natomiast chłopak zajął miejsce po drugiej stronie mogiły. Wyraźnie unikali wzajemnych spojrzeń. Zapadło niezręczne, trwające dłuższą chwilę milczenie. Mimo braku słów, każdego ogarnął ten sam nastrój, okrywając ich jak wełniany koc.

- Co oznacza ten napis? - głos Pierre'a wbił się w ciszę niczym naostrzona siekiera w pień drzewa. Chłopak wpatrywał się w litery wyryte w języku greckim na tablicy.

Viviane przetłumaczyła zdania.

Po chwili niski, ochrypnięty głos wydostał się z przeżartej nikotyną krtani:

People are strange when you're a stranger

Faces look ugly when you're alone

Women seem wicked when you're unwanted

Streets are uneven when you're down^[2]

Wszyscy odwrócili głowy w kierunku Pierre'a zdezorientowani, ale on patrzył wprost na Camille, jakby chciał przebić się przez nią wzrokiem i zobaczyć to, co stało za nią. A ona odwzajemniła spojrzenie, doskonale rozumiejąc, o co mu chodzi, i nikogo nie dopuszczając do ich tajemnicy. Pozostali widzieli, że są świadkiem czegoś osobistego. Nie przerywali tej niemej rozmowy. Nikt nie

przyłączał się do śpiewu. Było jasne, że piosenka ma specjalne znaczenie i przekaz, który mógł dotrzeć do odbiorcy teraz albo nigdy.

Wieczór był wyjątkowo chłodny. Mimo dwudziestu stopni Celsjusza, zimny wiatr psuł wszystkim samopoczucie. Chociaż pogoda nie sprzyjała dobrej zabawie, Philippe i jego znajomi nie mieli żadnych problemów z humorem.

Niespełna godzinę temu Philippe wyszedł z domu, by wraz z Brigitte dojechać do najgłośniejszego, najpopularniejszego klubu w Paryżu. Siedzieli teraz na tylnej kanapie jeepa Bastiena, który tego wieczoru był kierowcą. Z przodu siedziała jeszcze jedna osoba, a miejsce obok Philippe'a i jego dziewczyny zajmowały dwie inne pary.

Chłopak starał się włączyć w rozmowę, lecz jego myśli wciąż wracały do tamtego momentu, gdy pijany i zdyszany opierał wilgotne plecy o zimny marmur. Był wściekły na Viviane. Zapoczątkowała w nim serię wyładowań emocjonalnych, które jak elektrony przeskakiwały między dwoma skrajnymi biegunami – radością i rozpaczą. Uczucia gniewu i wdzięczności wobec dziewczyny naprzemiennie się przenikały, a on sam nie był do końca pewny, która z tych emocji w nim przeważa. Z jednej strony czuł odrazę do jej prostolinijności i braku taktu. Jednak coś go w niej pociągało,

jakaś swoista unikalność.

- Wszystko w porządku, kochanie? - głos siedzącej obok Brigitte podziałał na niego jak zapalająca się żarówka, rzucając nowe światło na rozpamiętywane wydarzenia.

Viviane mu zazdrościła. Kiedy ktoś nie znał szczegółów jego życia, mogły go zwieść pozory ideału. I właśnie tak stało się z Viviane. Chłopak poczuł, jak wstępuje w niego agresja. Wszystkie powstrzymywane uczucia skumulowały się i zmieniły w szukającą ujścia furję. Z całą zapalczywością pochwycił Brigitte i mocno pocałował. Zaskoczona dziewczyna oddała gwałtowny gest i poddała się mu. „Jeśli zazdrościsz - pomyślał Philippe - to niech przynajmniej mają czego”.

Resztę drogi do klubu spędził na pieszczoniu rozchichotanej Brigitte.

Gdy dojechali na miejsce, Philippe bez słowa przeszedł przez ciemne drzwi i natychmiast uderzyła go fala głośnej muzyki, ostry zapach potu, alkoholu i czegoś jeszcze, czego nie był w stanie zidentyfikować. Cały parkiet roił się od prowokujących dziewczyn i śmiałych chłopaków. W oczy raziło go ostre światło migających lamp. Rozejrzał się i namierzywszy bar, zdecydowanym krokiem ruszył w jego kierunku.

Kiedy doszedł do lady, zauważył, że Brigitte i Bastien podążyli za nim. Pozostali rozplątali się w plątaninie rozkołysanych ciał. Dla dziewczyny zamówił mojito, natomiast sam wychylił trzy tequile z rzędu, krzywiąc się z powodu gorzkiego smaku.

- Ciężki dzień? - spytał Bastien, ruchem głowy wskazując opróżnione szklanki.

Upłynęła chwila, zanim Philippe odpowiedział, otrząsnąwszy się z początkowego szoku spowodowanego alkoholem:

- Nawet kilka.

Kolega uśmiechnął się wyrozumiale i sam zamówił margaritę. Po chwili znów się odezwał:

- Chcesz o tym pogadać?

Philippe'a zdziwiła ta propozycja, ale był za nią wdzięczny. Mimo to pokręcił tylko przecząco głową i zamówił kolejnego drinka.

Kiedy odstawił pustą szklankę, poczuł, jak alkohol z całą mocą uderza mu do głowy. Spojrzał na Bastiena. Poczuł, że go lubi. Uśmiechnął się do niego promiennie i zwrócił głowę w drugą stronę. Jego oczom ukazała się ładna twarz Brigitte. Duże usta ułożyły się w zalotny uśmiech, w dużych niebieskich oczach skrzyły się niebezpieczne ogniki. Dziewczyna przerzuciła włosy na plecy płynnym ruchem, powoli podniosła się z krzesła i wyciągnęła ręce w stronę otumanionego chłopaka.

- Chodźmy zatańczyć - wyszeptała i pociągnęła go na parkiet, sunąc między ludźmi niczym kotka.

Pośród tańczących figur kwaśny odór wydawał się jeszcze mocniejszy, a muzyka głośniejsza. Z każdej strony atakowały ich dźwięki syntezatora. Tłum był w ciągłym ruchu, jakby te wszystkie postacie nie improwizowały indywidualnych ruchów, ale wszystko wspólnie i dokładnie przemyślały.

Philippe jednak nie miał czasu rozpracowywać tej choreografii, gdyż wokół niego niczym bluszcz owijała się właśnie Brigitte. Nawet nie musiał się ruszać, gdy ona kołysała biodrami i ocierała swoim ciałem o jego, wodząc po nim dłońmi. Chłopak zamknął oczy i próbował się zatracić w jednostajnym elektronicznym rytmie, alkoholu płynącym po jego ciele, tańczącej Brigitte. Im bardziej jednak starał się rozpląnąć w tych wszystkich zewnętrznych bodźcach, tym bardziej dokuczało mu wewnątrz poczucie niepokoju. Otworzył oczy i przyjrzał się zabiegającej o jego uwagę dziewczynie. Wziął głęboki wdech i zatonął w bezdennym morzu odrętwienia.

Ogród Luksemburski powoli zaczynał nabierać kolorów. Liście na wiekowych drzewach każdego dnia zieleniały bardziej, chciwie pochłaniając promienie słońca po długiej zimie. Pod jednym ze spragnionych światła drzew siedzieli Viviane i Marcel, rozmawiając niespiesznie, jakby delektując się chwilą. Viviane właśnie opowiadała o swoim ostatnim śnie, gdy nagle gwałtownie przerwała:

- Rety, cały czas mówię o sobie, upominaj mnie, co cię obchodzi jakiś pół buldog, pół labrador. Teraz ty powiedz coś o sobie - uśmiechnęła się zachęcająco.

Marcel zmieszał się.

- Po prostu nie lubię się otwierać, boję się tego. Ludzie nie zawsze są wyrozumiali.

- Mnie też się boisz? - spytała ze śmiechem.

- Nie - odpowiedział bez namysłu i dopiero, gdy to krótkie słowo opuściło jego krtań, uświadomił sobie, że to prawda. - Nie, ciebie nie.

- Czyli pisanie to takie twoje katharsis... Ale tak bez ładu i składu czy jakieś opowiadania też tworzysz?

Chłopak uśmiechnął się zawstydzony i spuścił wzrok, zerkając na trzymany notatnik, ale odpowiedział:

- Wiem, że to głupie, ale piszę wiersze.

- Naprawdę? - Viviane ożywiła się.

Marcel pokiwał głową, rumieniąc się, ale jednocześnie czując przyływ jakiejś nieznanej mu dotąd śmiałości. Nie był do tej pory przy Viviane zestresowany, ale teraz miał wrażenie, że napięcie narosło w nim przez tyle lat szuka ujęcia.

- Chcesz coś usłyszeć? - spytał, a w jego głosie zabrzmiała dotąd nieobecna tam nuta ekstrawertyzmu.

- Pewnie!

Viviane upiła łyk wody z trzymanej w dłoni butelki i usiadła wygodniej na ławce, podczas gdy Marcel szukał odpowiedniej strony w zeszycie.

Pierwszy raz miał się tak przed kimś otworzyć, ale paradoksalnie nie czuł strachu, lecz przyjemną ekscytację. Wiedział, że jeśli ktoś zasługuje na szczerść, to ta dziewczyna, która poświęcała swój czas na kogoś takiego jak on.

W końcu odnalazł odpowiedni fragment i mocnym głosem przeczytał:

*Są takie dni spokojniejsze
Dni cichsze, dłuższe, ciemniejsze
Kiedy pisze się białe wiersze
Nuci piosenki smutniejsze
W ciszy akompaniamencie
Szepcze słowa przegrzeszne
Czekając aż sen nadejdzie
Wróci ktoś wciąż obcy jeszcze
I ukojenie przyniesie wreszcie*

Skończywszy, chłopak spojrzał na Viviane, ale jej wzrok był wbity gdzieś w przestrzeń. Ugrzęzła gdzieś pomiędzy własnymi myślami, interpretując tekst według siebie, nie dopuszczając Marcela do swojego świata. Szorstka powłoka pewności nagle zniknęła, ukazując delikatne wnętrze wrażliwej dziewczyny przeżywającej własne dramaty.

Kiedy Viviane się ocknęła, po eteryczności nie został ślad, a zwykła pancerna tarcza naznaczana codziennością otoczyła ją jak płachta.

- Jesteś tak wartościowy, a tak tej wartości niepewny... - powiedziała.

- To tak jak ty - odparł chłopak i wiedział, że trafił w sedno.

Dziewczyna się nie odezwała. Zrozumiała, że Marcel dokonał właśnie ostatecznej oceny jej charakteru. I była ona bezbłędna.

Pierre snuł się po domu, próbując znaleźć sobie jakieś zajęcie. Na przemian sięgał po gitarę i jedzenie, ale nie umiał niczym zająć myśli dłużej niż pół minuty, gdyż wciąż wracało do niego wspomnienie rozmowy z Camille. Przy każdym mrugnięciu powiekami pojawiała mu się przed oczami jej twarz, wierna oryginałowi we wszystkich szczegółach.

W końcu poddając się, chłopak padł na łóżko i wbił wzrok w sufit, pozwalając myślom płynąć swobodnie. Zrozumiał, że walka z nimi jest bezcelowa, a do tego wycieńczająca. Westchnął głęboko, mając nadzieję zebrać wszystkie obrazy oraz wspomnienia w całość, ale one mknęły dzikim galopem w nieładzie przez jego umysł jak wypuszczone na wolność dzikie mustangi.

Znał tę dziewczynę zaledwie parę dni, lecz miał wrażenie, jakby ta znajomość trwała o wiele dłużej. Miał świadomość, że to banalne i sam siebie karmił za takie odczucia, lecz nie potrafił ich z siebie wypędzić. Był ciekaw, co robi, z kim przebywa, gdzie jest... cały czas żałując, że go tam nie ma. Odczuwał wręcz fizyczny ból z powodu braku kontaktu z nią. Najgorsza jednak była niepewność co do zamiarów dziewczyny. Czasem odnosił wrażenie, że jej naprawdę zależy, ale w następnej chwili czuł się tylko marionetką w reżyserowanym przez nią teatrzyku. Pierwszy raz był tak bardzo niepewny czyichś uczuć i równie mocno przekonany o swoich. Zwykle to on miał przewagę w tego typu relacjach. Tym razem jednak, mimo pozornego spokoju, każda rozmowa z nią była dla niego wyzwaniem, którego naprawdę się obawiał. Analizował teraz każde wypowiedziane przez siebie

zdanie, zastanawiając się, czy nie przekroczył jakiejś granicy, oraz równie skrupulatnie rozkładał na czynniki pierwsze słowa dziewczyny, doszukując się w nich jakichkolwiek sugestii czy podtekstów.

Przygryzał nerwowo kolczyk w wardze, a jego umysł wciąż pracował na pełnych obrotach, mieszając wspomnienia z wyobrażeniami i zmieniając podstępnie drobne szczegóły, odbijając wszystko w krzywym zwierciadle. Myślał o tym, co mógł powiedzieć, co powiedział i co jeszcze powie.

Zdenerwowany, sięgnął po papierosa i drżącą ręką go zapalił. Zaciągnął się mocno, przytrzymał chwilę dym w płucach, po czym wypuścił go, przyglądając się obłokowi.

Philippe leżał na łóżku nieruchomo. Głowa mu pękała, wciąż słyszał rytmiczne dźwięki syntezatora. Dopiero po chwili przypomniał sobie poprzedni wieczór. Alkohol, taniec, światła, więcej alkoholu... Pamiętał jeszcze, że po tym wszystkim rozmawiał z Bastienem. To chyba on odwiózł go do domu, kiedy stracił przytomność, ale nie był tego pewien, bo wiedział, że kolega także pił.

Było mu wczoraj dobrze. Nie miał problemów ani zmartwień. W pełni mu ten stan rzeczy odpowiadał. Nawet nie pamiętał, dlaczego przed wejściem do klubu był tak przygnębiony. Wczorajszy wieczór przypominał mu, dlaczego prowadził właśnie takie życie. I prawie wcale go nie żałował.

Philippe siedział na swoim łóżku z telefonem w dłoni. Mimo sporej przestrzeni, pokój nie był dobrze zagospodarowany. Nagie ściany oraz półki były pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Mógł tu mieszkać właściwie każdy, bo ślady jakiegokolwiek indywidualności zostały skrzętnie zatarte.

Myślał o właśnie odbytej przez telefon kłótni z Brigitte. Dziewczyna próbowała namówić go na wyjście do klubu, ale chłopak nie mógł się na to zdecydować. Kiedy już cały alkohol wyparował z niego, Philippe znów wrócił myślami do wieczora na cmentarzu. Nie był do końca pewien powodów tego uczucia, ale porównując te dwie zupełnie inne grupy ludzi, czuł dziwne przygnębienie i coś na kształt wyrzutów sumienia. Chciał znów zostać wchłonięty przez klub, zostawiając wszystkie zmartwienia przed wejściem, ale to jedno wspomnienie powstrzymywało go przed zrobieniem tego. Jakby Viviane szarpnęła jakąś rozstrojoną strunę jego duszy, by wprawić ją w drgania i nie pozwolić ucichnąć lekko skrzeczącemu dźwiękowi.

Nie powiedział tego wszystkiego Brigitte. Okłamał ją, mówiąc, że boli go głowa, ale ona mu nie uwierzyła. Zaczęła krzyczeć, że już mu na niej nie zależy, a on nawet nie próbował się tłumaczyć. I tak nie pozwoliłaby mu dojść do głosu. Kiedy zezłoszczona Brigitte była przekonana o swojej racji, nikt nie był w stanie jej od niej odwieść. Najgorszy jednak był brak potrzeby wytłumaczenia dziewczynie, że jest inaczej.

Targały nim sprzeczne uczucia. Nie miał wyrzutów sumienia, ale jakaś część jego jestestwa karciała go za

arogancję. Kiedyś pojechałby do dziewczyny i przeproszał pokornie. Teraz nie tylko nie czuł się winnym całego zajścia, lecz postawa Brigitte go drażniła.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk telefonu. Philippe westchnął zirytowany. Spodziewając się dalszego ciągu wojny z Brigitte, z ociąganiem sięgnął po urządzenie i spojrzał na wyświetlacz. Z zaskoczeniem ujrzał nazwisko Bastiena. Nacisnąwszy odpowiedni przycisk, przyłożył komórkę do ucha.

- Stary, porąbało cię? - usłyszał głos kolegi, nim zdążył cokolwiek powiedzieć. - Kiedy laska chce cię wyciągnąć do klubu, nie odmawia się!

Philippe mimowolnie przewrócił oczami, mimo że Bastien nie mógł tego zobaczyć.

- Źle się czuję, to serio nie jest odpowiedni dzień - odparł.

- Człowieku, na takie rzeczy zawsze jest odpowiedni moment. Musi być z tobą bardzo źle... - Zawiesił na chwilę głos, po czym kontynuował: - A ze mną na piwo wyskoczysz? Nie mam lśniących blond włosów ani cycków w rozmiarze D, ale widocznie nie tego ci teraz potrzeba.

Philippe zamilkł na chwilę, rozważając propozycję kolegi. Nie radził sobie z tym wszystkim, co się w nim działo. Czuł, że jeśli się tym z kimś nie podzieli, utonie pod falą uczuć i myśli. Nieważne było, komu o tym wszystkim opowie, Bastien nadawał się do tej roli równie dobrze jak każdy inny.

Po krótkim namyśle przystał na propozycję kolegi i ubrawszy się, wyszedł z pokoju.

Mimo późnej pory jego rodzice jeszcze nie wrócili. Ojciec albo jeszcze pracował, albo był z tą rudą suką, a matka

pojechała w delegację, miała wrócić następnego dnia. Philippe nienawidził takich dni, kiedy udawał, że to normalne. Nienawidził tego miejsca, nienawidził rodziców, nienawidził siebie.

Idąc przez salon, przyspieszył kroku, jakby chciał jak najszybciej uciec od tych myśli i wszystkiego, co je powodowało.

Kiedy dotarł do baru, Bastien już czekał. Ciężkie zadymione powietrze było nabrzmięte odorem piwa. Wnętrze nie było duże, ale roilo się w nim od miejscowych i turystów, chcących zasmakować nocnego życia w mieście.

Obaj zamówili po kuflu piwa i usiedli przy barze. Ciemne oczy Bastiena badawczo lustrowały kolegę. Wreszcie pierwszy odezwał się Philippe:

- Miałeś kiedyś wrażenie, że marnujesz swoje życie?

Kolega upił łyk piwa i odparł bez namysłu:

- Nie, niby jak? Imprezami i piciem? Nazwałbym to raczej czerpaniem z życia.

Philippe pokiwał głową z namysłem.

- I nigdy nie myślałeś, że masz większe możliwości? Że to nie wszystko i gdybyś tylko chciał, mógłbyś zrobić o wiele więcej?

- Na przykład co?

To było pytanie, na które Philippe wciąż szukał odpowiedzi i codziennie niezmiennie je sobie zadawał. Wiedział już, że nie wytłumaczy tego koledze, ale zanim zdążył cokolwiek

powiedzieć, Bastien kontynuował:

- Stary, po co myśleć o tym, co złe, skoro możesz zatracić się w przyjemności?

- Bo życie bywa złe - odparł.

- Co nie znaczy, że masz się tym zadreć - znów przyłożył kufel do ust i zakończył temat, milknąc oraz pozwalając Philippe'owi przemyśleć to, co powiedział.

Chłopak próbował sobie poukładać to, co usłyszał, i połączyć w jakiś sposób ze wszystkimi kłębiącymi się w nim wątpliwościami. Mimo że wciąż nie umiał zapomnieć o wydarzeniach na cmentarzu, chciał się uwolnić od tego wspomnienia. Szukał spokoju, a na pewno nie znalazłby go u boku awanturników spędzających czas wśród grobów. Chociaż nie satysfakcjonowało go to do końca, uciszył słaby głos buntu kolejnym łykiem piwa i kontynuował rozmowę z Bastienem.

Następnego dnia Philippe obudził się z postanowieniem udobruchania Brigitte. Nie miał zamiaru błagać jej o przebaczenie, potrzebował wczorajszej rozmowy z Bastienem, ale liczył na zrozumienie ze strony dziewczyny.

Był prawdziwie wdzięczny Bastienowi. To on namówił go do pogodzenia się z dziewczyną. Mimo wszystko nie chciał pozostawać z nią w złych stosunkach. Od razu po porannej toalecie wyszedł z domu, by porozmawiać z Brigitte.

Droga nie zajęła mu zbyt wiele czasu, gdyż dziewczyna mieszkała w tej samej dzielnicy. Stanąwszy przed potężnymi

drewnianymi drzwiami, przycisnął guzik dzwonka. Po krótkiej chwili na progu pojawiła się matka Brigitte. Były do siebie bardzo podobne. Philippe przywitał się grzecznie i spytał o córkę pani domu. Kobieta zniknęła, a po jakimś czasie w jej miejsce pojawiła się Brigitte.

- Czego?

Głos miała zachrypnięty, a oczy zaczerwienione. Widać wczorajszy dzień był pełen wrażeń. Wciąż była obrażona. Po chwili wahania, chłopak odezwał się:

- Przepraszam cię za wczoraj, musisz mnie zrozumieć, źle się czułem, padłbym w tym klubie.

Dziewczyna spojrzała na niego łaskawym wzrokiem. Widać było, że bawi ją skrucha Philippe'a. Po krótkim namyśle postanowiła mu wybaczyć, co wyraziła długim pocałunkiem. Kiedy skończyła, spytała:

- Jak już wczoraj nie mogłam liczyć na twoje towarzystwo, to może chociaż na imprezę do Bastiena pójdziesz?

Philippe na początku zawahał się, ale potem przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z kolegą. Przystał na propozycję i jeszcze raz mocno pocałował dziewczynę, próbując oderwać myśli od cmentarza.

Było jeszcze jasno, kiedy Philippe wraz ze znajomymi kończyli zakupy w pobliskim markecie, szykując zaopatrzenie na imprezę u Bastiena. Jego rodzice wyjechali dopiero godzinę temu, ale przygotowania do wieczoru już trwały. Do czterech zgrzewek piwa, trzech butelek wódki, paku coli, trzech

kartonów soku pomarańczowego, paczek popcornu i chipsów leżących w koszyku dołączyły właśnie opakowania prezerwatyw.

Widok ten znów uruchomił cały mechanizm niepokoju, który Philippe próbował zatrzymać, ale maszyna, faszerywana wciąż nowymi wątpliwościami, nieustannie przerabiała je na troski i problemy. Po raz kolejny w ciągu minionych kilku tygodni chłopak zaczął rozważać zmianę dotychczasowego trybu życia.

- Stary, masz dychę? - głos jednego z kolegów oderwał go od myśli.

Chłopak sięgnął do kieszeni, wyjął banknot i przeszedł przed kasę, by spakować produkty do siatek. Kupujący zapłacili, wrzucili wszystko do bagażnika i wsiedli do jeepa Bastiena. Na podłodze leżały papiery, stare chipsy i lepiej nie wiedzieć, co jeszcze. Chłopcy, już nieco podpici, przekrzykiwali się ze śmiechem.

- Mówię wam, dzisiaj ją na pewno zaliczę!

- Cholera, człowieku, mówisz to co tydzień.

Zabrzmiał zbiorowy rechot.

- Zobaczycie, dzisiaj się uda! Spije się i będzie mnie błagała o więcej!

- Żeby mieć takie majaki, będziesz potrzebował czegoś więcej niż szot. - Kolejna salwa śmiechu.

- A ty co dzisiaj taki markotny? - Bastien zagadał do Philippe'a, zerkając na niego znad ramienia i odrywając na chwilę wzrok od jezdni.

- Nie, nic, wszystko w porządku - odpowiedział tamten

bez przekonania, ale koledze to wystarczyło. Resztę drogi przemilczał, obserwując mijane budynki.

W końcu zajechali pod dom, gdzie już czekali pierwsi goście. Wyszli i wpuścili ludzi do środka. Rozstawili napoje oraz jedzenie, włączyli muzykę, zaczęli robić pierwsze drinki. W domu było już około dwudziestu osób, ale zmieściłoby się jeszcze co najmniej drugie tyle.

Philippe wypatrzył w tłumie Brigitte, która wlewała w siebie tequilę. Podeszedł do niej, a ona rzuciła mu się na szyję:

- Kochanie... widziałeś gdzieś moje buty? - bełkotała, a chłopak domyślił się, że to nie był jej pierwszy drink. - Nie mogę ich nigdzie znaleźć... - zaczęła obracać się w kółko i rozglądać dokoła.

- Masz je na stopach - Philippe wskazał głową jej nogi, a ona podążyła za jego wzrokiem.

- O, rzeczywiście! - zauważyła i wybuchnęła śmiechem, chwiejnie podtrzymując się stojącego obok chłopaka.

Philippe poczuł zażenowanie. Nie przed innymi - wszyscy byli już porządnie pijani, chociaż impreza dopiero się zaczynała, nie było jeszcze dziewiątej. Jak tak dalej pójdzie, wszyscy posną już o pierwszej. Było mu wstyd przed samym sobą, że spędza tu czas, chociaż wcale nie bawi się dobrze.

Zostawił Brigitte i sam sięgnął po tequilę - pomyślał, że może po niej będzie się bawił lepiej. Wychylił jednego drinka, jednak nie poprawiło mu to humoru, a wręcz pogorszyło samopoczucie. Nie pił już więcej. W dodatku nie umiał znaleźć Brigitte. Westchnął i poszedł jej poszukać, żeby nie zrobiła

czegoś głupiego.

Idąc przez hol, czuł niesmak. Rozglądał się w poszukiwaniu dziewczyny, przejeżdżając wzrokiem po wszystkich sylwetkach - jakieś pary obściskowały się w korytarzu, inne szły po schodach do góry, parę osób tańczyło na środku, a dziewczyny stojące na stole zaczęły rozbierankę. Nikt już ze sobą nie rozmawiał. Jakaś gromadka obok paliła marihuanę, napełniając i tak ciężkie już od alkoholu i potu powietrze gryzącym dymem. Chłopak pomyślał o czasie spędzonym na cmentarzu. Tam tak samo obecny był alkohol, a jednak nikt nie zachowywał się tak... dziko. Tutaj służył on zapomnieniu. Tam przypomnieniu.

Philippe skierował kroki do łazienki - już po jednym drinku musiał skorzystać z toalety. Otworzył drzwi i po dźwiękach dochodzących ze środka zorientował się, że ktoś, a raczej dwa ktosie, zdążyły ją zająć. Wanna była schowana za zasłoną, więc próbując ignorować wydostające się zza niej westchnienia, chłopak załatwił potrzebę. Kiedy już chciał wychodzić, kotara wraz z drążkiem spadła nagle na ukrywających się za nią, wywołując huk oraz krzyki. Philippe machinalnie odwrócił się i odjęło mu mowę. Spod materiału i jakiegoś chłopaka, którego twarzy nie widział, próbowała się wyplątać pijana Brigitte. Rozbieganym wzrokiem przejechała po pomieszczeniu, blednąc, gdy jej spojrzenie napotkało twarz Philippe'a. Albo nie była całkiem pijana, albo właśnie wytrzeźwiała. Chłopak bez słowa odwrócił się i wyszedł z łazienki. Ruszył w kierunku drzwi frontowych. Stanąwszy na ganku, wciągnął zimne nocne powietrze. Księżyc świecił jasno

w towarzystwie gwiazd. Philippe szybkim krokiem przeszedł przez podwórko i znalazł się za bramą posiadłości, zmierzając w stronę swojego domu.

Był wściekły na Brigitte, na faceta, z którym to zrobiła, ale przede wszystkim na siebie. Nie wiedział, czy to była jednorazowa przygoda, czy zdradzała go wcześniej i z kim. W tym momencie mało go to obchodziło. Był idiotą. Dał się oszukać, a przede wszystkim zmarnował swój cenny czas na kogoś, kto sypiał na imprezie z pierwszym napotkanym chłopakiem. Nie potrzebował jej, jeśli go nie chciała. Zaczął rozmyślać nad ich związkiem. Może i lepiej, że tak wyszło. Już wcześniej miał poczucie, że coś między nimi się wypaliło, nie trzymało ich razem już nic poza przeszłością. Nie skończyłby tego pierwszy, nie umiałby. A tak, ma to już za sobą. Ta relacja od dawna nie była prawdziwa. Nawet nie czuł zazdrości. Nie miał Brigitte za złe tego, że przespała się z innym, tylko że go oszukała. Nie czuł bólu. Żadna nić nie została właśnie zerwana. Przecięto ją już dawno temu.

Wcisnął dłonie głębiej do kieszeni i przyspieszył kroku.

Nie wychodził z domu przez dwa dni. Musiał wszystko przemyśleć. Zamknął się w pokoju i nikogo nie wpuszczał. Nie umiał jednak poskładać tego, co leżało porozrzucaane w jego głowie. Czuł, jakby chciał złapać mokre mydło i za każdym razem, gdy już prawie je miał, ono się wyslizgiwało i niknęło pod taflą wody. Brigitte nie dawała znaku życia, on także nie miał zamiaru do niej dzwonić. Wziął to za definitywny koniec.

Bał się jednak powrotu do szkoły i rozmowy z dziewczyną. Miał nadzieję, że była na tyle pijana, że nic nie pamięta, ale wiedział, że to mało prawdopodobne.

Philippe szedł korytarzem pełnym uczniów. Jedni w pośpiechu zmierzali ku schodom, aby nie spóźnić się na lekcje, inni zrelaksowani prowadzili niespieszne rozmowy na temat minionego weekendu.

Właśnie wychodził z szatni, kiedy jego wzrok napotkał Brigitte. Oczami wyobraźni zobaczył sytuację z piątku, a ten obraz, ku jego zaskoczeniu, wywołał u niego uśmiech. Nagle to wszystko wydało mu się komiczne. Nieoczekiwanie nabrał pewności siebie i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku dziewczyny. Kiedy ta go zobaczyła, spłoszonym wzrokiem zaczęła lustrować otoczenie w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale było już za późno. Chłopak swobodnie oparł się łokciem o ścianę:

- Co słyhać, Brigitte? - zagaił, a ona patrzyła na niego, jakby na czole wyrosła mu noga. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc jej zmieszanie. - Dobrze się bawiłaś u Bastiena?

- Ja... - zaczęła, nie wiedząc, co powiedzieć.

Chłopak obserwował jej wysiłki z niemałą przyjemnością. Postanowił jednak się zlitować.

- Bawiłaś się doskonale, widziałem. Cieszę się - dokończył za nią. - To widzimy się na lekcji - dodał i odszedł, zostawiając skołowaną dziewczynę na korytarzu.

Kiedy wszedł do sali matematycznej, wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. „Wieści szybko się rozchodzą” – pomyślał, jednak nie poczuł skrępowania. Uśmiechnął się szeroko, wyprostował plecy i pomachał wesoło do kolegów, ruszywszy w ich stronę. Przywitał ich jak zwykle. Czuli się nieswojo, jego zachowanie świadczyło, że o niczym jeszcze nie wie.

Tymczasem po jego wyjściu w piątek kolejna osoba weszła do łazienki, zastając tam w wannie kłębowisko ciał i materiału. Musiał to być ktoś z palących trawkę, bo wybiegł z toalety z krzykiem, wołając, że „w kiblu zamieszkał kosmaty potwór z ośmioma mackami!”, czym wywołał niemałe zamieszanie i przykuł uwagę wszystkich. W ciągu krótkiej chwili wokół „potwora” zebrał się spory tłum.

Philippe’owi podobała się gra, którą prowadził ze znajomymi. Po lekcji zatrzymał go Bastien:

- Stary - zaczął. - Powinieneś coś wiedzieć. W piątek... - chłopak nie wiedział, jak zacząć.

- Moja dziewczyna pieprzyła się z jakimś gnojem w wannie w twojej łazience? - dokończył za niego Philippe z uśmiechem.

Chłopak stał skołowany. Na widok jego miny Philippe wybuchnął śmiechem.

- Skąd wiesz? - spytał. - Myślałem, że wyszedłeś wcześniej.

- Nie na tyle szybko, żeby ich nie widzieć - odpowiedział chłopak. - Ale bardziej mnie ciekawi, skąd ty wiesz? - spoważniał.

Bastien był jeszcze bardziej skonsternowany.

- Przecież wszyscy wiedzą - odparł i opowiedział historię o potworze.

Philippe uśmieł się serdecznie. Bastien współczuł mu coraz bardziej, bo pomyślał, że rozpacz odebrała koledze zmysły. Kiedy jednak zobaczył, że z Philippe'em jest wszystko w porządku, udzieliła mu się jego wesołość.

W pewnym momencie chłopak jednak spowaźniał i spojrzał uważnie na rozmówcę:

- Jedna rzecz tylko mnie ciekawi - zaczął. - Kim był ten dupek?

Bastien spuścił wzrok i nagle ucichł. Zapadło niezręczne milczenie, w końcu jednak nie wytrzymał:

- To ja byłem tym dupkiem - przyznał, nie patrząc na Philippe'a.

Chłopak poczuł, jakby wymierzono mu siarczysty policzek. Spojrzał na stojącego naprzeciwko kolegę z niedowierzaniem, rozczarowaniem, smutkiem i gniewem. Pogodził się z tym, że Brigitte go zdradziła, i tak od dawno im się nie układało. Jednak z całej paczki to Bastien był mu najbliższy. Przez cały weekend snuł domysły, kim mógł być ten facet, ale Bastiena w ogóle nie brał pod uwagę. Dopiero teraz poczuł się zdradzony, wcale nie przez dziewczynę.

- Jak długo? - spytał tylko, patrząc wprost na Bastiena.

- Tylko ten jeden raz - zaczął zapewniać tamten. - Byliśmy pijani, to nic nie znaczyło, stary... - Ale Philippe już wyszedł z sali.

Poczuł, że nie wytrzyma tam ani minuty dłużej. Rozerwie

kogoś na strzepy, jeśli natychmiast się nie uspokoi. Oddychał ciężko. Wybiegł z budynku i ruszył przed siebie. Zaczął analizować całą sytuację.

Wybaczył Brigitte, i tak nic między nimi już od dawna nie było. Ale dlaczego Bastien to zrobił? Czy aż tak bardzo było widać brak zaangażowania w ich związku? Dlatego uznał, że ma do tego prawo? Z drugiej strony, dlaczego akurat on nie miałby mu tego zrobić?

To nie była przyjaźń - to stwierdzenie uderzyło Philippe'a jak burzowa błyskawica, z hukiem rozświetlając jego umysł. Nie wiedział, czym ona jest, ale na pewno nie samym piwem i śmiechem.

Wydawało mu się, że stoi z boku i obserwuje, jak wszystko, w co wierzył, ulega powolnej destrukcji: najpierw pojawiły się rysy, potem pęknięcia, jego wartości zaczęły się kruszyć, by na końcu rozpaść się przed nim w drobne ostre kawałki, kaleczące mu dłonie, gdy nieudolnie próbował je poskładać. To jedno wydarzenie pokazało, jak daleko znalazł się nie tylko od dziewczyny, ale od wszystkich, których do tej pory nazywał przyjaciółmi. Uleciała z niego cała wielotygodniowa frustracja. Nie było mu żal ich tracić - stało się to już dawno - ale poczuł się obco. Ci ludzie, mimo wszystkich swoich wad, byli w jego życiu pewni, niezmienni. Teraz nie miał już żadnego punktu podparcia, był zdany na siebie. I, wbrew samemu sobie, poczuł się niespodziewanie dobrze.

Szedł przed siebie, nie zmierzając w żadne konkretne miejsce. Słońce dodatkowo grzało jego i tak rozgorączkowane

ciało, drażniąc je jeszcze bardziej. Staął przy zejściu do metra i po chwili ruszył po schodach w dół. Przeszedł przez bramkę i zatrzymał się na peronie. Chłód podziemi delikatnie pieścił jego spocone ciało. Nadszedł pociąg – wsiadł do niego i mimo dużej liczby wolnych miejsc stanął przy drzwiach, trzymając się barierki. Na kolejnej stacji pojazd gwałtownie zahamował, a Philippe wysiadł. Teraz był już spokojny, nie czuł nic. Przemierzał ulice wolnym krokiem, oczyszczając umysł. Nie myślał, jego głowa była całkiem pusta. Przekroczył bramę cmentarza i automatycznie podążył znaną mu już ścieżką.

Zatrzymał się przy grobie piosenkarza, patrząc na wyryte litery. Nie wiedział, co znaczą, ale poczuł, jak zdanie wchodzi w niego, szuka dogodnego miejsca i postanawia tam zamieszkać. Powoli opadł na nagrany kamień ze wzrokiem wciąż utkwionym w napisie, pozwalając myślom swobodnie przebiegać przez jego umysł.

Z odrętwienia wyrwała go kakofonia głosów i śmiechów. Wszystko go bolało. Otworzył oczy – leżał skulony na nagrobku. Musiał zasnąć, bo nie pamiętał, żeby się kładł. Rozprostował ręce i zobaczył idących w jego kierunku Viviane, Camille, Pierre'a oraz Marcela. Gdy go zauważyli, ucichli, zatrzymawszy się gwałtownie. Nie czuli gniewu, tylko zmieszanie. Pierwszy odezwał się Marcel.

- Co tu robisz? - zapytał, ale w jego głosie nie było agresji.

Philippe wbił w niego wzrok, szukając odpowiedzi, bo sam nie był pewien, dlaczego tam przyszedł. W końcu bardzo

wolno odpowiedział:

- Wskoczyłem z pociągu.

Wszyscy utkwili w nim wzrok.

- I gdzie wylądowałeś? - drążył Marcel.

- Na peronie - odparł z powagą.

Minęła godzina, a oni wciąż siedzieli na mogile i rozmawiali. Od czasu do czasu Pierre sięgał po gitarę i wszyscy śpiewali. Philippe na chwilę zapomniał, że dziewczyna zdradziła go z kimś, komu ufał. Wspomnienie minionych dni wróciło jednak z całą mocą, kiedy Pierre z Camille zaintonowali:

*Meet you downstairs in the bar and hurt
Your rolled up sleeves in your skull t-shirt
You say why did you do it with him today?
And sniffed me out like I was Tanqueray*

Chłopak poczuł, jak robi mu się niedobrze, jednak nie przerywał występu.

*I cheated myself
Like I knew I would
I told you, I was trouble
You know that I'm no good*

Zawirowało mu przed oczami. Utwór był do bólu prawdziwy. Nie czuł się jednak zdołowany, lecz zrozumiany. Nie tylko

przez jego twórcę, lecz także przez grupę, która z empatią wchodziła w słowa, śpiewając je z całym uczuciem, jakie w sobie mieli.

Wpadł w trans. Dźwięki, głosy, gitara, ludzie, pomniki, drzewa, nawet dusze spoczywających wokół – wszystko go tu rozumiało i wspierało, nie znając nawet jego historii. Czuł, że nie musi jej opowiadać. I tak nie byłoby w stanie go wesprzeć bardziej, niż robili to w tej chwili. Każdy był pogrążony w swoich myślach, przeżywając swoją własną opowieść o zawiedzionej miłości, a jednak czuli wzajemne współczucie. Byli jak organizm – każda komórka spełniała inne funkcje, ale razem tworzyli coś większego, innego.

I cheated myself, like I knew I would

I told you I was trouble, yeah you know that I'm no good^[3]

Ostatnie dwa wersy wybrzmiały, a wszyscy jakby obudzili się ze snu. Patrzyli w przestrzeń, tylko Camille i Pierre słowa końcowe wyśpiewali zwrócenie wprost do siebie.

Zrobiło się cicho. Wszyscy przeżywali jeszcze uniesienie sprzed sekundy, chcąc zatrzymać je jak najdłużej. Milczenie przerwał Philippe:

- Czym jest przyjaźń? – zapytał po prostu, mając przed oczami twarz Bastiena.

Spojrzenia wędrowały od jednej osoby do drugiej. Ku zaskoczeniu wszystkich pierwszy odezwał się Marcel:

- Mówieniem sobie tego, co najchętniej zapisałoby się w zeszycie, nie pokazując nikomu – patrzył na swoje zaciśnięte

na notatniku dłonie.

- Wytykaniem sobie wad w samotności i wypowiedaniem samych zalet w towarzystwie - dodał Pierre, sięgając po papierosa.

- Milczeniem i krzykiem dla dobra przyjaciela, mimo swojego cierpienia - odpowiedziała Viviane z zamkniętymi oczami.

- Chęcią zmiany dla niego, ale brakiem takiej potrzeby, bo on cię akceptuje takim, jaki jesteś - zakończyła Camille, ze wzrokiem wbitym w wyryte na pomniku litery.

Znów od niezręczności uratowała ich muzyka:

*You and I must make a pact, we must bring salvation back
Where there is love, I'll be there*

Jak zawsze zaczął Pierre, ale tym razem nikt się nie przyłączył. Wszyscy słuchali.

*I'll reach out my hand to you, I'll have faith in all you do
Just call my name and I'll be there*

Było to zupełnie inne doznanie niż poprzednio. Wszyscy byli obecni w tym miejscu, myśląc o sobie wzajemnie i stawiając pytania o siedzących obok ludzi.

*I'll be there to comfort you,
Build my world of dreams around you, I'm so glad that
I found you*

*I'll be there with a love that's strong
I'll be your strength, I'll keep holding on*

Do Pierre'a dołączyła Camille, ale po pierwszym wersie chłopak pozwolił dziewczynie dokończyć zwrotkę solo. Kiedy ta dobiegła końca, po Camille wszedł Marcel tak, jakby się umówili:

*Let me fill your heart with joy and laughter
Togetherness, well that's all I'm after
Whenever you need me, I'll be there*

Na początku śpiewał niepewnie, ale w miarę jak kontynuował, jego głos był coraz mocniejszy. Skończył, a pałeczkę przejęła Viviane, patrząc łagodnym wzrokiem prosto w oczy siedzącej obok Camille i myśląc o niej:

*I'll be there to protect you, with an unselfish love that
respects you
Just call my name and I'll be there^[4]*

Ostatni wers wyśpiewali wspólnie. Jediną osobą, która się nie włączyła, był Philippe, zbyt przepełniony emocjami, żeby wydobyć z siebie głos. Doszło między nimi do czegoś nieodwracalnego. Cokolwiek od tej chwili postanowią, będzie to zawsze miało związek z tą wspólnie dzieloną chwilą.

Minęło już kilka tygodni od ostatniej rozmowy Philippe'a z Brigitte, chłopak jednak nadal nie czuł skrępowania. Czasami ich spojrzenia krzyżowały się - on jej wesoło machał, ona zaczerwieniona spuszczała wzrok. To samo tyczyło się Bastiena. Już nie miał do niego żadnego żalu.

Nie był natomiast pewien relacji, jaka łączyła go z osobami z cmentarza. Dobrze się razem bawili, ale czasem ogarniało go uczucie alienacji - jakby był intruzem, pochodzącym z innej cywilizacji, który nie jest w stanie pojąć kultury miejscowych. Może w pewnym sensie tak było. Nawet jeśli starali się tego nie okazywać, chłopak wiedział, że pozostali widzą jego odmienność. Zbyt wiele ich różniło. Jakby stali po dwóch stronach kanionu, połączonego mostem zwodzonym, który został zerwany dawno temu.

Gdy śpiewali, był świadkiem czegoś ważnego, ale nie uczestniczył w tym. To jak pójście na wesele dalekiej rodziny, z którą ostatni kontakt miało się dawno temu. Nie ma tematów do rozmów, wymienia się niezręczne uprzejmości i udaje bliskość.

Może gdyby tego pierwszego dnia nie odszedł, wszystko

potoczyłoby się inaczej. Naprawdę myślał, że z tymi ludźmi znajdzie wspólny język, byli tacy... głębcy. I tak inni od niego czy jego poprzednich „przyjaciół”.

Teraz pojęcie przyjaźni było dla niego tak abstrakcyjne jak nieskończoność, liczba pi czy Bóg - wszyscy mówili, że są, ale on nigdy ich nie doświadczył.

Viviane oraz Marcel stali w pewnej odległości od Pierre'a i Camille. Nikt z nich nie był świadomy tego spontanicznego podziału. Dopiero baczny obserwator zauważyłby drobne oddzielenie, nachylenie sylwetek, zwroty głów. Przeciętna osoba stojąca z boku bez wahania powiedziałaaby, że wszyscy rozmawiają w grupie.

Viviane mówiła szybko, starając się rozmową zająć umysł, który uporczywie wracał myślami do przyjaciółki. Czuła narastającą w niej zazdrość, złość, poczucie zdrady, a nawet desperację. Camille każdego dnia była bliżej chłopaka, który początkowo był kolejnym pionkiem do zbitcia na szachownicy flirtu. Teraz jednak Viviane dostrzegała o sekundę za długie spojrzenia pełne porozumienia, przypadkowe dotknięcia, opiekuńcze gesty przyjacielskiej troski. Bolało ją to. Każdego dnia, gdy Pierre był bliżej dziewczyny, Viviane się od niej oddalała. Działali jak kompas, obracający się zgodnie z polem magnetycznym Camille. Obydwoje od niej tak samo uzależnieni i oboje tak samo do niej ciągnący.

Pierre odnosił podobne wrażenie. Niepokoiła go ta nagła bliskość z dziewczyną, której imienia jeszcze do niedawna nie

znał. Czuł się dobrze w jej towarzystwie, gdzieś jednak na dnie jestestwa odczuwał strach przed przywiązaniem. Nie był pewien, czy warto ryzykować.

Camille każdego dnia coraz mocniej ulegała fascynacji chłopakiem. Czuła, jakby Dzwoneczek posypywał ją codziennie nową porcją magicznego pyłu, a ona wzbijała się wyżej i wyżej. Cieszyła się, że Pierre się przed nią otwiera. Była też wdzięczna przyjaciółce za wsparcie.

Marcel słuchał Viviane, ale nie umknęło mu jej rozkojarzenie. Przez lata zamiast przekazywać informacje, zbierał je i teraz także dostrzegł spojrzenie mówiącej uciekające w stronę przyjaciółki, pauzy między wyrazami, gdy popadała w zamyślenie, lekkie drzenie za każdym razem, kiedy ręka Pierre'a zbliżała się do Camille. Nigdy nie miał kogoś, kto by znaczył dla niego tyle, co te dziewczyny dla siebie nawzajem, ale wyobrażał sobie, jak ciężko musi być, gdy ktoś nic po nici przecina relację do tej pory trzymającą dwie osoby tak ciasnym ściegiem.

Zadzwoił dzwonek. Chłopcy się rozeszli, zostawiając dziewczyny same. Nagle Camille się zmieszala, co nie uszło uwadze jej przyjaciółki, jednak ta nie zadawała pytań. Wiedziała, że dziewczyna i tak nie wytrzyma.

Po chwili jej przypuszczenia się sprawdziły:

- Nie mogę przyjść dzisiaj na cmentarz - wyrzuciła z siebie na jednym oddechu. Kończąc zdanie, odwróciła wzrok. Wiedziała, ile te spotkania znaczą dla przyjaciółki.

Viviane poczuła, jak magnes Pierre'a gwałtownie ją odpycha. Nie musiała nawet pytać. Wiedziała, że to przez

niego dziewczyna nie może się z nią spotkać. Widziała to w jej oczach pełnych poczucia winy. Nie była jednak zaskoczona – spodziewała się, że do tego w końcu dojdzie.

- Pójdziemy gdzieś potem – tłumaczyła się Camille. – Zrobimy sobie wspólny dzień, tylko we dwie, bez chłopaków, obiecuję. – Viviane już jej nie słuchała. Wiedziała, że w ich relacji zaczął się nowy etap, którego uczestnikiem był Pierre.

Viviane przyszła na cmentarz z Marcelem. Po chwili dołączył do nich Philippe, ale jak zawsze trzymał się na dystans, niepewnie. W szkole też z nimi nie rozmawiał.

W miarę jak patrzył na rozmawiających ze sobą Viviane i Marcela, ogarniał go coraz większy żal. Odnosił wrażenie, że im przeszkadza, chociaż żadne z nich nie wypowiedziało tej myśli na głos. Kiedy poczuł, że nie wytrzyma dłużej tej wrogości, wstał gwałtownie.

- Ja już pójdę – odezwał się. – Do jutra.

I po prostu odszedł, zostawiając skołowanych Viviane i Marcela za sobą.

Nie był pewien, dlaczego dzisiaj czuł się jeszcze bardziej niechciany niż zazwyczaj. Może wynikało to z braku pozostałych.

Viviane i Marcel spojrzeli po sobie. Czuli wstyd, ale ulżyło im, gdy chłopak się oddalił. Nie chcieli się do niego uprzedzać, a jednak nie dało się tego uniknąć. Jego reputacja, którą wyrobił sobie poprzez poprzednie znajomości, była niczym przyczepiona metka, wciąż kołysząca się i niepozwalająca

o sobie zapomnieć.

Siedzących znów zajęła rozmowa. Viviane szczerze lubiła rozmawiać z tym chłopakiem, który na początku był tak zamknięty w swoim własnym świecie, a teraz coraz częściej otwierał się przed nią.

On też zauważył swoją metamorfozę. Czuł, że dziewczyna go rozumie. Zeszytu używał rzadziej, częściej mówił to, co myśli. Zniknęła maniakalna potrzeba pisania, potrafił teraz używać słów, nie tylko zapisywać je długopisem.

Zapadło milczenie, ale było ono przyjemne. Jak to między gwiazdami jednej konstelacji, tworzącymi razem coś pięknego i niepotrzebującymi rozmowy do współpracy.

W końcu ciszę przerwał Marcel:

- Boli cię to, że jej tu nie ma? - spytał, a dziewczyna drgnęła.

Po chwili jednak się opanowała i odpowiedziała mocnym, lecz drżącym głosem:

- Tak - zaczęła. - Znamy się od zawsze, jest dla mnie jak siostra - zawahała się, ale postanowiła kontynuować. - Nasze matki poznały się, gdy były jeszcze w ciąży. Na grupie wsparcia, miały depresję. Nasi ojcowie byli na wojnie, a one sobie z tym nie radziły. Ich wspólna słabość stała się wspólną siłą. Spakowały rzeczy, dzieci i zamieszkały razem, ale zawsze ich kochały. Gdy się urodziłyśmy, Camille i ja, każda z nich poszukała większego mieszkania. Swoją drogą - teraz dziewczyna uśmiechnęła się lekko, ale zaraz spoważniała - ja mam imię po mamie Camille, a ona po mojej, zwracamy się do siebie wszystkie po imieniu, choć śmiesznie się do kogoś

zwracać swoim imieniem, wiedząc, że to po nim je mam. Nasze matki dalej utrzymują kontakt, ale nigdy tak naprawdę nie wygrzebały się z depresji, więc byliśmy dla siebie wszystkim. Zwłaszcza kiedy przyszła wiadomość, że nasi ojcowie nie żyją. Byli w jednej jednostce, zginęli od wybuchu. Nie było co przewozić do kraju – znów zawiesiła głos. – Dlatego my szerzymy pacyfizm – popatrzyła na bransoletkę ze znakiem pokoju, zwisającą z jej nadgarstka. – Wiemy, co wojna robi nie tylko na froncie, ale też na tyłach.

- Kochasz ją? – spytał chłopak prostolinijnie, nie dając jej czasu na zastanowienie.

- Mamę? – zdziwiła się Viviane, chociaż wiedziała, o co mu chodzi. On nie odpowiedział. Czekał, aż dziewczyna pęknie. W końcu westchnęła. – To moja siostra, oczywiście, że tak. Wiele razem przeszliśmy i wiele dla mnie znaczy. – Marcel dalej patrzył na nią wyczekująco, acz cierpliwie. – Tak – wyrzuciła z siebie i schowała twarz w dłoniach. Plecy zaczęły jej drgać spazmatycznie, a z gardła wydobywały się pojedyncze jęki. Gdy podniosła głowę, twarz miała mokrą, a oczy szkliste. – Nie wolno ci jej tego powiedzieć! – teraz jej głos był ostry, zdecydowany, jednak przepełniony emocjami. Tymi samymi, które kryły się w spojrzeniu. – Ona nie może się dowiedzieć! Ona nic nie czuje, nie wolno ci jej powiedzieć! – powtarzała te słowa jak mantrę.

Objęła się ramionami, przechylając wprzód i w tył. Przestała hamować łzy, szloch, krzyk. Czuła, jakby spuściła emocje ze smyczy, a one, niczym sfora dzikich psów pozbawionych kontroli, zaczęły siać zamęt, niszczyć wszystko

na swojej drodze, nieposkromione i dzikie. Poczwała, jak cała pokora, tak pilnie pielęgnowana, pragnienie, by nigdy nikogo nie krzywdzić, by nie robić problemów, uciekły wraz z watahą uczuć.

Marcel obserwował dziewczynę z żalem i łagodnością. Ta zawsze zdystansowana i zimna osoba na jego oczach stopniała niczym bryła lodu, od razu zamieniając się w parę wodną. Nie dość, że straciła ojca, w połowie matkę, przyjaciółkę, to także kogoś, kogo kochała, a nie mogła mieć. Jedyną pewną do tej pory w jej życiu osobę. Nie próbował nawet wyobrazić sobie bólu, który zżerał dziewczynę – widział go w każdym jej geście, każdym wydawanym dźwięku, każdym spojrzeniu zwilgotniałych oczu. Zbliżył się do dziewczyny i otoczył ją ramieniem w przyjacielskim geście. Viviane przyłgnęła do niego, chowając twarz w jego koszuli i mocząc ją łzami. Głaskał ją po włosach, nucąc kołysankę – pierwszą, jaka mu się nasunęła na myśl.

Siedzieli tak, poruszając się rytmicznie w ciszy, przerywanej szumem wiatru i jękami, tłumionymi bawełnianym materiałem.

Camille rozglądała się po pokoju Pierre'a. Pachniało w nim nikotyną. Inaczej go sobie wyobrażała. Podobnie jak cały dom, pokój był przestronny, bogato urządony. Nie spodziewała się po chłopaku takiej zamożności.

Wszystko w pomieszczeniu było utrzymane w jasnej kolorystyce, dwie ściany zajmowały regały, w kącie stała

sztaluga. Dziewczyna zbliżyła się do niej i obejrzała zawieszony na niej rysunek.

Był wykonany ołówkiem, na dużym formacie. Najbardziej zadziwiło ją to, co przedstawiał – to była ona. Jej ogromny portret odzwierciedlał każdy detal twarzy z precyzją i niezwykłym talentem. Stała zaszokowana. Pociągnięcia ołówka oddawały idealnie ostro zarysowany podbródek, duże oczy, pełne usta, wystające kości policzkowe, poskręcane w loki włosy, zadarty nos i długą szyję. W końcu odwróciła się do stojącego za jej plecami i obserwującego ją chłopaka. Uśmiechał się bezczelnie, czerpiąc przyjemność z jej zmieszania.

- Podoba ci się moja niespodzianka? – spytał, a jego kolczyk pobłyskiwał prowokacyjnie.

Dziewczyna szybko odzyskała rezon:

- Podoba mi się modelka – odparła, odwzajemniając lekko drwiący uśmiech.

Chłopak zbliżył się do niej i oparł łokciem o ścianę, wyginając ciało w łuk:

- To tak jak mi – spoważniał, patrząc dziewczynie prosto w oczy i powoli zmniejszając dystans między nimi.

Dzieliły ich milimetry, Camille przymknęła oczy...

- To jak, teraz akt?

Dziewczyna uniosła powieki i zobaczyła, że Pierre znów stoi dalej, a w jego oczach dostrzegła błysk tryumfu. „Punkt dla niego” – pomyślała i odpowiedziała, chcąc zremisować:

- Jasne, czemu nie – sięgnęła do włosów, wyciągając z nich spinkę i obserwując, jak chłopak się peszy. Odczuła

satysfakcję, ale postanowiła nie wychodzić z roli. – Gdzie się ustawić? – zaczęła ściągać buty, a Pierre obserwował ją oniemiały. Nieświadomie sięgnął po papierosa i zapalił go, wypełniając pomieszczenie dymem.

Nagle poczuła, że chciałyby to zrobić. Chciała złamać wszelkie bariery między nimi. Być blisko chłopaka. Pragnęła, żeby otworzył się przed nią, ale wiedziała, że ona musi zrobić to pierwsza.

– Pod jednym warunkiem – spoważniała. – Ty będziesz nagi. Przez cały czas masz mówić. O najgłębiej skrywanych lękach, radościach, smutkach i sekretach. – Chłopak słuchał uważnie.

Zrozumiał ją, wiedział, o co jej chodzi. Zaufanie za zaufanie. Całkowite powierzenie się drugiej osobie. Przypomniała mu się metafora Philippe’a o pociągu. Właśnie tak się teraz czuł: jakby miał wyskoczyć z pancерnej kolei strachu na peron wiary, gdzie czekała Camille.

Wziął głęboki wdech i chwycił sztalugę:

– Zgoda – przyczepił do stelaża czysty arkusz papieru i postawił go naprzeciwko łóżka. – Tu jest dobre światło. I będzie ci wygodnie.

Camille powoli zaczęła zsuwać rajstopy. Opuściła spódnice, która gwałtownie spadła na podłogę, obnażając jej nogi. Odpięła trzy pierwsze guziki koszuli i jednym szybkim ruchem ściągnęła ją przez głowę, zostawiając na sobie tylko bieliznę. Powolnym ruchem, cały czas patrząc na chłopaka, sięgnęła do haftek biustonosza, rozpinając go i rzucając na podłogę obok pozostałych ubrań. Wzrokiem chciała dać

Pierre'owi do zrozumienia, że robi to dla niego, ale żąda w zamian tego samego. Zrobiła krok w tył.

- Jak mam się położyć? - spytała oniemiałego chłopaka.

Ten jakby się ocknął, mrugając gwałtownie:

- Jak chcesz - odpowiedział, wskazując łóżko.

Dziewczyna ostrożnie podeszła do materaca i ułożyła poduszki. Położyła się na plecach, zginając dalszą nogę w kolanie, a ciężar ciała opierając na bliższym łokciu. Głowę zwróciła w stronę rysującego.

- Tak dobrze? - Chłopak tylko kiwnął głową.

Był bardziej zestresowany niż Camille. Wiedząc, że zaraz będzie opowiadał o sobie, czuł się równie nagi.

- Ściągnąć bransoletki?

Tym razem chłopak zaprzeczył gestem i zaczął ostrzyć nożykiem ołówek.

- Gdzie są twoi rodzice? - usłyszał pierwsze pytanie.

Nie przerywając strugania, odpowiedział:

- Są artystami, mama ma dzisiaj wernisaż, więc pewnie wrócą późno, bo potem jest after party - postawił pierwszą kreskę na kartce. - Tata pracuje w galerii.

- Dlaczego nie jesteś z nimi? - kontynuowała Camille.

- Nie lubię wystaw - z każdym pytaniem chłopak czuł, jakby pozbywał się kolejnego elementu garderoby. - Dużo ludzi, nudne wykłady, wymuszone uprzejmości i oglądanie obrazów, które już się widziało.

- To nie wszystko - powiedziała po prostu dziewczyna, a chłopak wiedział, że ma rację.

- Pamiętasz, jak mówiłem, że nie chcę być taki jak inni, nie

chcę się podporządkować? To też ze względu na nich – sięgnął po gumkę i zaczął intensywnie nią trzeć o papier. – Bo oni to zrobili. Artyści – prychnął. – Ojciec nawet nie ma czasu rysować, bo siedzi w papierach, a wszystkie prace matki są dyktowane. Mówią jej, co ma się znaleźć na płótnie i jak ma być namalowane, co się sprzedaje. Kiedyś nienawidziła realizmu, malowała pieprzone kwadraciki farbą olejną, ale kazali jej się przerzucić na pejzaże temperą. Brzydzi mnie to. Pewnie teraz masz mnie za rozpuszczonego dzieciaka. Wiem, że trzeba coś jeść, niech maluje widoczki, żebym miał obiad, jestem wdzięczny. Odrzuca mnie to, że tak łatwo się poddali. W domu nie ma już ani jednego słoiczka pieprzonej olejnej farby. Nie maluje abstrakcji nawet na własny użytek. Z czegoś, co kochała, uczyniła coś, czego nienawidzi – zrobił pauzę. – Nienawidzi – powtórzył dobitnie ostatnie słowo.

Camille zamyśliła się. Nie wiedziała, jakie pytanie ma być następne. W końcu odezwała się, przeszywając głosem gęstą ciszę:

- A ty chcesz się z tego utrzymywać?

- Nie – tym razem się nie wahał. – Nie chcę, żeby moja pasja była obowiązkiem, chcę ją zachować dla siebie i realizować ją codziennie z nowym zapalem, a nie stałym znużeniem.

- Czemu nie powiedziałeś, że jesteś bogaty? – zadała kolejne pytanie, które nie dawało jej spokoju, odkąd przekroczyła próg tego domu.

Chłopak trochę się zmieszał, ale pamiętając o umowie, odpowiedział:

- Wiem, że to może głupie, ale się wstydzę. Wstydzę się, że moi rodzice dla pieniędzy wyparli się siebie i czegoś, co było ich miłością.

W tej chwili ryzykował wszystko. Stał na peronie, a dziewczyna mogła go albo wyprowadzić z dworca, albo pchnąć na tory. Był całkowicie na jej łasce.

Camille wiedziała, że dotarła do sedna. Nie drażyła już. Teraz oboje byli tak samo obnażeni. Resztę czasu spędzili w milczeniu.

W pewnym momencie Pierre odłożył ołówek, odsunął się od sztalugi i spojrzał na dzieło. Czuł zdenerwowanie. Zależało mu na tym, aby Camille była zadowolona z efektu.

- Skończone - powiedział.

Dziewczyna, cała zdrętwiała, powoli wstała i sięgnęła po ubranie. Zakrywszy się, podeszła do chłopaka i spojrzała na owoc jego pracy. Była pod wrażeniem tego, co zobaczyła. Z kartki patrzyła na nią ona sama, w idealnych proporcjach i kształtach. Podniosła wzrok na artystę:

- To jest piękne - powiedziała.

Chłopak, całkiem poważny, odparł:

- To ty, ty jesteś piękna - i nachyliwszy się, pocałował wpatrzoną w niego Camille.

Ta odwzajemniła pocałunek. Najpierw delikatnie, zaskoczona jego gestem. Potem intensywniej. Przytrzymał ją w talii, a ona otoczyła ramionami jego szyję. Czuła jego wargi, zimny dotyk metalu na języku, nikotynowy smak w swoich ustach. Ich języki połączone były w szalonym tańcu, malując własny obraz. Zapomnieli o problemach, nie pamiętali

o radościach. Byli tu i teraz. I nigdzie więcej.

W końcu oderwali się od siebie, zdyszani. Utrzymali przez chwilę powagę, po czym znów wrócili do zwykłego nastroju:

- Teraz zamiana - powiedziała Camille, uśmiechając się przewrotnie. - Czas, żebyś poznał moje talenty plastyczne.

Chłopak roześmiał się, ale przystał na propozycję. Zrzucił koszulkę i dżinsy bez żadnego skrępowania. Zatarli między sobą wszelkie granice. Przyczepił do sztalugi czystą kartkę i położył się w tej samej pozycji, co poprzednio dziewczyna.

Camille teatralnym gestem sięgnęła po ołówek, wywołując kolejną salwę śmiechu u Pierre'a.

- To co chcesz wiedzieć? - spytała, stawiając pierwszą kreskę.

- Dlaczego przyjaźnicie się z Viviane? - powiedział i wysłuchał z uwagą historii o rodzicach dziewczyn i ich pobudkach ideologicznych.

- Kiedy mamy miały depresję - kończyła - nie miałyśmy nikogo. Tylko siebie wzajemnie. Czerpałyśmy jedna od drugiej energię i wychowałyśmy się w ten sam sposób. Jesteśmy bardzo zżyte - odłożyła ołówek, oddaliła się od sztalugi i uśmiechnęła. - Finito!

Chłopak znów wybuchnął śmiechem i od razu podszedł do rysunku. Pod wpływem wesołości zgiął się wpół i wydając z siebie gardłowe dźwięki, zatoczył się po pokoju. Jego oczom ukazała się „sylwetka”, składająca się z ogromnego koła z dwiema kropkami, trójkątem i czymś, co trudno nazwać, ale chyba miało być ustami, i kreskami, pełniącymi role kończyn i tułowia.

Gdy model się uspokoił, podszedł do Camille i znów mocno ją pocałował. Kiedy skończyli, chłopak zaczął się ubierać. Co chwila jednak przerywał tę czynność, by obdarzyć pocałunkiem dziewczynę, która patrzyła na niego z uśmiechem pozbawionym jakiegokolwiek ironii, a pełnym szczerzej radości.

Viviane usłyszała stukanie do drzwi. Przerwała rozwiązywanie zadań matematycznych i poszła otworzyć. Mamy jeszcze nie było, więc dziewczyna spojrzała przez wizjer i z zaskoczeniem ujrzała Camille. Otworzyła drzwi i wpuściła przyjaciółkę do środka. Gdy tylko to zrobiła, dziewczyna odezwała się bez przywitania:

- Wiesz, ile mam ci do powiedzenia, nie uwierzysz! - mówiła, kierując się do kuchni, a konkretnie do stojącej tam puszki z ciastkami. Sięgnęła po dwa i streściła wydarzenia minionego dnia.

Viviane słuchała zafascynowana. Wciąż ją to wszystko bolało, ale nie czuła już złości. Jakby otwarcie się przed Marcelem coś w niej zmieniło. Była szczęśliwa. Tak, cieszyła się radością przyjaciółki i życzyła jej dobrze.

Kiedy Camille skończyła, Viviane uśmiechnęła się i - z zupełnie nową energią oraz szczerym entuzjazmem w głosie - powiedziała:

- Tylko nie migdalcie się na każdym kroku, bo was obrzygam.

Obie się roześmiały i poczuły, jak napięcie, które przez ostatni czas było między nimi, znika.

„KATA TON DAIMONA EAYTOY – pomyślała Viviane. –
Udało mi się, Jim. Udało”.

Majowe słońce piekło nieosłonięte ramiona uczniów, jakby chciało o sobie przypomnieć po długim okresie nieobecności. Wszyscy już dawno porzucili ciepłe bluzy na rzecz przewiewnych koszul. Rozleniwieni przez pogodę ludzie przestali się spieszyć, pozwalając złotym promieniom delikatnie pieścić ich ciała.

Camille i Pierre, nic nie robiąc sobie z odgrażającego się im słońca, całowali się pod ogrodzeniem, jakby chcieli zrobić mu na złość. Przerwali, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Jesteś wolna dzisiaj po lekcjach? - wydyszał Pierre, przyciskając dziewczynę do płotu i opierając się o niego ramionami.

Camille położyła mu dłonie na piersi:

- Cmentarz - odrzekła i pocałowała go delikatnie w szyję.
- Nie mogę jej znowu wystawić.

Chłopak nie miał pretensji, rozumiał więź, która łączyła dziewczyny.

- W takim razie idziemy teraz - obdarzył ją długim pocałunkiem, oderwał od płotu i pociągnął w stronę bramy.

Dziewczyna poszła za nim, zdezorientowana.

- Gdzie idziemy? - spytała tylko, gdy byli już poza terenem szkoły.

Pierre uśmiechnął się bezczelnie, nic nie odpowiadając, i skierował kroki ku najbliższej stacji metra.

- Montmartre? - odezwała się, kiedy wyszli na powierzchnię.

Jej towarzysz spojrzał na nią uważnym wzrokiem, pochwycił jej dłoń, ale się nie odezwał.

Szli pod górę, ścieżką wybrukowaną jasną kostką. Przechodzili między malarzami, rysownikami, śpiewakami. Mijali ludzi i kawiarenki z niespieszącymi się kelnerami. Promienie słońca odbijały się od białych ścian budynków i igrały na kolorowych szyldach. W ciszy stawiali kroki, chłonąc dźwięki i obrazy.

W końcu zatrzymali się na placu przy bazylice Sacré-Coeur. Monumentalna budowla patrzyła na nich pełna gracji i wdzięku, charakterystycznymi dla mądrości oraz doświadczenia skrywanymi pod kopułą. Camille i Pierre podeszli do murku otaczającego wzgórze i spojrzeli na roztaczający się widok. Całe wiecznie żywe, pełne ruchu miasto było zamrożone w tej jednej panoramie. Nieruchome czekało na następne posunięcie obserwatorów.

- Bałem się - przerwał ciszę Pierre, nie odrywając wzroku od malującej się przed nimi scenerii, sięgając jednocześnie do kieszeni po papierosa. - Zaufałem w życiu rodzicom, przyjaciołom... wszyscy mnie zawiedli. Zamknąłem drzwi -

ścisnął mocniej dłoń dziewczyny. - A wtedy pojawiłaś się ty. Z kluczem - wreszcie odwrócił głowę w jej stronę. Dziewczyna patrzyła wprost na niego. - Nie wiem, gdzie go znalazłaś i czy mnie nie okradniesz - zrobił pauzę. - Ale to się już nie liczy. Bo wiem, że nawet jeśli zostanę z niczym... to nie będę żałował ani jednej chwili, kiedy u mnie byłaś - zakończył i spojrzał wyczekująco na Camille.

Dziewczyna zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała, wyjąwszy skręta z jego ust. Jednak nie całowała namiętnie, łąpczywie. Tylko delikatnie, z otuchą i troską. On zrozumiał całą wymowę tego gestu, odwzajemniając go i chwytając Camille w pasie.

Kiedy już się od siebie oderwali, dziewczyna spojrzała na niego, pytając:

- Dlaczego Montmartre?

- Tutaj, gdy patrzę w dół - wyjaśnił - czuję się, jakbym wszystko kontrolował - skierował wzrok w stronę miasta. - A jednocześnie, gdy spojrzę w górę - teraz zerknął na bazylikę za nimi - tutaj mam najsilniejsze poczucie, że wcale tak nie jest - zawiesił głos. - Wiem, to bez sensu, ale...

- Wcale nie - przerwała mu dziewczyna. - To ma bardzo dużo sensu.

I znów go pocałowała z całą pasją, jaką w sobie miała.

Powolnym krokiem zaczęli schodzić ze wzgórza po stromych schodach, śmiejąc się i zataczając jak pijani. Wpadali na ludzi, którzy pobłażliwie ich przepuszczali, łaskawie nastroszeni przez pogodę.

Stanęli przy karuzeli. Wskoczyli na kręcące się konie. Po jednym okrążeniu musieli zejść, bo przegonił ich dozorca. Uciekali, śmiejąc się jeszcze głośniej. Po chwili zwolnili bieg i znów zaczęli się całować.

Tym razem robili to gwałtownie, mocno. Ich języki siłowały się brutalnie, a zęby nie znały litości wobec delikatnej skóry warg. Camille poczuła krew, ale nie była pewna czyją. Nie czuła bólu, chciała poznać i zapamiętać chłopaka wszystkimi zmysłami: wciągała jego ostry zapach, smakowała nikotynę wypełniającą usta, wodziła dłońmi po ciele, chcąc dotrzeć do każdego zakamarka, słuchała przyspieszonego oddechu.

Kiedy oderwali się od siebie, dysząc ciężko, Camille wzruszyła ramionami, drażniąc chłopaka. Na ten widok poczuł, jak wszystkie komórki jego ciała wyrywają się w jej stronę, pragnąc ją usatysfakcjonować i zranić. Sprawić, że będzie krzyczeć, aby przestał, i błagać o litość. Nie zapomni tego, nie będzie obojętna. Wiedział, że dziewczyna tylko się z nim droczy, a jednak jakaś pierwotna część chciała, aby ta niewzruszona postawa zmieniła się w bezbronny, wzruszony strach.

- Jestem głodna - powiedziała Camille, powodując u Pierre'a salwę śmiechu i oddalając od niego uczucia sprzed chwili.

Objął ją ramieniem, jeszcze raz pocałował mocno, i ruszyli w stronę stojącej niedaleko budki z naleśnikami.

Viviane biegała po szkole, szukając przyjaciółki. Nie widziała jej od trzeciej lekcji, a teraz była już szósta. Dziewczyna zostawiła torbę z rzeczami pod salą i zniknęła. Viviane na początku się denerwowała, potem jednak spostrzegła, że nie spotkała także Pierre'a. Rosnąca irytacja przeszła stopniowo w złość – ona taszczyła jej rzeczy, martwiła się, a ta ją zignorowała i poszła na wagary z chłopakiem.

Na korytarzu dostrzegła rozmawiających Marcela z Philippe'em. Podeszła do nich i spytała:

- Widzieliście gdzieś Camille?

Chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Pierwszy odezwał się Philippe:

- Po trzeciej lekcji wychodziła z Pierre'em ze szkoły – potwierdził przypuszczenia dziewczyny.

Viviane podziękowała chłopakom za informację i ruszyła w stronę wyjścia. Ci znów spojrzeli po sobie. Tym razem odezwał się Marcel:

- Dlaczego jesteś taki skrępowany? – spytał, a Philippe otworzył szerzej oczy, zaszokowany jego bystrością i otwartością. – Za każdym razem, gdy z nami rozmawiasz, zachowujesz się, jakbyś się nas bał.

Chłopak zawahał się przed odpowiedzią. Spojrzał w oczy kolegi i odparł:

- Wszyscy macie mnie za rozpuszczonego tępaka, ale ja taki nie jestem – westchnął. – Mam głębsze przemyślenia, problemy... Nie jestem jak oni – spuścił wzrok.

Marcel wpatrywał się w niego przez chwilę, zanim powiedział:

- Wiemy, tylko że... jesteś z innej bajki - podsumował w końcu, a Philippe podniósł na niego zdezorientowane spojrzenie. - Tu nie chodzi o ciebie, tylko o to, że jesteśmy zupełnie z różnych warstw. Trudno ci się przystosować do rozmowy z kimś, kto nie ma pieniędzy czy bogatych rodziców. To jest w porządku - zapewnił od razu. - Takie różnice powinny łączyć, nie dzielić.

Zapadło milczenie, a Philippe intensywnie myślał nad tym, co właśnie usłyszał. Marcel miał rację - powinni się zrozumieć i zaakceptować. Wciąż istniały między nimi granice. Philippe nie przywykł do okazywania uczuć, szczerości, dzielenia się myślami - to wszystko musiał przekroczyć, żeby wejść wyżej. I miał zamiar to zrobić.

Viviane przyszła na cmentarz pierwsza. Zaraz po niej zjawili się Philippe i Marcel. Chłopcy ledwo zdążyli usiąść, gdy usłyszeli śmiech. W oddali zobaczyli Camille z Pierre'em, trzymających się za ręce. Viviane na ten widok poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Chciała nakrzyczeć na przyjaciółkę za to, że ta ją zostawiła, ale bała się, że powie coś, czego będzie potem żałować. Wskazała więc tylko ruchem głowy torbę Camille i zachowała ciszę.

Nagle odezwał się Philippe:

- Chcę wam coś powiedzieć. - Wszyscy spojrzeli na niego. Chłopak odetchnął. - Nie jestem taki płytki, jak myślicie. Nie chciałem się nawet zadawać z tamtymi ludźmi. Brigitte mnie zdradziła z gościem, którego uważałem za przyjaciela. Teraz

wiem, że nigdy nim nie był. Mój ojciec pracuje od rana do wieczora, prawie go nie widzę, nie ma dla mnie czasu. Matka siedzi w domu, ale to nie jest bajka, tak jak wszyscy myślicie. Wy macie siebie, ja nawet tego. Lubię was. Wiem, że wiele nas różni, ale tyle samo łączy - teraz ton jego głosu był błagalny. - Zrozumcie mnie.

Ciężka cisza opadła na nich niczym płótno, okrywając szczelnie wszystkie słowa i nie wpuszczając pod siebie nawet westchnięcia. Nie wiedzieli, co o tym myśleć. Nie oczekiwali takiej szczerości. Sam Philippe nie był przekonany co do słuszności decyzji o otwarciu się przed pozostałymi, ale potrzebował tego.

- *There's nothing you can do that can't be done* - tym razem śpiewać zaczęła Viviane, lecz nikt się nie dołączył. Mimo to kontynuowała:

*nothing you can sing that can't be sung,
nothing you can say...
But you can learn how to play the game,
it's easy.*

Dopiero refren wszyscy zaśpiewali razem. Jednak piosenka, która była pełna energii, w ich ustach brzmiała melancholijnie i smutno:

*All you need is love,
all you need is love,
all you need is love, love.*

Love is all you need^[5].

Camille patrzyła na Pierre'a, ale jego zaduma już uleciała. Zaczął z nową energią śpiewać kolejną piosenkę. Wzrok miał utkwiony w dziewczynie:

*Can't buy me love, love
Can't buy me love*

Ona uśmiechnęła się, lecz zachowała ciszę. Nikt nie rozumiał ani nagłej zmiany nastroju ani powiązania, jakie było między nimi a piosenką.

*I'll buy you a diamond ring my friend
If it makes you feel alright
I'll get you anything my friend
If it makes you feel alright
'Cause I don't care too much for money,
Money can't buy me love*^[6]

Philippe pomyślał, jak bardzo identyfikuje się z tą piosenką, która mogłaby być ścieżką dźwiękową jego życia.

Lato zbliżało się wielkimi krokami, przeganiając z drogi chmury. Camille z Pierre'em siedzieli na ławce na wzgórzu Montmartre, jedząc naleśniki z nutellą i śmiejąc się z siebie – cali byli umazani czekoladą. Dorośli zerkali na nich z niesmaczeni, dzieci, poganiane przez niecierpliwych rodziców, z otwartą zazdrością obserwowały cienkie placki ociekające brązowym kremem.

- Nie do wiary – mówił Pierre. – Umawiam się z kimś, kto nie umie jeść.

Dziewczyna uśmiechnęła się zalotnie i odparła:

- Wolę używać ust do czegoś innego. – Wywołała tym śmiech chłopaka.

- To się wykaż – zamknął oczy i rozchylił usta, lecz zamiast pocałunku, dziewczyna wepchnęła mu do ust kawałek naleśnika, rozsmarowując dokładnie czekoladę na jego wargach. Chłopak na początku zaczął kąsać ciasto, myśląc, że to usta Camille. Dopiero po chwili zorientował się, co całuje. – Zemsta będzie bardzo słodka!

Kiedy dziewczyna zaczęła się ze śmiechem odsuwać, on ją pochwycił, przytrzymał i rozprowadził nadzienie naleśnika na

jej całej twarzy. Wierzgała, piszcząc, ale była za słaba, więc po desperackich próbach odzyskania wolności, poddała się. Gdy chłopak skończył, spojrział na efekt pracy i powiedział:

- To moje najlepsze dzieło malarskie.

Skończyli jeść i poszli szukać miejsca, żeby zmyć czekoladę. Kiedy nie znaleźli żadnego wodopoju, Pierre westchnął:

- Trudno, poświęcę się - i zaczął zlizywać czekoladę z twarzy dziewczyny.

Ona zaczęła się śmiać. Odsunęła go, mówiąc:

- Na szczycie jest przecież fontanna.

Spojrział na nią, jakby oznajmiła, że Ziemia jest płaska:

- Przecież nie będziesz szła na samą górę w takim stanie!
- wrócił do przerwanej czynności. - Poza tym idę do pracy, nie mogę tak wyglądać - uniósł jedną brew, a dziewczyna zaczęła go „myć”.

Kiedy skończyli zabiegi higieniczne, wspięli się na plac na szczycie wzgórza, znaleźli zacienione miejsce, gdzie chłopak ściągnął gitarę z pleców, rozłożył pokrowiec i zaczął grać.

Camille obserwowała, jak wokół Pierre'a zbierał się coraz liczniejszy tłum. Grał na gitarze, jednocześnie śpiewając, a w zamian ludzie wrzucali do futerału drobne. Dziewczyna cieszyła się widokiem wzgórza, powoli spacerujących ludzi i chłopaka, który występował tylko dla niej.

Czuła, że z każdym dniem jest mu coraz bardziej poddana. Zwykle to ona dyktowała warunki. Tym razem tego nie robiła, nie chciała.

Pogrążona w myślach nie zauważyła, że muzyka ucichła.

Poczuła, jak ktoś ją łapie w pasie. Odwróciła się i mocno pocałowała chłopaka. Gdy odeszła na odległość kroku, sięgnęła po papierosa. Dziewczynie do tej pory nie przeszkadzał ten nałóg, w tej chwili jednak poczuła złość. Zawładnęła nią nagła obawa spowodowana nałogiem i jego możliwymi skutkami.

- Wypaliłeś dzisiaj już cztery - zauważyła, ale w jej głosie nie było irytacji, a czysta troska. Przysunęła się bliżej Pierre'a i objęła go. - Daj płucom odpocząć.

Chłopak widział, że dziewczyna jest poważna. Czasem żartobliwie wyjmowała mu skręta z dłoni i rzucała na ziemię. Tym razem nie uśmiechała się.

- Wcześniej ci to nie przeszkadzało - odrzekł z beczelnym uśmiechem, który zawsze rozczulał Camille. Teraz jednak poczuła narastającą irytację.

- Bo się nie martwiłam - była cierpliwa, nie chciała się z nim kłócić.

- A teraz się o mnie martwisz? - uniósł jedną brew, a jego uśmiech był jeszcze szerszy.

Dziewczyna nie wytrzymała:

- Nie, o siebie, bo jestem ofiarą palenia biernego!

Chłopaka bawiła jej irytacja. Wrócił na swoje poprzednie miejsce, ściągnął gitarę z pleców i zaśpiewał:

*They tried to make me go to rehab but I said 'no, no, no'
Yes I've been black but when I come back you'll know know
know
I ain't got the time and if my daddy thinks I'm fine
He's tried to make me go to rehab but I won't go go go^[7]*

Camille przewróciła oczami, odepchnęła tłoczących się ludzi i odeszła. Zobaczywszy to, chłopak pozbierał szybko rzeczy, po czym pobiegł za dziewczyną, odgarniając na boki tłum, obserwujący całe zajście z nieukrywaną ciekawością. Dogonił ją i złapał za rękę, zmuszając, by na niego spojrzała:

- Co się stało? - zapytał zmartwiony.

Dziewczyna spojrzała na pokaleczoną kolczykami twarz.

- Martwię się o ciebie - powiedziała. - Trujesz się. Rzuć to świństwo! - podniosła głos.

- Myślisz, że to takie łatwe? - mówił spokojnie, ale z irytacją. - Ja nad tym nie panuję, dostaję fioła, kiedy nie mogę zapalić. To nie jest takie proste! - teraz on też krzyczał. - Kiedy spadam, to gówno mnie podnosi, dzięki papierosom nie zwariowałem, tylko one mnie nie zawiodły w tym popieprzonym życiu!

Dziewczyna pokręciła głową. Czuła rozczarowanie i smutek. Ktoś, kto wydawał się tak pewny siebie, uzależniał swoją siłę od codziennej dawki tytoniu.

- Nie chcesz być niewolnikiem społeczeństwa, a pozwoliłeś, żeby zapanowały nad tobą pieprzone pięciocentymetrowe rurki - każde słowo cedziła przez zęby z bólem i goryczą. Nie chciała tego mówić, ale wiedziała, że musi. - Żałosne. Jesteś żalosny...

Wyrwawszy się chłopakowi, zbiegła ze wzgórza. Pierre był szybszy od niej, ale dziewczyna wbiegła w tłum przy zejściu do metra i skryła się wśród anonimowych postaci.

Viviane mieszała ciasto w misce, kiedy drzwi frontowe gwałtownie się otworzyły i wbiegła zapłakana Camille. Pierwszą myślą dziewczyny było to, że zapomniała przekręcić zamek. Dopiero po chwili dotarło do niej, że coś stało się przyjaciółce.

Camille wbiegła do kuchni i wpadła na Viviane, zarzucając jej ramiona na szyję. Nic nie mówiła, ale cały czas łkała. Viviane odsunęła się, nie chcąc ubrudzić przyjaciółki, i ruchem głowy wskazała krzesło obok. Camille opadła na nie wycieńczona biegiem i szlochem. Włosy miała potargane, twarz czerwoną i mokrą. Wzięła parę głębokich wdechów, nim zaczęła opowiadać.

Kiedy Viviane wysłuchiwała niezgrabnej wypowiedzi, odetchnęła z ulgą. Bała się, że dziewczyna miała wypadek, tymczasem to tylko kłótnia. Wiedziała, że przyjaciółka jest trochę przewrażliwiona i na pewno nie było tak źle, jak wynikało z jej słów. Dodając mąkę do miski stojącej na blacie, skwitowała:

- Czyli dałaś mu ochrzan, a potem uciekłaś?

Nie otrzymała odpowiedzi, tylko kolejną falę łez zalewającą policzki Camille. Postanowiła nie reagować. Wiedziała, że dziewczyna w końcu zacznie myśleć racjonalnie. Więc kiedy jej przyjaciółka tonęła w rozpacz, Viviane wkładała pierwszą partię babeczek do pieca.

Marcel myślał o słowach Philippe'a. Chłopak był zagubiony i sam nie był pewien, gdzie powinien iść, by się odnaleźć.

Mimo jego szczerych chęci wpasowania się w grupę, dostrzegał różnice zbyt głębokie, by pozostawały bez znaczenia.

Zapisał to wszystko w zeszycie, kiedy do pokoju weszła jego mama:

- Masz gościa - powiedziała z uśmiechem.

Była zadowolona, że jej syn wreszcie znalazł sobie znajomych, martwiła się jego aspołecznością. Otworzyła szerzej drzwi, wpuszczając do środka Pierre'a.

Chłopak był w tym mieszkaniu pierwszy raz, ale wiedział, jak trafić, bo parę razy po spotkaniu na cmentarzu odprowadzał kolegę. Pokój był niewielki, ale przytulny. Na regałach obok książek stały rzędy najprzeróżniejszych zeszytów w twardych i miękkich okładkach.

Marcel zdziwił się na widok kolegi. Zatrzasnął notatnik leżący na jego kolanach i usiadł w rogu kanapy, robiąc miejsce Pierre'owi. Ten, rzuciwszy gitarę na ziemię, usiadł ciężko, nic nie mówiąc. Pierwszy odezwał się Marcel, po raz kolejny zaskakując swoim zmysłem obserwacji:

- O co się pokłóciliście? - tym jednym pytaniem wywołał lawinę słów, które wydobyły się z ust Pierre'a.

Kiedy skończył opowieść, bezwiednie sięgnął po papierosa, ale Marcel go powstrzymał:

- Po pierwsze, nie wydaje mi się, żeby to był dobry sposób na wyjście z nałogu. - Pierre zastygł ze skrętem w powietrzu.
- A po drugie, matka by mnie zabiła, gdyby wyczuła.

Pierre schował papierosa z powrotem, nie umiał się jednak skoncentrować. Po chwili rzekł:

- A masz jakiś alkohol? - Zobaczył spojrzenie Marcela. - Nie, nie wchodzę w kolejne uzależnienie, ale muszę się jakoś ogarnąć.

Marcel rozumiał kolegę. Widział, że jest rozdygotany. Wstał, wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z butelką wódki.

- Pójdę do piekła - podał alkohol chłopakowi, który natychmiast pociągnął spory łyk. Wzdrygnął się, ale znów przyłożył butelkę do ust.

Przez jakiś czas żaden z nich nic nie mówił. Dopiero po chwili Pierre jakby się ocknął:

- Muszę z nią porozmawiać, muszę jej powiedzieć! - płatał się.

- W tym stanie nie będziesz z nią rozmawiał - kategorycznie zabronił Marcel, jednak po chwili namysłu podał chłopakowi telefon.

Wiedział, że teraz Pierre będzie z dziewczyną szczerzy. Dużo ryzykował, ale drżącą ręką wybrał numer Camille.

Po trzech sygnałach Pierre usłyszał znajomy głos. Nie płakała, ale miała chrypę:

- Halo?

- Dlaczego mi to robisz?! - zaczął krzyczeć Pierre. - Zniewalasz mnie, robisz ze mnie lepszego, niż jestem! Wiesz, że wypierdolę te papierosy, bo cię kocham! Dlaczego się nade mną tak znęcasz?!

- Piłeś? - spytała, ale nie była zła. - Gdzie jesteś?

- U Marcela, ale on mi nie pozwala palić, bo by go matka zabiła. A mi matka pozwala palić, tylko ty nie. I to mnie w ogóle bardzo obchodzi! - język mu się plątał.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Dziewczyna się nie odzywała. Z oczu leciały jej łzy. Zawsze inaczej sobie wyobrażała wyznanie miłości. Chłopak miał nie krzyczeć, być trzeźwy i powiedzieć to nie przez telefon. Ta scena nie była romantyczna, ale brutalna i pełna złości. Rozłączyła się.

- I co? - zapytał Marcel, ale w odpowiedzi Pierre wyciągnął trzy paczki papierosów z kurtki i podał je koledze.

- Wypierdol to - powiedział tylko, pociągając kolejny łyk z butelki.

Pierre zasnął na kanapie, a Marcel w tym czasie sięgnął po zeszyt. Przejrzał go: wpisy sprzed trzech miesięcy były regularne i obszerne. Potem robiły się coraz krótsze i rzadsze. Im więcej przeżywał z tymi ludźmi, tym mniejszą miał potrzebę pisania. Zmusił się jednak, by sięgnąć po długopis i zanotować wydarzenia minionego dnia. Przerwało mu pukanie do drzwi. Szybko schowawszy butelkę z alkoholem, spojrzał na rozpromienioną mamę:

- Koleżanki do ciebie - wpuściła do środka Camille i Viviane.

Chłopak odetchnął, że nie zauważyła chrapiącego, śmierdzącego wódką Pierre'a. Wtedy nie byłaby pewnie tak zadowolona, że syn ma znajomych.

Camille, gdy tylko dostrzegła śpiącego, podbiegła do niego i zaczęła okładać go pięściami. Chłopak otworzył oczy, zdezorientowany. Dziewczyna z płaczem przylgnęła do niego.

- Jesteś nienormalny! - zawołała, całując jego szyję, twarz, usta, oczy.

Pierre, wzmocniony drzemką, zaczął odwzajemniać łapczywe pocałunki i wodzić dłońmi po ciele dziewczyny. Trzymał ją, jakby tonął, a ona była boją ratunkową.

- Nie chcę ich, nie chcę ich... - powtarzał chłopak w amoku.

- Masz mnie - Camille przytrzymała dłońmi jego głowę. - Mi możesz zaufać, nie potrzebujesz już papierosów.

- Nie potrzebuję... ty będziesz moim papierosem? - spytał, zamroczony wódką.

- Tylko mnie nie pal - powiedziała dziewczyna, patrząc mu w oczy z uśmiechem.

Marcel zerknął na Viviane. Dostrzegł jej spojrzenie skierowane ku całującym się: pełne bólu, smutku i radości. Chłopak poczuł, jak rośnie w nim podziw dla tej dziewczyny. Nie wiedział, czy byłby w stanie tak przez kogoś cierpieć i jednocześnie cieszyć się jego szczęściem. Podeszedł do niej i objął ją ramieniem. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

Ich uwagę odwróciło pukanie do drzwi. Pierre i Camille w ogóle nie zareagowali, zajęci sobą. Marcel, wciąż obejmując Viviane, spojrzał na mamę, która zdezorientowanym wzrokiem ogarnęła pokój. Chłopak mimowolnie się uśmiechnął:

- Mamo, odwiozłabyś dziewczyny? - spytał, czym wyrwał kobietę z osłupienia. - I czy Pierre może tu dzisiaj nocować? Upił się i nie dojedzie do domu. A, i jeszcze wziąłem wódkę z barku, ale nie piłem - podał mamie w trzech czwartych opróżnioną butelkę.

- Yyy... tak, dobrze - odpowiedziała, wciąż nie rozumiejąc,

co się stało. – Teraz?

Marcel spojrzał po dziewczynach. Camille na niego nawet nie patrzyła. Zasnęła w ramionach Pierre'a, wycieńczona wydarzeniami dnia. Viviane przytaknęła:

– Tak, dziękujemy pani bardzo. Przepraszamy za kłopot, ale już późno i...

– Ależ to żaden kłopot – machnęła ręką kobieta, którą natychmiast ujęła ta miła dziewczyna, tak czule objęta przez jej syna. – Tylko musimy obudzić twoją koleżankę...

– Ja się tym zajmę – odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem. – Będziemy gotowe za jakieś pięć minut.

Mama Marcela przytaknęła. Wychodząc z pokoju, zamknęła za sobą drzwi. Viviane podeszła do przyjaciółki i potrząsnęła jej ramieniem. Dziewczyna ocknęła się i rozejrzała nierozumiejącym wzrokiem.

– Nieważne, przypomnisz sobie – powiedziała tylko Viviane, a Camille, w pełni jej ufając, po prostu wstała i ruszyła za dziewczyną. – Wielkie dzięki za pomoc – zwróciła się teraz do Marcela, a ten tylko się uśmiechnął.

– Nie ma sprawy.

Dziewczyny wyszły z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Po chwili słychać było dźwięk silnika. Marcel nagle poczuł, ile energii wycisnął z siebie tego dnia. Przykrył kocem Pierre'a, który mówił coś przez sen, a sam poszedł umyć zęby. Położył się na łóżku i zasnął natychmiast.

Marcela obudziło ostre światło przedostające się zza okna

i przeciągły jęk dobiegający z drugiego końca pokoju. Śmierdziało wymiocinami, spirytusem oraz potem. Wstał i otworzył okno, za co został skarcony jeszcze głośniejszym niż poprzedni gardłowym odgłosem. Marcela w nocy parokrotnie budziły stęknienia, odgłosy kroków i torsji, za każdym razem, gdy Pierre nie zdążył dojść do łazienki. Przy dwóch pierwszych atakach nudności chłopak wstawał i sprzątał, ale potem dał sobie spokój.

Teraz rozejrzał się, oceniając straty. Dużymi krokami ominął zabrudzone miejsca i poszedł po ścierkę. Kiedy wrócił, Pierre powoli podnosił się z miejsca:

- Masz coś na głowę? - spytał, trzymając dłoń na czole.

- Teraz ci nie dam, bo ci zaszkodzi - odpowiedział Marcel.

- Ale możesz po sobie posprzątać. Wytrzeźwiejesz i dostaniesz w nagrodę paracetamol - uniósł kciuk, ale Pierre chwycił poduszkę i z warknięciem rzucił w chłopaka. Mimo to podniósł się. Wziął ścierkę i posłusznie zaczął myć podłogę.

- Dzięki, stary - odezwał się, płucząc szmatę w wiadrze. - Za nocleg i... za wszystko, dzięki.

- Nie ma sprawy - Marcel klepnął go w ramię. - Jedzenie jest w lodówce, więc się nie krępuj, ubranie możesz pożyczyć, a proszki w szafce w kuchni.

Pierre był zdezorientowany:

- A ty gdzie idziesz?

- Do szkoły - uśmiechnął się chłopak. - Ty lepiej zostań, na wypadek, gdyby ktoś ci nie uwierzył, że wylałeś etanol na chemii.

- Dzięki, stary - powtórzył Pierre, przerywając sprzątanie

i patrząc na kolegę, ale ten już wychodził. – Marcel! – krzyknął za nim.

Chłopak posłusznie wrócił i spojrzał wyczekująco. Pierre sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej srebrną zapalniczkę. Rzucił ją w stronę Marcela, a ten nieco niezgrabnie złapał ją w powietrzu. Nie musieli nic mówić, obaj wiedzieli, jakie znaczenie ma ten symboliczny gest. Marcel schował zapalniczkę i wyszedł z pokoju.

W kuchni natknął się na mamę:

– I jak twój kolega? – spytała.

– Trzeźwieje – odpowiedział chłopak. – A dziewczyny?

– O, odwiozłam! – kobieta ożywiła się. – Ta Viviane to miła dziewczynka...

– Ta, ale ma kogoś, jeśli o to ci chodzi – uciał szybko Marcel i pożegnawszy się, wyszedł do szkoły.

Camille przenocowała u Viviane. Gdy tylko dotarły do mieszkania, padły na łóżko, nawet się nie myjąc. Matka Viviane nie zadawała pytań. Była przyzwyczajona, że dziewczyny często nocują w domu jednej z nich. Tak samo mama Camille – była spokojna o córkę, domyślając się, gdzie ta znalazła nocleg. Rano obie były udręczone. Nie rozmawiały ze sobą przez całą drogę do szkoły. Dopiero tam Camille się odezwała:

– Dzięki... za nocleg i pomoc...

– Nie ma sprawy – uśmiechnęła się Viviane i mrugnęła do niej, obejmując ją ramieniem.

Znów śmiały się, zapominając o trudach poprzedniego dnia. W tym stanie znalazł je Marcel. Posłał im uśmiech.

- Pierre'a nie będzie - oznajmił. - Sprząta rzygi.

- I dobrze mu tak - odezwała się Camille, ale uśmiech nie schodził z jej twarzy. - Całe mieszkanie powinien ci posprzątać!

- Jeszcze ci nie podziękowałyśmy - powiedziała Viviane i uściskała serdecznie chłopaka. - I przepraszamy za tę całą akcję...

- Przestańcie, to on się przypałał. - Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

W trakcie rozmowy zadzwonił telefon Camille. Ze sposobu, w jaki patrzyła na wyświetlacz, domyślili się, że dzwoni Pierre.

- Ja już lecę, do zobaczenia - pomachała im na pożegnanie i pobiegła w stronę budynku.

Marcel i Viviane zostali sami. Pierwsza odezwała się dziewczyna:

- No i co o tym wszystkim sądzisz?

- Że to coś poważnego - spojrzał na nią ostrożnie, ale zauważył, że nie musi bać się szczerości. - Nałóg to poważna rzecz, nie kończy się z tym tak po prostu.

Viviane westchnęła:

- Masz dzisiaj trochę czasu? - Chłopak przytaknął. - Spotkajmy się dzisiaj po cmentarzu, chciałabym porozmawiać... Oczywiście jeśli masz ochotę...

- Coś się stało? - spytał.

- Nie... tak... nie wiem... - zaczęła się płatać. - Muszę

z kimś porozmawiać. Zawsze zwierzałam się Camille, ale już nie mogę, sam wiesz czemu... Nie chcę cię zanudzać swoimi problemami...

- Spokojnie. Nie zanudzisz mnie, chcę cię wysłuchać - uspokoił ją. - Pójdziemy do mnie, to przecież blisko cmentarza, a stacja jest niedaleko. Musisz się wygadać, ja posłucham, po to jestem - mrugnął do niej. - Może pomogę.

- Ale mi głupio, bo zawsze gadam o sobie, a ty...

- Nie lubię o sobie mówić - przerwał jej. - Za to uwielbiam słuchać, więc niech ci nie będzie głupio. Wiesz, że nie lubię gadać.

- Na pewno? - spojrzała na niego.

- Na pewno. A jak ci to pomoże, to możemy się kiedyś umówić na moją spowiedź - uściskał ją z uśmiechem i skierował się w stronę budynku szkoły, bo właśnie zadzwonił dzwonek.

Kiedy Viviane, Camille, Marcel i Philippe przyszli na cmentarz, Pierre czekał już z gitarą. Grał coś, kiedy zorientował się, że wszyscy już są. Przywitał ich i zrobił im miejsce. Camille usiadła obok niego i mocno pocałowała, po czym oparła się na jego torsie, a on objął ją ramieniem.

- Posprzątałem, odkupiłem tabletki i oddałem ubrania - zwrócił się do Marcela z uśmiechem.

Philippe znów poczuł się pominięty. Czuł, że coś się wydarzyło bez jego udziału. Pozostałych naszły chyba podobne myśli, bo Viviane zwróciła się do niego:

- A co tam u ciebie?

- Odszedłem z drużyny - oznajmił, zadowolony, że się nim interesują.

- Czemu? - spytała Viviane tylko przez grzeczność. Dla niej był to kolejny problem bogatego bachora, nieznanego życia i chcącego pobawić się w filozofa.

Podobne odczucia miał zresztą każdy, lecz chłopak się nie zorientował.

- Wszyscy moi starzy znajomi tam są, nie chciało mi się z nimi przebywać.

„Typowe - pomyślała Viviane - zamiast zmierzyć się z problemem, lepiej uciec”. Zamiast tego powiedziała tylko:

- Pierre, zagraj coś wesołego.

Chłopak spełnił jej prośbę. Dzisiaj ze sobą nie rozmawiali, wczoraj przeżyli zbyt dużo. Pozwolili, aby wszystko zostało w nutach.

Dopiero kiedy zaczęli się żegnać, poczuli niezręczność sytuacji. Nie wiedzieli, jak mają powiedzieć, że są poumawiani ze sobą osobno. W końcu zaczął Pierre:

- Camille, masz trochę czasu? Chyba musimy porozmawiać...

Dziewczyna niepewnie spojrzała na przyjaciółkę, a ta szybko powiedziała:

- To oczywiste, przecież się nie obrażę po wczorajszym - przytuliła ją, a Camille od razu się uśmiechnęła.

Doszli razem do bramy, a za nią każdy ruszył w inną stronę.

Viviane po raz drugi wchodziła do mieszkania Marcela. Dopiero dzisiaj miała czas się mu przyjrzeć. Nie było duże, trochę przypominało jej to, w którym mieszkała z mamą.

- Dzień dobry - przywitała się z kobietą wyglądającą z kuchni, a ta odpowiedziała jej tym samym.

Chłopak odezwał się dopiero w swoim pokoju. Rzeczywiście wszystko było wysprzątane, na łóżku leżało ubranie złożone w kostkę, a na nim paczka paracetamolu.

- To co się dzieje? - zapytał.

- Czy ja dobrze robię? - wybuchnęła dziewczyna, a on doskonale wiedział, o co jej chodzi.

- Tak - odparł po prostu. - Chcesz jej szczęścia, to szlachetne. Jesteś lepsza, niż myślisz.

- To czemu tak nie lubię Philippe'a? Denerwuje mnie, nic na to nie poradzę, on do nas nie pasuje. Nie rozumie, jacy jesteśmy. Wydaje mu się, że jest taki jak my, ale nieważne jak bardzo będzie się starał, zawsze pozostanie inny - urwała. - Jestem okropna.

- Nie jesteś - otoczył ją ramieniem. - To, że mu tego nie mówisz, świadczy o jeszcze większej szlachetności. Tylko uważaj - spojrzał na nią - bo kiedyś możesz tego wszystkiego nie udźwignąć.

Zapadła cisza. Znow Viviane odezwała się pierwsza:

- Znasz opowieść o Małym Księciu? - Chłopak przytaknął, a ona kontynuowała: - Czytałyśmy ją z Camille milion razy. Zawsze cieszyłyśmy się, że udało nam się siebie oswoić... Ale wiesz, czego się boję? - zrobiła pauzę. - Że jestem Lisem. Oswojonym lisem, który będzie musiał ustąpić miejsca

samolubnej Róży.

- Kiedy dajemy się oswoić, musimy być przygotowani, że ktoś nas zrani - Marcel zacytował książkę.

Viviane spojrzała na niego:

- Kiedyś tego nie dostrzegałam, ale teraz widzę, że wielka przyjaźń nie może istnieć obok wielkiej miłości. Trzeba wybrać jedną planetę.

Dziewczyna zamyśliła się. Po chwili spytała:

- Gdzie twój ojciec?

- Nie wiem - odpowiedział z prostotą, bez cienia żalu. - Mama była na ostatnim roku studiów, on już po. Znalazł w sobie na tyle przyzwoitości, żeby się mną opiekować aż do zdobycia przez nią wykształcenia, a potem się zawinął.

- A teraz twoja mama ma nadzieję, że zostanę twoją dziewczyną, wyprowadzając cię tym z czarnej melancholii? - Viviane uśmiechnęła się, a on odwzajemnił gest.

- Czyli zauważyłaś? - spytał.

- Ciężko nie zauważyć. Myśli, że jestem porządna, a tu taka demoralizacja. - Roześmiali się, nie myśląc o niczym i nikim spoza tego pokoju.

Po chwili chłopak wstał i sięgnął po pomarańczową kartkę papieru. Z powrotem usiadł i zaczął ją zaginać, skoncentrowany.

Za oknem deszcz padał salwami. Z szarego nieba zasłanego chmurami na przemian spadały gwałtownie duże, ciężkie krople, ścigając się w drodze do ziemi, i lekkie, małe płynne kryształki wody, stąpające niczym baletnice w tańcu, wydając ciche dzwonienie przy lądowaniu na szybie. Mimo

ciepłego powietrza wiał lekki wiatr od wschodu, chłodzący umęczone duchotą ciała. Ulicą przejeżdżały samochody, rozbryzgujące na boki zaległą wodę.

Wszystkie te dźwięki tworzyły przyjemną dysharmoniczną kakofonię, w którą wsłuchiwali się Viviane i Marcel, siedząc na łóżku chłopaka. Zerkali na siebie z uśmiechem, gdy Marcel w skupieniu składał origami, wysuwając podświadomie język.

- Ta mina naprawdę ci pomaga? - śmiała się dziewczyna, wskazując grymas kolegi.

Uśmiechnął się do niej.

- To może głupie, ale tak, serio jest lepiej. Jest z tym coś nie tak?

- Ślinisz się wtedy, ale to urocze.

Roześmiała się, a on dał jej kuksańca w bok. Zgiął kartkę po raz ostatni i przekazał pomarańczowe zwierzątko Viviane.

- Proszę, za to, że mnie oswoiłaś.

Spojrzała na dzieło chłopaka i uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję. Dałabym ci buziaka, gdybyś nie był opluty.

Mimo to cmoknęła chłopaka w policzek.

- Camille była moją siostrą - zaczęła, nieświadomie używając czasu przeszłego. - A ty będziesz bratem.

- Kurczę, a zawsze chciałem zostać siostrą! - mrugnął do niej.

Roześmiała się i odpowiedziała:

- Siostra nie może być obśliniona.

Udał oburzenie:

- Bo ja cię kocham i nienawidzę, jak na siostrę przystało, całuję cię i pluję na ciebie.

- To ja wtedy chcę być bratem - odparła. - Zawsze byłam tylko siostrą, znudziła mnie ta rola narzucona przez społeczeństwo.

- Będziemy się w ten sposób buntować?

- Tak, tylko podarujemy sobie manifestacje.

- A ja już zacząłem robić transparent! - chłopak udał zawód, wywołując wybuch śmiechu Viviane. Objął dziewczynę czule ramieniem. - Jesteś może głodna, bracie?

Zmieszała się na te słowa i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Jadłam przed wyjściem.

- Jak tam chcesz, ja idę po ciastka - i podniósłszy się z łóżka, ruszył w stronę drzwi.

Kiedy wrócił z kuchni z kruchym ciastkiem w ręce, dziewczyna z namysłem wpatrywała się w papierowego lisa. Po chwili spytała:

- Myślisz, że jakaś asteroida naprawdę istnieje? Miejsce, gdzie Mały Książę może wrócić?

Chłopaka już nie dziwiły nagłe zmiany nastroju dziewczyny. Rozumiał metaforę. Ugryzł ciastko w zamyśleniu, przysiadł na materacu i odpowiedział:

- Myślę, że gdzieś tam daleko, w górze, czeka asteroida dla każdego z nas. Nie wiem, kto nimi rozporządza, ale jestem pewien, że ich nie zabraknie dla nikogo.

Viviane nerwowo obracała w palcach papierowe zwierzątko, oglądając je z każdej strony. Po chwili kontynuowała:

- A ty na jaką planetę chciałbyś trafić?

Po chwili ciszy Marcel odparł:

- Nieważne, jaka będzie. Wiem, że została dobrze przemyślana.

I obydwójce położyli się obok siebie, tworząc w ciszy własne asteroidy.

Philippe biegł przed siebie z słuchawkami na uszach, jednak nie słuchał muzyki. Natrętne dźwięki przeszkadzały mu w pozbieraniu myśli, a właśnie tego w tej chwili potrzebował. Ocierając pot z czoła, patrzył, jak spod stóp umyka mu chodnik.

Zastanawiał się, co robi Viviane, gdzie jest Marcel, o czym myśli Camille i czy Pierre za nią tęskni. Wciąż był przez nich wszystkich trzymany na dystans. Jednocześnie pojawiały się w nim takie same myśli dotyczące starych znajomych.

Nie utrzymywał z nimi żadnego kontaktu. Widział ich czasem w metrze, ale poza zdawkowym spojrzeniem nie doszło między nimi do niczego więcej. Ciekawiło go, czy jego odejście zmieniło w jakiś sposób relacje w grupie. Jak potoczyła się historia Brigitte i Bastiena? Nie widywał ich razem. Zastanawiało go, czy żałują tego, co zrobili.

On sam wciąż nie był do końca pewien, czy dobrze postąpił, zrywając z nimi wszelkie powiązania. Myślał, że nowi znajomi całkowicie rozwiążą jego problemy. Tymczasem przysporzyli mu ich jeszcze więcej. Mimo to miał nadzieję, że wszystko się wkrótce ułoży.

Sięgnął do kieszeni po ipoda, włączył muzykę i przyspieszył kroku, nie patrząc przed siebie.

Lato kusilo uczniów, oznajmiając koniec roku szkolnego. Wszyscy w eleganckich strojach szli do szkoły, by na najbliższe dwa miesiące nie musieć do niej wracać. Białe koszule i eleganckie spódniczki z mściwą satysfakcją oplatały uczniów, którzy już myśleli o tym, by jak najszybciej się ich pozbyć.

Camille trzymała za rękę Pierre'a, Marcel obejmował ramieniem Viviane. Obok nich szedł Philippe. Jeszcze tylko godzina i będą wolni. Na dwa miesiące, ale zawsze to wolność.

Jak zwykle uroczystość bardzo się dłużyła. Kiedy było już po wszystkim, Pierre spytał:

- O której będziecie?

Jego rodzice polecieli do Anglii na jakąś wystawę, więc koniec roku szkolnego postanowili uczcić u niego w domu.

- Ja będę wcześniej - odezwała się Camille. - Pomogę ci z zakupami.

Marcel zauważył spanikowane spojrzenie, które chłopak posłał w jego stronę. Domyślał się, z jakich powodów może nie chcieć towarzystwa dziewczyny na zakupach, więc postanowił mu pomóc:

- Umówiliśmy się, że ja pomogę. Wy lepiej idźcie i się odstawcie - mrugnął do dziewczyn, a Camille przystała na propozycję.

- Zrobię jeszcze coś do jedzenia, więc mogę się trochę spóźnić - dodała Viviane.

- O, tak! - zawołali jednocześnie Camille i Marcel, patrząc po sobie. - Ona robi najlepsze ciastka na świecie!

- I ciasta, i babeczki, i placki, i wszystko, co jest słodkie i pochodzi z pieca - dodał Marcel, a dziewczyna dała mu kuksańca.

- Teraz, po takiej reklamie, jeśli coś mi nie wyjdzie, to będzie porażka - i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- A ty? - Pierre zwrócił się do Philippe'a, zaskakując go.

- Trochę wcześniej, żeby pomóc ci z przygotowaniami - odrzekł.

- Ekstra, adres masz, ale jakbyś miał kłopoty z dojazdem, to dzwoń. - Był jedyną osobą, która nie odwiedziła do tej pory nikogo z grupy. - To do zobaczenia! - pocałował Camille na pożegnanie i pomachał reszcie. - Marcel, chodź!

Chłopak przytulił Viviane i ruszył za kolegą.

Gdy oddalili się od grupy, Marcel zapytał:

- Załatwiamy wóz czy przewozimy wszystko metrem?

- Metrem - odpowiedział chłopak. - Wykażemy się mięśniami i umiejętnością ochrony skarbu w dziczy.

- Żebyśmy potem nie głodowali...

- Zawsze nam zostają ciasta Viviane i dwuletnia musztarda - odpowiedział ze śmiechem, wchodząc po schodach na peron.

W sklepie był tłok. Długie alejki zajmowali ludzie z koszykami. Z głośników leciała tandetna muzyka. Zakupy robiły głównie nastolatki, zaopatrujące się na wieczór. Chłopcy wrzucali do koszyka napoje i jedzenie. Głównie „szybkie kubki” - budynie, kisiele i zupki chińskie.

- Weź jakieś owoce - odezwał się Marcel. - Viviane jest weganką. - I spakował kiść bananów, worek jabłek oraz inną zieleninę. Kiedy stali przy kasie, powiedział: - To wygląda, jakbyśmy mieli u ciebie zostać cały weekend, a nie jeden wieczór.

- Pewnie tak się spijecie, że będziecie musieli. - Wybuchnęli śmiechem.

Chłopak spojrział na półkę przy kasie i zawahał się. Nie chciał wywierać na Camille presji, ale byli ze sobą już długo, a taka impreza może być dobrą sposobnością... Nie będzie od niej niczego wymagał, ale lepiej być przygotowanym - pomyślał i sięgnął po najmniejszą paczkę prezerwatyw.

Marcel spojrział na kolegę z uśmiechem, unosząc jedną brew.

- No co? - zaczął się buntować Pierre. - Ty też lepiej weź, bo tak się lepicie z Viviane, że jak za dużo wypijecie, to może się różnie skończyć.

Marcel zmieszał się na tę myśl. Tylko on wiedział o preferencjach dziewczyny. Do tego sam nigdy nie traktował jej inaczej niż jako przyjaciółkę, bo naprawdę byli blisko. Po każdym spotkaniu na cmentarzu Camille szła z Pierre'em, a Viviane z nim. Była jedyną osobą, która go znała i której

opowiadał o sobie. Wiedział, że podejrzenia Pierre'a są całkowicie bezpodstawne, a mimo to poczuł się nieswojo.

Kolega wyczuł jego skrępowanie:

- Hej, tylko żartowałem, spokojnie.

- Nie, to nic - odpowiedział.

Po chwili znów się odezwał:

- Myślisz, że się od siebie oddaliły? Dziewczyny?

Pierre zastanawiał się chwilę, nim odpowiedział:

- Nie nazwałbym tego oddaleniem - sięgnął po portfel, by zapłacić, a Marcel pakował zakupy do siatek. - Kiedyś miały tylko siebie, teraz mają nas... To chyba naturalne, z relacji się wyrasta jak ze starych spodni. Dojrzały, zmieniły się, więc ich przyjaźń także, ale to, że jest inna, nie znaczy, że osłabła.

Ruszyli z zakupami w stronę stacji, nie odzywając się już ani słowem aż do domu Pierre'a. Chwilę po nich przyszedł Philippe. Zaczęli rozpakowywać siatki i rozkładać jedzenie oraz picie. Wkrótce wszystko było gotowe na przybycie dziewczyn.

Camille, zrobiwszy listę potencjalnych strojów, które może dzisiaj założyć, przyniosła je wszystkie do przyjaciółki i - pomiędzy kolejnymi partiami ciastek - dziewczyny wybierały ciuchy. Matka Viviane spała głęboko po zażyciu proszków, ale wiedziała o planach dziewczyn.

- A ta? - Camille wskazała na czerwoną obcisłą sukienkę z dekoltem, nie sięgającą nawet kolan. - Nie jest zbyt wulgarna?

- Czym ty się tak przejmujesz? - Viviane wlała mleko do dużej miski. - Przecież wszystkich tam znasz. W dodatku widzieli cię w tak obleśnych sytuacjach, że żadną sukienką nie zatuszujesz tych chwil.

Przyjaciółka pokazała jej język.

- Nie o to chodzi! Po prostu... - zrobiła pauzę. - Wiesz, jesteśmy z Pierre'em już dość długo i... no wiesz - uśmiechnęła się figlarnie. - Na takiej imprezie dużo się może zdarzyć.

- To po co wybierasz sukienkę, skoro i tak planujesz być naga? - w zamian za komentarz Viviane dostała kuksańca w bok.

- Ty się tutaj nie wymądrzaj, tylko mi doradź!

Viviane wytarła ręce i spojrzała na stos ubrań.

- Ta - wskazała zwiewną blad różową sukienkę, sięgającą kolan. - Seksowna, ale nie wyzywająca. I do tego te sandały na obcasie.

Camille przyjrzała się wyborowi. Rzeczywiście był idealny. Szybko się przebrała i pokazała przyjaciółce:

- I jak? - spytała.

Viviane patrzyła na nią przez chwilę, przygryzając wargę. W końcu się odezwała:

- Pięknie - posłała dziewczynie uśmiech. - Włosy rozpuść i wepnij te spineczki-kwiatuszki.

Przyjaciółka posłuchała, po czym wróciła do kuchni już w nowej fryzurze.

- Ty też się wystrój - rzuciła. - Kiedy się spijecie, to nie wiadomo, co wam z Marcelem przyjdzie do głowy - poruszała porozumiewawczo brwiami.

Viviane poczuła się dziwnie. Sytuacja była tak przewrotna, że zachciało jej się śmiać. Zaczęła chichotać, odwracając w ten sposób uwagę przyjaciółki.

Kiedy wszystkie słodczyce były gotowe, Viviane wskoczyła w błękitną obcisłą sukienkę. Dziewczyny zostawiły na stole kuchennym kartkę z informacją, gdzie są, chwyciły pudełka z ciastkami i ruszyły w stronę wyjścia.

Dojechały na miejsce około dziewiętnastej, było jeszcze jasno i ciepło. Szare niebo emanowało wakacjami i wolnością. Zapukały, a drzwi otworzył im gospodarz. Pocałował Camille, uściskał Viviane i przejął od nich pudełka, kładąc je na stole.

- Rozgośćcie się - posłał im uśmiech. - Włączcie jakąś fajną muzykę i zaczynamy.

Dziewczyny sięgnęły po drinki i poszły w stronę sprzętu grającego. Duże głośniki były podłączone do laptopa, więc mogły wybrać utwór, jaki tylko dało się znaleźć w Internecie. Wkrótce w całym domu rozległ się ochrypły głos Janis Joplin. Wszyscy zaczęli śpiewać i tańczyć. Od razu potworzyły się grupy: Camille tańczyła z Pierre'em, seksownie kołysząc biodrami i wyśpiewując kuszącym głosem *Try just a little bit harder*, a Viviane żartowała z Marcelem. Philippe próbował tańczyć sam, szybko jednak tego zaniechał.

Viviane, widząc to, przerwała taniec i zaproponowała:

- Zagrajmy w coś!

Wszyscy przystali na propozycję i wyciągnięto *Monopol*.

Szybko okazało się, że niekwestionowanym mistrzem jest Marcel. Wykupywał hotele jednego koloru, stawiał na nich

najwięcej domków i tym wykańczał konkurencję.

Kiedy skończyli, pijana już Camille, zaproponowała ich modyfikację „20 pytań”. Wszyscy pamiętali, jak gra skończyła się poprzednim razem, postanowili jednak zaryzykować. Chwycili butelkę wina i usiedli na podłodze w kręgu.

- Ja chcę zacząć! - zawołała Camille. - Pierre... - uśmiechnęła się do chłopaka - cztery duże łyki.

Kiedy chłopak spełnił prośbę, zadała pytanie:

- Popalasz jeszcze czasem?

Bez zająknięcia odpowiedział:

- Nie zapaliłem od czasu naszej kłótni, możesz przeszukać mój pokój. Cały czas noszę te frajerskie plasterki - podwinął rękaw, ukazując plaster nikotynowy. - Przyklejałem je niżej, ale na ulicy za mną krzyczeli, że to dobrze, że się zabezpieczam.

Dziewczyna pocałowała go mocno i przysunęła się bliżej.

- Dobra, teraz Marcel - chłopak podał koledze butelkę. - Trzy duże. Co jest między tobą a Viviane?

Marcel spojrzał na siedzącą obok niego dziewczynę i patrząc wprost na Pierre'a, odpowiedział:

- Uprawiamy seks, ale nie jesteśmy do siebie przywiązani emocjonalnie, czysto fizyczna relacja.

Pierre osłupiał, ale potem przypomniał sobie o specyficznym poczuciu humoru chłopaka i roześmiał się. Nie naciskał jednak na szczerą odpowiedź. Jeśli nie chcieli mówić, szanował to.

Viviane powstrzymała wybuch śmiechu. Przybliżyła się do przyjaciela, a ten objął ją ramieniem. Spojrzeli po sobie

i wydobył się z nich niepohamowany chichot.

Marcel podał butelkę Philippe'owi i nakazał:

- Trzy małe. Dlaczego tak rzadko się odzywasz?

Chłopak zawahał się przed odpowiedzią. Postanowił jednak postawić na szczerość:

- Bo nie mam nic do powiedzenia. Zawsze wydaje mi się, że jestem poza wami.

„I masz rację” - pomyślała Viviane, chwytając podawaną jej butelkę.

- Dwa duże - nakazał chłopak, a ona spełniła polecenie. - Co ukrywasz?

Dziewczynie zakręciło się w głowie. Nie przypuszczała, że to aż tak widać. Postanowiła jednak nie wychodzić z roli i odrzekła:

- To, co już się wydało: śpiam z Marcelem.

Znowu wywołała gromki śmiech. Odetchnęła, przekazując butelkę Marcelowi:

- Dwa małe. Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz na cmentarzu, powiedziałaś, że byłeś u Wilde'a. Co tam robiłeś?

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że mimo tylu rozmów z chłopakiem, jeszcze nigdy go o to nie pytała. Zbyt byli zajęci bieżącymi sprawami, żeby wracać do przeszłości. Marcel uśmiechnął się:

- Całowałem grób - odrzekł. - Wiesz, zgodnie z tą legendą: jak pocałujesz grób Wilde'a, będziesz miał szczęście w miłości.

Początkowo wszyscy myśleli, że żartuje, ale on był całkowicie poważny:

- Zawsze chciałem to zrobić. W Paryżu jest tyle tajemnic... Chciałem odkryć chociaż parę. Miałem taką listę. To był ostatni punkt.

- Jakie były inne? - spytała Viviane, ale Marcel uśmiechnął się i upomniał ją:

- Teraz nie twoja kolej! Pierre, trzy duże. Dlaczego śpiewasz, kiedy nie wiesz, co powiedzieć?

- Bo muzyka to język bogów - odparł. - A oni zawsze wiedzą, co powiedzieć.

Zrobił pauzę, po czym podał butelkę Camille:

- Cztery ogromne. - Wszyscy zaczęli się śmiać, ale dziewczyna posłusznie wypila wskazaną ilość.

Chłopak uśmiechnął się w ten sposób, który zawsze uwielbiała.

- Jaka jest twoja najodważniejsza fantazja erotyczna?

Dziewczyna spojrzała na niego prowokująco. Powiodła jego dłońmi po swoim ciele, które wygięła w łuk, podniosła jeden kącik ust, zagryzła dolną wargę i zaśpiewała z całą wesołością, jaką w sobie miała:

Oh yeah, I'll tell you something

I think you'll understand

When I'll say that something

I want to hold your hand!^[8],

wywołując tym kolejną salwę śmiechu. Pierre wstał, by za chwilę wrócić z gitarą. Usiadł i zagrał zaczęłą piosenkę. Wszyscy śpiewali z nim, a kiedy po skończonym utworze chciał

odłożyć instrument, krzyczeli, żeby zagrał coś jeszcze. Śpiewali więc jeszcze długo wesołe kawałki, kiedy Camille wpadła na pomysł:

- Odpowiadajmy na pytania piosenkami!

Wszyscy przystali na propozycję i po chwili butelka z alkoholem znów zaczęła krążyć między nimi. Pierwsze pytanie zadała Viviane Marcelowi:

- Nie wiem, jak na to odpowiesz piosenką, ale jakie punkty były na twojej liście?

Chłopak zamyślił się, po czym po chwili zaintonował:

Je suis l'dauphin d'la place Dauphine

Et la place Blanche a mauvaise mine

Les camions sont pleins de lait

Les balayeurs sont pleins d'balais

Il est cinq heures

Paris s'éveille

Paris s'éveille^[9]

- Chciałeś robić te wszystkie niemoralne rzeczy? - dopytywała dziewczyna.

- Nie, chciałem poznać wszystkie tajemnice Paryża, nawet te najmroczniejsze - odpowiedział jej z uśmiechem i mrugnął.

- Teraz moja kolej. Philippe, dwa duże. Jak się z nami czujesz?

Philippe zamknął oczy. Nie chciał śpiewać sam, czuł wstyd, ale w końcu zebrał się na odwagę i zaczął:

But I'm a creep, I'm a weirdo

*What the hell am I doing here?
I don't belong here*^[10].

Wszyscy poczuli się dziwnie. Nie sądzili, że chłopak tak bardzo odczuwa samotność. Nie zdążyli jednak nic powiedzieć, bo Philippe już przekazywał butelkę Camille:

- Dwa małe. Kim chcesz być, kiedy dorośniesz? - Wiedział, że to żałosne, ale na nic lepszego nie wpadł, a chciał odwrócić od siebie uwagę zgromadzonych.

Udało mu się, wszyscy zwrócili głowy w stronę dziewczyny, która z dziarskim uśmiechem wstała, tańcząc i śpiewając bez wahania, zalotnie niczym sama Marilyn:

*I wanna be loved by you, just you
And nobody else but you
I wanna be loved by you, alone
Boop-boop-de-boop*^[11]

Kiedy skończyła, wszyscy bili ze śmiechem brawo. Tylko Pierre wpatrywał się w nią w zachwycie. Dziewczyna usiadła i wyciągnęła butelkę w jego kierunku:

- Trzy duże i powiedz, czego ty chcesz, kiedy dorośniesz - uśmiechnęła się zaczepnie.

Chłopak ocknął się, sięgnął po gitarę i zaśpiewał:

*When my life is over, and my time has run out,
My friends and my lovers, I will leave, there's no doubt
But one things for certain, when it comes my time*

I'll leave this old world with a satisfied mind^[12]

Chłopak odłożył instrument, zamieniając go na butelkę, którą podał Viviane:

- Jaka jest twoja tajemnica? - uniósł jedną brew, powtarzając pytanie, które już raz dzisiaj padło. - Dwa małe.

Wzrok dziewczyny mimowolnie powędrował w stronę przyjaciółki, szybko jednak nad sobą zapanowała i zaśpiewała z całą nostalgią, jaką odczuwała od tylu miesięcy:

*For you I was a flame
Love is a losing game
Five storey fire as you came
Love is a losing game
Why do I wish I never played
Oh what a mess we made
And now the final frame
Love is a losing game*^[13]

Wszystkim udzielił się nastrój dziewczyny, ale w tej grze nie było czasu na słowa, pytania czy pocieszanie. Butelka już wędrowała do Marcela:

- A ty? Myślisz o przyszłości? - Dziewczyna nie podała nawet ilości alkoholu, chłopak automatycznie upił dwa łyki, po czym zaśpiewał:

*There's a starman waiting in the sky
He'd like to come and meet us*

*But he thinks he'd blow our minds
There's a starman waiting in the sky
He's told us not to blow it
Cause he knows it's all worthwhile
He told me
"Let the children lose it
Let the children use it
Let all the children boogie"^[14]*

Wraz z rosnącą szczerością graczy, tempo wzrosło. Nikt nie analizował wydarzeń sprzed chwili. Butelkę przejął Philippe.

- Pytanie do ciebie wraca - powiedział Marcel.

Chłopak zapatrzył się w przestrzeń i zaśpiewał:

*When I see the price that you pay
I don't wanna grow up
I don't ever want to be that way
I don't wanna grow up*

*Seems that folks turn into things
that they never want
The only thing to live for is today...*

*I'm gonna put a hole in my TV set
I don't wanna grow up
Open up the medicine chest
I don't wanna grow up^[15]*

Ostatnia zaśpiewana zwrotka przygnębiła wszystkich. Zamilkli. Nawet nie chcieli wiedzieć, czy Philippe naprawdę rozważał to, co wyszło z jego ust. To było za wiele.

Pierwszy ocknął się Marcel:

- Jeszcze ty nam nie powiedziałaś, czego oczekujesz od życia - zwrócił się do Viviane z uśmiechem.

Dziewczyna spojrzała na niego i po chwili zaśpiewała:

I wanna know what love is

I want you to show me

I wanna feel what love is

I know you can show me^[16]

- Idę po coś do picia - wskazała na pustą już butelkę. - Przynieść coś komuś?

Nikt się nie odezwał, więc wstała, po czym poszła do kuchni. Za nią podążył Marcel. Zastał ją ocierającą łzy. Podszedł do niej i objął ją mocno.

- Ja już nie dam rady, nie dam rady - zaczęła szeptać mu do ucha.

Chłopak stał przodem do drzwi. W pewnym momencie zobaczył zbliżające się sylwetki. W przypiływie paniki pocałował dziewczynę, nie chcąc, by ktoś widział jej łzy. Ta nawet nie stawiała oporu.

- Wiedziałem, że coś ukrywacie! - usłyszeli głos Pierre'a. Chłopak wyciągnął dłoń w stronę Camille, ale ta zaprotestowała:

- Nie zapłacę ci teraz, nie mam kasy!

Marcel szybkim ruchem wytarł łzy z policzków Viviane.

- Serio, robiliście zakłady?! - udał oburzonego, ale nie mógł powstrzymać śmiechu.

Viviane najpierw nic nie rozumiała, ale kiedy dotarła do niej przewrotność całego zajścia, wybuchnęła niekontrolowanym, nerwowym chichotem, wraz z którym uwolniła wszystkie tłumione emocje. Sięgnęła po tequilę i wypła ją jednym pociągnięciem. Krzywiąc się i śpiewając, przeszła tanecznym krokiem do salonu.

- Zagrajmy w „Kim jestem”! - zawołała i wróciła na swoje miejsce w kręgu. - Pierre, przynieś karteczki i długopisy.

Chłopak spełnił jej prośbę i po chwili każdy miał kartkę z postacią na czole.

Kiedy gra im się znudziła, spróbowali jeszcze Twistera, ale gdy i to ich znużyło, po prostu puścili głośną muzykę. Viviane rozmawiała z chłopakami, a Camille i Pierre całowali się na kanapie. Wszyscy byli pijani, tańczyli nie do rytmu, śpiewali nie te słowa.

- Chodźmy na górę - szepnęła Camille do Pierre'a.

Ten spojrział na nią niepewnie.

- Chcesz tego? - spytał, a ona przytaknęła.

Wstali z kanapy i poszli po schodach do jego pokoju.

Pozostali nawet nie zauważyli ich zniknięcia, pogrążeni w szalonym tańcu przeplatany rozmową. Początkowo tylko Viviane z Marcelem się bawili, jednak po paru drinkach dołączył do nich Philippe. Dziewczyna nie wiedziała, czy to pod wpływem alkoholu, czy jego otwarcia się, zmieniła do niego stosunek. Poczula, jak różnice między nimi powoli się

zacierają.

- Dlaczego nie chcesz dorastać? - spytała.

- Widzę, jak zaharowuje się ojciec - zawahał się, po czym kontynuował: - Do tego im jestem starszy, tym wszystko bardziej się komplikuje. Kiedyś miałem wszystko. A teraz nic nie jest jasne ani pewne. Ludzie, miejsca, rzeczy, czyny... wszystko się zmienia. W ciągu ostatnich miesięcy wydarzyło się więcej niż w całym moim dotychczasowym życiu. A to dopiero początek...

Dziewczynie zrobiło się żal chłopaka. Źle go oceniła. Było jej wstyd.

- Przepraszam, że byłam wredna - powiedziała, a on uśmiechnął się do niej.

To był ten moment, na który tak długo czekał. Pękła bariera uprzedzeń i potraktowano go jak jednego z nich. Dopiero wtedy poczuł się całkiem swobodnie.

Było wpół do dwunastej, kiedy Viviane zawołała:

- Za pół godziny wakacje! Szybko, spisujcie postanowienia!

Chłopcy spojrzeli na nią zdezorientowani. Wywróciła oczami i wytłumaczyła:

- Piszecie na karteczkach, co chcecie zrobić w wakacje i niszcycie je w sposób, który najbardziej oddaje postanowienie. Wołajcie to frajerstwo z góry!

Dziewczyna rzuciła się po długopis i zaczęła machać nim szybko po kartce. W jej ślady poszedł Philippe, natomiast Marcel ruszył po schodach do pokoju Pierre'a. Wahał się, ale

musiał to zrobić, miał zobowiązanie wobec Viviane.

Kiedy doszedł do drzwi pokoju, zatrzymał się, nasłuchując chwilę, ale gdy żadne dźwięki nie wydobyły się zza ściany, wolno wszedł do pomieszczenia. Rozejrzał się, jego wzrok padł na łóżko. Dostał gwałtownego ataku śmiechu, którym obudził Camille oraz Pierre'a. W pełni ubrani, zasnęli obok siebie, chrapiąc i śliniąc materac. Rozkojarzeni rozejrzeli się dokoła, zatrzymując spojrzenie na zgiętym wpół intruzie. Szybko wstali, pytając, co się stało.

Chłopak nie umiał sklecić zdania:

- Viviane woła... północ... postanowienia... - plątał się w chichocie i słowach.

Camille spojrzała na zegarek i zerwała się szybko:

- Północ, postanowienia! - Robiły to z Viviane co roku, więc dziewczyna szybko objaśniła zasady Pierre'owi, pisząc jednocześnie.

Dla dziewczyn był to ważny rytuał. Camille cieszyła się, że przyjaciółka o nim pomyślała. Kiedy chłopcy mieli gotowe karteczki, cała trójka zbiegła na dół i od razu wyszła na zewnątrz, gdzie Viviane i Philippe już na nich czekali.

- No, nareszcie, za minutę północ! - krzyczała Viviane.

Patrzyła na kartkę, na której widniało jedno zdanie, to samo od tylu lat: „Kata ton daimona eaytoy”. I od tylu lat było niszczone w ten sam sposób - dziewczyna zakopywała je w ziemi.

Camille zerknęła na swoją karteczkę. Jej postanowienie co roku różniło się od poprzedniego. Tym razem ujęła je w jednym zdaniu: „Być jego papierosem”. Patrzyła, jak słowa

są powoli trawione przez ogień.

Marcel robił to pierwszy raz, ale złapał, o co chodzi. Obserwował, jak skrawek papieru zawierający życzenie „Dolecieć na asteroidę”, zostaje wciągnięty w szalony taniec z wiatrem.

Pierre napisał „Ufać” i oddał skrawek Camille, żeby zrobiła z nim, co uzna za słuszne. Przeczytawszy hasło, spojrzała na chłopaka i obdarzyła go pocałunkiem.

Philippe zastanawiał się najdłużej. W końcu nakreślił: „Wylądować na peronie” – i podarł los na drobne kawałki.

Następnego dnia Viviane obudziła się z tępym bólem głowy. Nie pamiętała wiele, tylko urywki minionej nocy. Nie wiedziała, co się stało po zniszczeniu postanowień – wtedy straciła świadomość.

Rozejrzała się dokoła. Leżała na stole, na ziemi spali Philippe i Marcel, a kanapę zajmowali Camille z Pierre'em. Wszędzie panował bałagan. Butelki, papierki, rozsypane chrupki i inne bliżej niezidentyfikowane substancje pokrywały podłogę. Viviane westchnęła, po czym położyła głowę z powrotem na blacie, zapadając w sen.

Viviane siedziała na płycie nagrobnej, nerwowo przygryzając wargi i myśląc o najbliższym posiłku. Wyobrażała sobie delikatny puszysty twarożek ze słodkimi soczystymi owocami pokrojonymi w kostkę. Niemal czuła smak na podniebieniu.

Otrząsnęła się nagle, odganiając zdradliwy apetyt. Próbowwała skupić się na dzisiejszym spotkaniu.

Przyszła na cmentarz pierwsza. Zwołała spotkanie nadzwyczajne, lecz nie zaprosiła na nie Marcela. Zbliżały się jego urodziny, a jej zależało, żeby zorganizować coś specjalnego. Chciała uzgodnić wszystko z pozostałymi, ale miała już swój własny pomysł na niespodziankę dla chłopaka. Nie mogła się doczekać, aż o wszystkim opowie reszcie, dlatego niecierpliwie obgryzała paznokiec lewego kciuka, zerkając na dróżkę.

Po chwili zobaczyła Philippe'a zmierzającego w jej stronę. Ekscytacja natychmiast ustąpiła. Po imprezie u Pierre'a nie czuła do chłopaka takiej niechęci jak poprzednio, wciąż jednak nie do końca mu ufała. Niemniej obiecała sobie, że spróbuje go zrozumieć. Odetchnęła więc głęboko i uśmiechnęła się do nadchodzącego.

Chłopak jej pomachał, a gdy podszedł do grobu, przywitał ją serdecznie. Usiadł obok niej z uczuciem ulgi, uśmiechając się przyjaźnie.

Viviane była jednak podejrzliwa. Ten uśmiech był niepokojący. Stanowił fasadę budynku, który za nią wyglądał zupełnie inaczej. Przypomniała sobie grę na imprezie i przytaczane przez chłopaka utwory. Zwłaszcza utwór Ramonesów nie mógł wyjść jej z głowy, wciąż natrętnie powracając. Dopiero po wytrzeźwieniu Viviane uderzył jego wydźwięk. Od tamtej pory wciąż nie umiała pozbyć się słów piosenki, które otaczały jej umysł gęsto niczym pajęczna sieć. W tej chwili pomyślała, że siedzący obok chłopak wcale nie jest jej tak daleki, jak się wydawało. Zapragnęła go zrozumieć. Spojrzała na niego uważnie i ostrożnie spytała:

- Dlaczego Ramones?

Zwrócił się ku niej zdezorientowany, więc kontynuowała:

- Spytany o przyszłość zaśpiewałeś Ramonesów. Dlaczego akurat ta piosenka?

Zamyślił się, po czym, zmieszany, odpowiedział wolno:

- Kiedy widzę, co się dzieje z moimi rodzicami... Każdego dnia walczą... ze sobą samymi, między sobą, z innymi... Nie chcę tego. Jeśli to jest dorosłość, ja jej nie chcę. Nie chcę martwić się o przyszłość, o innych, o siebie. Ja się po prostu tego wszystkiego boję...

Viviane spodziewała się, że lepiej go zrozumie. Tymczasem zalała ją fala goryczy. Co za rozpieszczony bachor! Pragnęłaby życia idealnego, gdzie każdy robiłby wszystko za niego, jak do tej pory! Nie rozumiał, że nie ma

radości bez smutku. Egoista. Zamiast narzekać powinien wziąć się w garść i zostać wolontariuszem, zobaczyłby prawdziwe cierpienie. Chyba jeszcze nigdy nie czuła tak wielkiej odrazy do kogoś.

Mimo wszystko jednak przełknęła gorzkie słowa cisnące jej się na język i zachowała milczenie. Philippe chciał coś powiedzieć, ale został zagłuszony przez wybuch perlistego dziewczęcego śmiechu. Odwrócili się w stronę jego źródła i zobaczyli uśmiechniętych Camille i Pierre'a, którzy podeszli bliżej, przywitali się i usiedli obok.

Viviane, pragnąc stłumić falę uczuć sprzed chwili, zaczęła od razu:

- Zbliżają się urodziny Marcela i trzeba coś wymyślić.

Wszyscy spojrzeli po sobie. Pierwszy odezwał się Pierre:

- Masz już jakiś pomysł, prawda?

Dziewczyna uśmiechnęła się. Nieważne jak bardzo by się opierała, i tak ulegała urokowi chłopaka.

- Oczywiście, że mam - odparła. - Rozarium w parku Bagatelle.

- Dlaczego tam? - spytała Camille, ale Viviane w odpowiedzi obdarzyła ją tylko uśmiechem.

- Składamy się na prezent? - znów odezwał się Pierre.

- Nie, chyba lepiej będzie, jeśli każdy kupi coś od siebie.

- A kiedy są te urodziny? - pytanie padło z ust Philippe'a.

Chłopak natychmiast pożałował, że je zadał. Camille i Pierre spojrzeli na niego zdziwieni, najbardziej jednak zabolął go wzrok Viviane - chłodny, wręcz urażony. Z opresji uratowała go Camille:

- W sobotę - rzuciła, po czym kontynuowała. - Spotkamy się na miejscu?

- Tak - zwróciła się do niej Viviane. - Piętnasta wam odpowiada?

- A może nie odpowiadać? - ironizował Pierre.

- To było pytanie retoryczne - odgryzła się dziewczyna. - Jedzenie zrobię, tylko będę potrzebowała rąk do przewozu tego wszystkiego.

- Ja ci pomogę - zgłosiła się Camille.

- Jedna para rąk nie wystarczy... - rozejrzała się po chłopakach.

- Nie możesz powiedzieć wprost, że mamy przyjechać najpierw do ciebie, a potem do ogrodu? - Pierre śmiał się cały czas. - To o której mamy być?

- Czternasta powinna wystarczyć.

Po ustaleniu wszystkich szczegółów rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym rozeszli się. Philippe jak zwykle poszedł sam, a Pierre odprowadził dziewczyny na stację metra. Kiedy wracały ze spotkań same, było prawie tak jak kiedyś. Viviane uwielbiała te krótkie chwile, gdy stały w tłumie, próbując zachować równowagę podczas hamowania pociągu. Były one dla niej cenne i łapała je jak jesienne liście na wietrze, rozkoszując się nimi oraz próbując zapomnieć o ich krótkotrwałości.

Camille weszła do mieszkania. Ściągnęła buty w przedpokoju i weszła do środka. Jej mama siedziała po turecku na dywanie w salonie. Było całkowicie ciemno, jedyne światło rzucała mała świeca zapachowa. Dziewczyna

westchnęła i przeszła przez salon do swojego pokoju.

- Nie hałasuj tak, zaburzasz mi aurę - usłyszała niski głos matki.

- Przepraszam, ale cisza zaburza moją aurę - odparła tylko, trzaskając głośno drzwiami.

Podeszła do odtwarzacza muzycznego, włożyła do niego płytę Nirvany i podkręciła maksymalnie regulator natężenia dźwięku.

Czuła gniew. Nie miała zamiaru podporządkowywać się dziwactwom matki. Wyładowywała w ten sposób frustrację, jednak wcale nie czuła się z tym tak dobrze, jak przewidywała. Opadła bezwiednie na materac, ukryła głowę w poduszce i załkała cicho.

Drzewa w ciemności wyglądały niczym sylwetki powyginane w makabrycznych pozach. Liście poruszane delikatnym wiatrem szeptały między sobą złowieszczo. Między nimi do Lasku Bulońskiego ciekawsko zaglądały gwiazdy, chcąc poznać nocne sekrety tego miejsca.

Prosto w ich zaciekawione oczy spoglądały dwie postacie, leżące plecami na trawniku. Tak zatłoczony za dnia park, teraz gościł tylko dwie zamysłone osoby.

- Patrz, braciszku - Marcel wskazał palcem obszar na niebie. - Tam jest Wielka Niedźwiedzica.

- Nigdy nie umiałam dostrzec konstelacji - odparła Viviane, intensywnie wpatrując się w pokazane miejsce i bezowocnie próbując połączyć błyszczące punkty. - Każda

gwiazda wydaje mi się samotna.

Znów zapadła między nimi cisza. Po chwili przeciął ją delikatny głos Viviane:

Sous le ciel de Paris

S'envole une chanson

Elle est née d'aujourd'hui

Dans le coeur d'un garçon^[17]

- Wtedy kiedy byłeś u Wilde'a na grobie... Mówiłeś, że to był ostatni punkt na liście. Jakie były pozostałe?

Marcel roześmiał się.

- Ty nie rozumiesz połączeń między gwiazdami, a ja między twoimi myślami. Jak z gwiazd przeszłaś do zwiedzania Paryża?

- Przez piosenkę. No wiesz, *Sous le ciel de Paris*. Tak mi się skojarzyło. Ty nigdy tak nie masz? - śmiała się z samej siebie.

- Nie w takim stopniu.

- Nie zmieniaj tematu! - zagroziła mu Viviane.

- Zacząłem od banałów takich jak Luwr, ale nie wszedłem do sali z Mona Lisą.

- Dlaczego? - zdziwiła się dziewczyna.

- Bo jest tam dużo równie dobrych obrazów, które wszyscy pomijają! Więc ja pominąłem ten, o którym wszyscy pamiętają.

- Jednak jesteś dziwny, siostrze.

- Dlatego jestem twoją siostrą - cmoknął ją pieszczotliwie

w policzek. – Ale byłem też w Muzeum Kanałów.

– Jest takie muzeum?! – dziewczyna się roześmiała.

– Nie śmieć się, sieć kanałów Paryża ma aż dwa tysiące czterysta kilometrów!

– Moje życie dzięki tej wiedzy jest pełniejsze – odparła Viviane.

– Grzebałem pod fotobudką na dworcu... – kontynuował wyliczanie chłopak.

– Po co...? – dziewczyna już nawet nie kryła kpiny w głosie.

– Nie oglądałaś *Amelii*?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Chyba żartujesz! – Marcel był oburzony. – Musimy nadrobić zaległości, każdy mieszkaniec Paryża powinien zobaczyć ten film!

– O czym to jest? – spytała.

– Nie mam zamiaru ci mówić, to hańba! Zawiodłaś mnie, bracie...

– I tak mnie kochasz – uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił gest.

– Nawet przypominasz mi trochę Amelię – chłopak się zamyślił.

– Ja nie grzebię pod fotobudkami – zwróciła mu uwagę.

– Nie o to chodzi. Jak obejrzysz, to się dowiesz.

Ponownie zamilkli, zapatrzeni w granat nieba poznaczone kłutymi świecącymi ranami. Żadne z nich nie myślało o kolejnym czy poprzednim dniu. Byli zawieszani w tej ciemnej nocy między wczoraj a jutro.

Viviane od rana krzątała się po kuchni, przygotowując najróżniejsze ciastka, muffiny i inne przekąski. Mamy dziewczyny nie było w domu. Kiedy wybiła trzynasta, przebrała się w czystą żółtą sukienkę, zapakowała jedzenie w pudełka i naszykowała opakowany prezent w przedpokoju tak, żeby o nim nie zapomnieć. Chwilę przed czternastą zadzwonił dzwonek u drzwi. Dziewczyna otworzyła, a jej oczom ukazała się wysoka sylwetka Pierre'a z gitarą na plecach. Uśmiechnął się do niej, pokazując białe zęby.

- Pięknie wyglądasz - odezwał się.

- Na mnie to nie działa - odparła pogardliwie, ale mimo to poczuła na twarzy napływający rumieniec.

- Dlaczego zawsze jesteś taka spięta? - chłopak wszedł za nią do mieszkania i bez zaproszenia usiadł swobodnie na krześle w kuchni.

- Nie jestem spięta - zaprzeczyła.

- Jesteś - kontynuował. - Zawsze wydajesz się taka szorstka. I ciągle pilnujesz, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego.

- Nieprawda! - brnęła, chociaż wiedziała, że chłopak trafił w sedno.

- To przeze mnie? - teraz był całkiem poważny. - Przez to, że jestem z Camille?

Drgnęła zirytowana. Nie chciała o tym rozmawiać, nie z Pierre'em. Wiedziała, że nie powinna była, ale wciąż częściowo obwiniała go za położenie, w jakim się znalazła.

- Nie - jednak, gdy to krótkie słowo opuściło jej usta,

wzięła głęboki oddech i spojrzała na chłopaka. - Zawsze byliśmy tylko my dwie, a nagle wkroczyłeś ty i przewróciłeś wszystko do góry nogami. Tak, jest to dla mnie nowa sytuacja, ale oswajam się z nią. Nie mam do ciebie pretensji. Cieszę się, że jest szczęśliwa.

Pierre spojrzał na nią uważnie. Widział, że nie kłamała, ale nie mówiła także całej prawdy. Zawahał się przez chwilę, ale postanowił zaryzykować:

- Wtedy na imprezie... zaśpiewałaś *Love is a losing game*...

Dziewczyna lekko drgnęła, ale pozwoliła mu kontynuować.

- Czy ty... - spojrzał na nią ostrożnie - czy ty nic do mnie nie czujesz?

Viviane odetchnęła, po czym wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, uwalniając w ten sposób narosłe w niej emocje. Chłopak spojrzał na nią zdezorientowany, a kiedy się uspokoiła, odparła:

- Mogę cię zapewnić, że nic do ciebie nie czuję, może z wyjątkiem odrazy.

Chłopak, przyzwyczajony do sarkazmu dziewczyny, uśmiechnął się szeroko, uspokojony, po czym powiedział:

- No wiesz, nie byłbym zdziwiony, tak już działam na dziewczyny...

- Pff... - prychnęła Viviane. - Więcej uroku ma przejechana żaba!

- Ale przejechana żaba nie ma kolczyka w wardze i czarującego uśmiechu - droczył się dalej.

- Ty też go nie masz - śmiała się.

Obydwoje czuli, jak znika napięcie między nimi. Potrzebowali takiej rozmowy. Musieli zbliżyć się do siebie sami, bez stojącej między nimi Camille. To był pierwszy raz, kiedy byli w swoim towarzystwie całkowicie swobodni i trzeźwi jednocześnie.

Chłopak roześmiał się i sięgnął przez stół do pudełka z czekoladowymi ciastkami. Zanim zdążył jakiegokolwiek złapać, Viviane uderzyła jego dłoń ścierką.

- Gdzie z łapami, to na imprezę!

- Ale mi impreza... - przewrócił żartobliwie oczami. - Będziemy zajadać babeczki, siedząc w ogrodzie różanym. Zapowiada się ostry melanż. Przygotowałaś też porcelanowe filiżanki na herbatę?

- Nie, będziesz musiał pić z imbryka - odgryzła się i wróciła do pakowania jedzenia.

Chwilę później drzwi mieszkania otworzyły się gwałtownie, a do środka wpadła Camille. Miała krótką sukienkę w miętowym kolorze, która kusząco obciskała jej talię. Zobaczywszy Pierre'a, uśmiechnęła się szeroko.

- O, już jesteś! - zawołała. - To niedobrze, miałam nadzieję, że spóźnisz się jeszcze bardziej niż ja...

Chłopak z uśmiechem wstał z krzesła, podchodząc do dziewczyny. Objął ją w talii i pocałował mocno.

- Ja się przecież nigdy nie spóźniam - wyszeptał jej w szyję.

Viviane poczuła, jak cała swoboda, którą czuła przed chwilą, znika. Mogła być sama z Camille, sama z Pierre'em, ale nie mogła znieść ich razem. To było zbyt bolesne.

Szybko skończyła pakowanie jedzenia i wręczyła każdemu po kilka pudełek.

- Gdzie ten Philippe? - spytała, żeby zająć czymś umysł.

- O, czyli jednak nie jestem ostatnia! - ucieszyła się Camille.

Jakby dla potwierdzenia uwag dziewczyn, ktoś zadzwonił do drzwi. Viviane nawet nie wpuściła Philippe'a do środka, od razu dając mu pakunek i poganiając wszystkich. Obładowani jedzeniem oraz prezentami dla Marcela ruszyli w stronę stacji metra.

Na miejsce dotarli dziesięć minut przed umówioną godziną tylko dzięki temu, że ostatni fragment drogi pokonali biegiem. Rozłożyli wszystko, a chwilę potem przyszedł solenizant. Zaśpiewali mu „Sto lat” i usiedli na przygotowanym wcześniej kocu.

- To teraz prezenty! - zawołała Camille, wyciągając w stronę chłopaka oklejony niebieskim papierem cienki prostopadłościan. - To ode mnie i Pierre'a.

Marcel delikatnie rozerwał papier, odsłaniając gruby notatnik w twardej oprawie. Podziękował przyjaciołom i odłożył prezent na bok. Następną rzecz wręczył Philippe. Były to dzieła zebrane Oscara Wilde'a.

- To teraz ja! - Viviane wyciągnęła kolorową torebkę w stronę Marcela.

Chłopak uśmiechnął się do niej i zajrzał do środka.

- O rety! - zawołał, wyciągając pluszowego lisa średnich rozmiarów z dwiema fluorescencyjnymi gwiazdkami zamiast

oczu. Z pyska maskotki wystawał poprzecznie włożony długopis poznaczony drobnymi gwiazdkami. - Dziękuję, braciszku!

Mocno przytulił przyjaciółkę.

Pozostali nie wiedzieli, co oznacza ten prezent, ale byli przekonani o jego ukrytym znaczeniu, wiadomym tylko odbiorcy. Nie byli zaskoczeni tym, że z prezentu od Viviane chłopak ucieszył się najbardziej. Zdziwiliby się, gdyby było inaczej.

Marcel jednak poczuł wstyd, że tak żywiłowo zareagował tylko na jeden prezent. Zwrócił się do pozostałych:

- Wasze prezenty też są świetne, dziękuję! Najlepsze urodziny w moim osiemnastoletnim już życiu!

- To jesteś oficjalnie najstarszy z nas - zaczął Pierre. - Czujesz przez to wyższość?

- Tak - odpowiedział chłopak. - Właśnie się zastanawiam, co robię z takimi małolatami.

- Kosisz prezenty i zżerasz ciastka - podsunęła uprzejmie Camille.

- No tak, zapomniałem, to jedyny racjonalny powód. - Wszyscy się roześmiali. - To niesamowite. Mieszkaliśmy w jednym mieście, uczyliśmy się w jednej szkole, a znamy się tak naprawdę dopiero od kilku miesięcy.

- Nie ilość, tylko jakość się liczy - podsumowała Viviane.

Pierre sięgnął po gitarę.

- Pamiętacie pierwsze spotkanie na cmentarzu? - spytał i zaczął grać *No woman no cry*, przywołując wspomnienia, które wydawały się tak odległe.

Philippe jednak znów poczuł się nieswojo. Wyczuł między pozostałymi jakąś tajemnicę, do której nie został dopuszczony. Nie miał miłych wspomnień ze swojej pierwszej wizyty na grobie i nie pamiętał, by kiedyś wspólnie śpiewali tę piosenkę. Nie mógł mieć o to do nich pretensji, minęło dużo czasu między pierwszym a drugim spotkaniem chłopaka z pozostałymi, ale czuł pewną urazę. Relacja reszty paczki sprawiała mu swego rodzaju przykrość.

- Viviane - odezwał się Marcel - tak się napracowałam i nic nie jesz. - Wskazał ruchem głowy na talerze przed nim, sam sięgając po ciastko truskawkowe.

Dziewczyna momentalnie się spięła. Poczula na plecach nieprzyjemny znajomy dreszcz i powtórzyła w myślach zdanie wyryte na grobie swojego idola. Wzięła głęboki wdech, po czym odparła lodowatym tonem:

- Nie jestem głodna.

To jedno proste zdanie wystarczyło, by wszyscy wyczuli, że coś jest nie tak. Nikt jednak nie drażył tematu. Częściowo pod wpływem morderczego wzroku dziewczyny, częściowo z egoizmu, nie chcąc psuć sobie dobrego humoru.

Po kilku chwilach zapomniano o nieprzyjemnej sytuacji, wracając do wesołych rozmów.

Siedzieli w ogrodach aż do wyproszenia ich przez strażnika tuż przed godziną zamknięcia. Zjedli wszystko, nie zostawiając żadnych resztek. Pozbierali rzeczy, odwieźli puste pudełka do Viviane, gdzie się pożegnali.

Kiedy dziewczyna wróciła, jej matki wciąż nie było. Viviane westchnęła, umyła się, ubrała piżamę, a położywszy

się do łóżka, próbowała na nowo przeżyć miniony dzień, by choć chwilę móc udawać, że wszystko jest w porządku, odganiając myśli o mamie, jedzeniu i ignorując spływające po policzkach łzy.

Paryżanie jak zwykle zmierzali donikąd, każdy w swoim tempie. Gorące słońce naigrywało się z nich, przygrzewając mocno. Wakacyjne dni płynęły wolno niczym woda w Sekwanie, którą obserwowali Camille i Pierre, siedząc na brzegu. Patrzyli na ptaki i statki przecinające taflę.

- Martwię się o Viviane - odezwała się dziewczyna po długiej chwili ciszy.

Siedziała pomiędzy nogami chłopaka, opierając głowę o jego tors. Kiedy się odezwała, Pierre przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Czegoś mi nie mówi - kontynuowała. - Za dobrze ją znam, coś ją martwi.

Chłopak pocałował ją w szyję.

- Porozmawiaj z nią - zaproponował.

- Próbowałam, ale ona wszystkiemu zaprzecza. W dodatku strasznie schudła. Mówi, że jest tylko wegetarianką, ale tak się nie wygląda przy niejedzeniu mięsa, tak się wygląda przy niejedzeniu niczego!

- Przecież robi te wszystkie ciasteczka i inne cudeńka.

- No właśnie, robi. A widziałeś, żeby kiedyś coś z tego

jadła?

Chłopak się zamyślił i przyznał Camille rację. Po chwili powiedział:

- Ale ona nie ma powodów, żeby się odchudzać.

- Kiedyś miała. Przestała jeść słodycze, wszystko fajnie, ale potem zaczęła wymyślać jakieś cudowne diety, głodówki, i teraz patrzę, jak każdego dnia znika.

- Coś musi jeść - teraz chłopak słuchał uważnie, zdając sobie sprawę, że dzieje się coś poważnego.

- Mówi, że albo je za dużo, albo jadła wcześniej, albo zje później, że się po jedzeniu źle czuje... Widziałeś, żeby coś tknęła na imprezie po zakończeniu roku szkolnego? Raz, kiedy poruszyłam ten temat, to się wydarła, że wreszcie jej się udało pokonać głód i że powinnam ją wspierać, bo jest nareszcie szczęśliwa i zdrowa.

Pierre zastanowił się nad usłyszanymi przed chwilą słowami. Teraz także on odczuwał niepokój.

- Zaproś ją na noc czy jak to tam dziewczyny załatwiają - powiedział, spoglądając na nią i obracając twarzą do siebie. - I weź ją z zaskoczenia.

Camille zaniemówiła. Dziwiła się, że sama na to nie wpadła. Przecież zawsze tak robiły. Teraz, kiedy miała ustalony plan działania, rozluźniła się i postanowiła jeszcze tego samego dnia zadzwonić do przyjaciółki. Zresztą i tak musi z nią porozmawiać. Nie miały czasu omówić imprezy, a przecież tyle się wydarzyło. Nie aż tyle, ile oczekiwała, ale i tak sporo.

Dziwnie się teraz czuła w objęciach Pierre'a. Na imprezie

byli tak blisko. Nie wiedziała, jak to możliwe, że zasnęli. Jednak od tamtej pory nie mogła się powstrzymać od snucia domysłów, jak potoczyłaby się dalej tamta noc. Przerazało ją to, że tak bardzo pragnęła to sprawdzić i cały czas szukała odpowiedniej sposobności.

Dziewczyna odgoniła myśli i dała się pochłonąć pieścizotom chłopaka.

Viviane leżała na materacu w pokoju Marcela, obserwując, jak chłopak metodycznie rozpracowuje ciastka oreo. Najpierw jadł górną warstwę, potem zlizywał połowę mlecznego nadzienia, pozostałość składał na pół i wkładał w całości do buzi.

- Zauważyłaś, że Philippe ostatnio przestał przychodzić na cmentarz? - zaczął.

Dziewczyna oparła się na łokciu.

- Akurat zaczynałam go lubić - uśmiechnęła się. - Szczerze, to nie brakuje mi go jakoś szczególnie. Może po prostu się nami znudził. Od początku nie byliśmy towarzystwem dla niego - zakończyła, znów skupiając spojrzenie na ciastku.

- Na pewno nie masz ochoty? - zapytał Marcel, wyłapując jej spojrzenie.

Dziewczyna zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy. Chłopak się uśmiechnął:

- Czy ty w ogóle coś jesz?

Viviane nastroszyła się momentalnie. Otworzyła szerzej

oczy i zacisnęła pięści.

- Jeny, zmówiliście się czy co? - Marcel był zdezorientowany. - Jem tyle, ile potrzebuję, to nie jest wasz problem, wbrew waszym oczekiwaniom nie mam anoreksji. Anorektycy nie jedzą, ja natomiast pochłaniam wręcz w nadmiarze. Dzięki za troskę, ale możecie sobie dać już spokój.

Oddychała ciężko, przymknęła powieki i rozluźniła uścisk dłoni.

Przyjaciel był zaszokowany. Nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji, tylko żartował... Ale był inteligentny i wiedział, że takie wybuchy zawsze mają jakieś podstawy. Postanowił drążyć temat:

- Martwię się o ciebie. Znamy się już długo, a jeszcze nigdy przy mnie nie jadłaś. - Dopiero kiedy wypowiedział te słowa na głos, zdał sobie sprawę, że to prawda. - Na pewno wszystko w porządku?

Viviane spojrzała mu w oczy i zalała ją fala tak długo tłumionych uczuć. Przez lata dusiła w sobie problem, próbowała go ignorować, wmawiając sobie, że jest z nim szczęśliwa. Wybuchnęła niekontrolowanym płaczem i opowiedziała wszystko. To, czego tak długo się wypierała i ukrywała w sobie, wreszcie ujrzało światło dzienne:

- Tak, nie jem - powiedziała, wstrzymując szloch. - Nie chcę chudnąć, to nie tak, jak wszyscy myślicie. Ja boję się przytyć - wstrząsnął nią dreszcz, ale zaraz się opanowała. - To jest mój problem. Za każdym razem, gdy coś jem, robi mi się niedobrze, boli mnie brzuch, boję się, że to właśnie ta

kaloria sprawi, że wrócę do tego, jak wyglądałam kiedyś. Dlatego przestałam jeść: bez przyczyny nie ma skutku – zakończyła i pozwoliła łzom swobodnie spływać po twarzy.

Pierwszy raz powiedziała to wszystko na głos. Jej życie było zdominowane i podporządkowane odżywianiu. Tak bardzo była świadoma swojego idealnego wyglądu, który osiągnęła ciężką pracą, że bała się go stracić, wracając tym samym do przeszłości. Strach ten rozchodził się po jej jestestwie niczym mrówki, zagnieżdżające się w mieszkaniu i zajmujące coraz więcej zakamarków. Wcześniej jadła mało, całkowicie przestała dopiero miesiąc temu. Nie czuła głodu, było jej z tym dobrze. Wiedziała, że to nienormalne, ale jeszcze nigdy nie była tak wolna. Miała poczucie stabilności, z którego nie chciała rezygnować. Na początku się bała, ale gdy widziała, że wszystko z nią w porządku, oładnął ją spokój.

- Jeszcze nigdy nie czułam się tak dobrze - powiedziała.

Chłopak współczuł jej. Za każdym razem, gdy wydawało mu się, że ogrzał chłód dziewczyny, wychodziło na jaw więcej powodów jej zamknięcia w sobie. Za dużo wysiłku wkładała w perfekcję, na każdym polu. To był jej problem. Tymczasem ona naprawdę wierzyła w normalność tej sytuacji.

Odłożył ciastko i spojrzał na nią. Chciał jej pomóc, ale nie miał pojęcia jak. Gdyby myślała, że jest z nią coś nie tak, byłoby mu łatwiej. Nie wiedział, co powiedzieć. Ta piękna dziewczyna, mimo pełnej świadomości swoich atutów, nie była pewna siebie. Słyszał wiele o zaburzeniach odżywienia, ale nigdy o takim przypadku.

- Co jeszcze? - spytał tylko, licząc na to, że dziewczyna sama znajdzie wyjście.

Zwróciła ku niemu wilgotne oczy i zapragnęła powiedzieć mu wszystko. Nie tylko o jedzeniu, chciała obnażyć przed nim wszystkie sekrety. Była w amoku. Jakby Marcel był trzęsieniem ziemi, które wywołało w niej tsunami zwierzeń:

- To moje największe demony. Matka ma depresję, całe dnie jej nie ma, a jak jest, to nie zwraca na mnie uwagi i nawet nie zauważyła, że coś jest nie tak. Ranię przyjaciółkę, nie umiem poradzić sobie ze sobą, zrażam do siebie ludzi. Staram się, tak bardzo się staram, ale nie umiem tego wszystkiego udźwignąć.

Marcel wziął głęboki wdech i wypowiedział bardzo pewnym tonem coś, czego był bardzo niepewny:

- Nigdy nie będziesz idealna.

Zapadła cisza. Ostatnie zdanie zawisło między nimi jak cienka napięta linka. Było słychać tylko tykanie zegara.

Viviane wstała i wyszła. On nie próbował jej zatrzymać.

Litery z nagrobka zerkały na dziewczynę, nie oceniając jej. Nie czuła w nich ani dezaprobaty, ani pochwały. Nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że błyszczą rozczarowaniem. Zdenerwowana odwróciła się do napisu plecami i ukryła twarz w dłoniach, przysiadając na nagrobku. Była roztrzęsiona. Może Marcel miał rację. Może za bardzo się stara. Może nie da się wygrać ze wszystkimi demonami. Zawsze jakiś przy tobie będzie stał zaraz obok Anioła Stróża.

- Viviane?

Podniosła głowę na dźwięk swojego imienia. Zobaczyła Philippe'a, stojącego naprzeciwko niej. Wytarła łzy i zmusiła się do uśmiechu.

- Wszystko w porządku? - spytał, podchodząc do niej i dotykając jej ramienia.

To przelało czarę goryczy. Nie miał prawa pytać, co jej jest, ani dotykać jej. To wszystko nie powinno go obchodzić. Niech wynosi się do swojego idealnego życia. Niech wie, że inni też mają problemy. Cała desperacja i żal do chłopaka zagotowały się w niej, by wydostać się jako gorąca para.

- Nie - odpowiedziała lodowatym głosem. - W moim świecie nic nie jest w porządku. Nigdy nie było.

Chłopak nie wyczuł jej negatywnego nastawienia.

- Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Dziewczyna nie wytrzymała. Wstała gwałtownie i zaczęła krzyczeć. Spojrzenie miała dzikie, zamglone furją:

- Nic się nie ułoży, nigdy się nie układa! To nie jest TWÓJ świat, świat idealnego przystojnego chłopaka z obojgiem rodziców, beztroskim życiem i masą tak samo beztroskich znajomych! To świat lesby bez kasy z anoreksją, bulimią, matką w depresji i ojcem, który zginął na wojnie. Nic się nie ułoży! WSZYSTKO W MOIM ŚWIECIE BĘDZIE DALEJ TAK SAMO POPIERDOLONE, A W TWOIM DALEJ TAK SAMO IDEALNE!

- Myślisz, że to w porządku?! - teraz chłopak podniósł głos. - Nie prosiłem się o taką rodzinę i nie mam wpływu na twoją, nienawidzisz mnie za coś, w czym nie biorę nawet

udziału! Nie twierdzą, że nie jest ci ciężko, ale może ja też nie mam tak łatwo, jak ci się wydaje?! Moi znajomi to dupki bez mózgow, ojciec nie jest od nich lepszy, WIĘC OBUDŹ SIĘ I PRZESTAŃ BYĆ TAKĄ EGOCENTRYCZKĄ!

- To ty się obudź! Przestań bawić się w filozofa i ciesz się z tego, co masz, bo narzekanie na to, że masz pieniądze, jest żalosne! Twojego ojca nie ma, bo pracuje, a mojego - bo nie żyje! Sam sobie dobrałeś znajomych, więc teraz nie narzekaj. DOROŚNIJ!

- Ja mam dorosnąć?! To ty mnie nienawidzisz bez powodu! Mimo że to ja mam kasę, to ty zachowujesz się jak rozpieszczony bachor! Anoreksja? Też coś, to dziecinada!

Wraz z tym ostatnim zdaniem Viviane otrząsnęła się z amoku. Spojrzała na chłopaka trzeźwym wzrokiem.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - powiedziała spokojnym głosem. - Wynoś się. Może i wyskoczyłeś z pociągu, ale na pewno nie wylądowałeś na naszym peronie.

Chłopak widział jej złość. Czuł, że jest całkiem poważna. Jednak on był zraniony równie mocno. Postrzegala jego życie w krzywym zwierciadle, a sama żyła po jego drugiej stronie. Odwrócił się i odszedł bez słowa, próbując przełknąć gorycz zasłyszanych słów.

Viviane opadła na grób wycieńczona. Poczula, jak wszystkie demony, które przez tyle lat zwalczała, odzyskały siły i uderzyły ze zwielokrotnioną mocą.

- Jesteś tu? - usłyszała głos Camille.

Podniosła głowę, a jej oczom ukazała się przyjaciółka

i Pierre. Nie miała sił. Chciała wszystko przemyśleć sama, tylko z Jimem. Kiedyś opowiedziałyby o wszystkim Camille, ale czasy się zmieniły. Nie była już sobą. Rządziły nią demony.

- Jak widać - odpowiedziała zdawkowo.

- Minęliśmy Philippe'a, coś się stało?

- Mielśmy sprzeczkę, nieważne, nie chcę o tym rozmawiać - powiedziała tylko.

Zapadła cisza, którą przerwała Camille:

- Może byś do mnie wpadła, chyba musimy pogadać.

- O czym? - głos Viviane był szorstki, ale nie nieprzyjemny, jakby zużyty, bez nadziei.

- O tobie - odparła po prostu i odwróciła się. - Do zobaczenia wieczorem.

Odeszli, zostawiając Viviane samą, pogrążoną w nienawiści i wyrzutach sumienia, wciągana coraz głębiej w wir mieszanych emocji.

Mimo całej gamy uczuć, z którymi nie umiała sobie poradzić, Viviane była o siódmej w mieszkaniu przyjaciółki z całym ekwipunkiem oraz misą ciastek. Przywitały się krótkim uściskiem i przeszły do pokoju Camille.

Na biurku stały naczynia wypełnione słodyczami oraz przekąskami, łóżko było zasłane, co zdarzało się tutaj rzadko, szafy były podomykane i nic nie leżało na ziemi. Wszystko to oznaczało, że Camille się przygotowała.

Dziewczyny usiadły, a gospodyni zagaiła:

- Częstuj się!

Viviane od razu się najeżyła:

- Nie jestem głodna. Kiedy się gotuje, naprawdę nie ma się ochoty potem jeść.

Camille popatrzyła na nią czujnym okiem.

- Musisz jeść...

To jedno zdanie wystarczyło, by zdetonować tak długo tykającą bombę:

- Zmówiliście się dzisiaj czy jak?! Jeszcze nigdy nie czułam się tak dobrze, ale proszę - sięgnęła do miski z ciastkami, wzięła w dłoń pięć naraz i zaczęła je wszystkie wpychać do ust. - Zadowolona?

Nie panowała nad sobą. Pochłaniała wypieki w zatrważającym tempie. Camille na początku patrzyła na nią z przerażeniem, a potem zaczęła krzyczeć. Ale dziewczyna jej nie słuchała. Wpychała w siebie coraz więcej i połykała, praktycznie nie gryząc. W pewnym momencie przestała, dysząc ciężko.

Początkowa furia ustąpiła strachowi, ale też uldze. Poczwała, jak wszystkie uczucia toczą w niej walkę, a szala wygranej co chwila przechyla się na inną stronę. Wiedziała, że nie zniesie tego dłużej. Chciała uciec. Poczwała, że osuwa się w nicość. Ostatnim, co zapamiętała, było wymykające się z dłoni ciastko i zapach czekolady.

Najpierw zaczęła odbierać dźwięki. Równomierne pikanie kardiogramu, ciche buczenie maszyn, rytmiczne uderzenia kropli o taflę wody, dalekie kroki. Po chwili doszły zapachy -

ostra woń środka dezynfekującego i tłuszczu spożywczego. Później odzyskała czucie. Tępy ból głowy, rwanie w karku (miała za wysoką i zdecydowanie za twardą poduszkę), drobne ciągnięcie przytrzaśniętych włosów, dotyk plastiku na twarzy, przyleganie kołdry do ciała, ssanie w zgięciu ramienia, bezwładność w kończynach, dziwne, trudne do określenia wrażenie w żołądku. Powoli poruszyła palcami u dłoni, jakby sprawdzając, czy jest zdolna do takiego wysiłku. Skupiła całą swoją energię w powiekach i zamrugła parokrotnie na próbę. Udało jej się je przez chwilę utrzymać w górze, ale przed sobą widziała tylko biel. Ostrożnie, jakby nie wiedziała, czy ma na to pozwolenie i dość siły, skrzyła głowę w lewo. Kojarzyła obrazy powoli. Dopiero po pewnym czasie jej mózg przetworzył obraz, z którym miały do czynienia oczy: okno z białymi żaluzjami, kroplówka, kardiogram, inne skrzynki, których nie umiała zidentyfikować, etażerka z nerką, puste krzesło.

Te wszystkie bodźce pobudziły jej pamięć, przywołując minione wydarzenia. Na myśl o ciastkach poczuła mdłości. Zamknęła oczy i starała się nie myśleć. Wyobraziła sobie, że bierze ogromną szufłę i odgarnia wszystkie myśli na bok, pozwalając głowie wypełnić się próżnią. Wciąż jednak przemykały przez nią urywki przeprowadzonych rozmów. Otworzyła usta i zaczęła śpiewać. Najpierw niepewnie, zachrypniętym, wątlm głosem, potem coraz mocniej stawiała dźwięki. Wszystkie jednak piosenki, które nasuwały jej się na myśl, albo były bardzo jednoznaczne już w tytule (*Big cheese*, *Adam's Apple*, *Brown sugar*), albo dopiero w trakcie ich

trwania nasuwały dziewczynie złe skojarzenia. Nawet zwykle pomocny Jim pogrążał ją, wwiercając się w jej czaszkę z kawałkiem *Soul kitchen*.

Nie wiedziała, jak długo tak leżała, ale kiedy była w połowie *Back to black*, usłyszała skrzypnięcie drzwi i wolne kroki. Przerwała w połowie wersu i zwróciła głowę w stronę dźwięków. Do pokoju weszła Camille. Miała nieprzeniknioną minę, ale w jej oczach było coś, co zawstydziło Viviane.

Dziewczyna usiadła na skraju łóżka chorej i patrzyła wyzywająco wprost na nią. Żadna z nich nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Camille wyrzucała sobie, że nie zareagowała wcześniej, a Viviane... poczuła, że znów kręci jej się w głowie.

W końcu przerwała ciszę:

- Co mi dają? - wskazała głową na woreczek z przezroczystym płynem.

- Glukozę - odpowiedziała zdawkowo Camille. - Jesteś niedożywiona.

Znów zapadła niezręczna cisza.

- Jestem chora, prawda?

To było pytanie retoryczne. Doskonale znały odpowiedź.

- Jak długo leżę? - spytała dziewczyna, byle tylko nie widzieć tego spojrzenia pełnego oskarżenia i poczucia winy.

- Prawie dwanaście godzin.

- Byłaś tu cały czas? - spytała z niedowierzaniem.

- Na zmianę z Marcelem, teraz pojechał do domu.

- Gdzie Pierre? - w swoim głosie Viviane wyczuła niezamierzoną nutę gorzkości.

- Chciał przyjechać, ale powiedziałam, że nie ma takiej potrzeby - dziewczyna zaczęła miąć prześcieradło. - Powinnaś mu pozwolić się odwiedzić, martwi się.

- Co z mamą?

- Była cały czas, ale zasnęła w poczekalni, nie chciałam jej budzić.

Viviane wzięła głęboki wdech i zadała pytanie, którego najbardziej się bała:

- A Philippe?

Camille spojrzała na nią na poły zmartwiona, na poły zaskoczona.

- Nie mam pojęcia, nie dzwoniłam do niego - zobaczyła, jak przyjaciółka ucieka wzrokiem. - Zrobić to?

- Nie! - dopiero gdy to powiedziała, zdała sobie sprawę ze zbyt gwałtownej reakcji.

Nie chciała spotykać się z chłopakiem. Przerażała ją ta wizja. Wstyd jej było za swój ostatni wybuch i nie była pewna, jak bardzo zmieniły się ich stosunki.

Dziewczyny siedziały w ciszy, dopóki Camille nie zaczęła:

- Pamiętasz, jak zawsze znajdowałyśmy jakieś alternatywne hipsterskie kapele, a potem szpanowałyśmy, że to nasze kompozycje, bo nikt ich nie znał?

Viviane przekrzywiła głowę, ale nie odezwała się. Camille kontynuowała:

- Znów odkryłam urok tej gry.

I zaczęła śpiewać, nie czekając na reakcję przyjaciółki:

Nineteen one shrink two times a week

*But nothings changing.
Mom cries at night, for her life
'cause she knows she is fading*

Viviane zapatrzyła się w przestrzeń. Nie znała tej piosenki, ale już wiedziała, do czego zmierza.

*She's tried to turn around
But she's too far in the wrong direction.
It wasn't supposed to be this way
All she wanted was, some attention.*

Camille ścisnęła przyjaciółkę za rękę, ale ta wciąż na nią nie patrzyła, więc kontynuowała:

*She's just a girl who doesn't know
She's already beautiful.
Five years ago if you had seen her
You would never know.
This would be her only out for every time she's broken down
And hates herself
For everything that's wrong in life, looks in the mirror to
criticize
She'd rather be beautiful than alive.*

Camille miała łzy w oczach, ale nie przestawała:

Twenty-three now she's buried

*Underneath red roses.
I'm gonna miss her and I hope
Someone learns from this*^[18].

To nie był koniec, ale przerwała. Natarczywie patrzyła na przyjaciółkę, aż ta w końcu zaszczyliła ją pustym spojrzeniem, pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu czy uczucia. Dziewczyna była niczym skorupa. Tylko o ciało dbała, i tylko ciało z niej zostało.

Camille nie mogła na to patrzeć, najbardziej jednak przeraziła się, gdy dotarło do niej, że nie pierwszy raz widzi to spojrzenie. Wielokrotnie gościło ono na twarzy przyjaciółki, ale dopiero teraz dziewczyna to sobie uświadomiła. Zmusiła struny głosowe do zadania tego jednego pytania, które nie dawało jej spokoju:

- Po co?

Ale przyjaciółka się nie odezwała. Camille nie miała nawet pewności, czy ją usłyszała. Jej spojrzenie było tak odległe, że w ogóle by to nie dziwiło.

Gdy teraz o tym myślała, Camille dostrzegała we wspomnieniach wiele powodów do niepokoju. Przyjaciółka nie tylko chudła, ale nie jadła, poruszała się mniej energicznie niż kiedyś, odpowiadała wolniej na pytania, była drażliwa. Dziewczyna miała poczucie, jakby została oszukana. I w pewnym sensie tak było: Viviane oszukała wszystkich wraz ze swoją współniczką, Anoreksją.

- KATA TON DAIMONA EATOY - spróbowała jeszcze raz, ale przyjaciółka pozostawała w otępieniu.

Siedziały w ten sposób, dopóki drzwi nie otworzyły się z lekkim skrzypnięciem i nie wszedł przez nie łysiejący mężczyzna w białym kitlu, ze stetoskopem przewieszonym przez szyję i twarzą poraną zmarszczkami. W dłoniach trzymał podkładkę na kartki.

- Obudziła się? - zwrócił się do siedzącej na łóżku Camille.
Dziewczyna kiwnęła głową.

- W takim razie chciałbym porozmawiać z pacjentką, jeśli można.

Camille jeszcze raz spojrzała na zniszczoną powłokę, która niegdyś była jej przyjaciółką, i bez słowa wyszła z pomieszczenia.

Lekarz stanął nad łóżkiem Viviane.

- Jak ci na imię?

- Viviane - odpowiedziała beznamiętnie.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś?

- Zemdlałam.

- Dlaczego?

- Bo się najadłam.

- Dlaczego? - drążył doktor.

- Bo nie jadłam dwa tygodnie.

- Dlaczego? - był nieubłagany, chciał z niej wycisnąć odpowiedź.

Dziewczyna zawahała się, po czym odpowiedziała:

- Bo mam anoreksję.

Myślała, że nad tym panuje, że to tylko zaburzenie, ale piosenka Camille w pełni jej uświadomiła, że ona jest jedną z Nich. Jedną z dziewczyn, które dążą do perfekcji za wszelką

cenę. Próbowwała oswoić się z myślą, że coś, co wydawało jej się tak obce i niemożliwe, dotyczy właśnie jej.

Lekarz dał jej trochę czasu na przyswojenie diagnozy, którą samodzielnie postawiła, po czym znów się odezwał:

- Czy wiesz, co to?

Dziewczyna słabo pokiwała głową, ale nie patrzyła na niego. Już nawet nie miała siły na łzy. Próbowwała sobie wyobrazić, co zaraz usłyszy i jak będzie wyglądało jej życie dalej.

- Nie będę kazał ci teraz na nic więcej odpowiadać, ale musisz posłuchać. Na wypadek, gdybyś nie była pewna, anoreksja to zaburzenia odżywiania, polegające na jadłowstręcie i nieprzyjmowaniu pokarmu z własnej woli. Krótko mówiąc, na głodzeniu się. Z tego, co słyszałem, cierpiałaś wcześniej na jedzenie kompulsywne, czyli niepohamowane obżarstwo. Choroby te mają charakter psychiczny i bardzo indywidualny. Takie też jest wymagane leczenie.

Viviane, jakby wybudzona z transu, spojrzała na niego słabo, a on po chwili kontynuował:

- Znalazłaś się w sytuacji bardzo niebezpiecznej, zagrażającej twojemu życiu. Wymagasz leczenia klinicznego na oddziale zamkniętym. Ponieważ nie jesteś pełnoletnia, potrzebna jest zgoda rodzica, którą uzyskaliśmy. Gdy tylko dojdiesz do siebie, zostaniesz przeniesiona do szpitala specjalistycznego, psychiatrycznego.

Dziewczyna nic nie czuła, żadnego zaskoczenia, buntu, niezgody. Chyba od początku wiedziała, do czego to wszystko

zmierza.

Viviane wraz z mamą siedziała po jednej stronie wysokiego biurka, a niska kobieta naprzeciwko wyciągała w ich kierunku zadrukowane kartki. Dziewczyna była całkowicie bierna, obojętna. Pogodziła się z tym, że nie może być taka, jak chce, więc równie dobrze mogłoby jej nie być wcale. Nie obchodziło jej to, co z nią zrobią, po prostu chciała uciec od samej siebie i nie musieć ze sobą przebywać.

- Zjadasz wszystkie posiłki w całości, raz w tygodniu jesteś ważona, nie ćwiczysz, jesz w stołówce, nie w pokoju, w godzinnych odstępach po posiłku nie chodzisz do toalety. Nie przyjmujesz odwiedzin, oddajesz telefon, uczęszczasz na wszystkie zajęcia, po ich skończeniu nie przebywasz z pozostałymi pacjentami - wyrecytowała kobieta na jednym oddechu. - A teraz podpisz.

Dziewczyna tylko spojrzała na wyciągnięty w jej stronę długopis, ale nawet go nie dotknęła. Matka Viviane sięgnęła po niego szybkim ruchem i złożyła zamaszty podpis na dokumencie. Jej córka wciąż trwała w tej samej pozycji.

Kobieta pozornie była cierpliwa, ale było widać w niej zmęczenie. Odezwała się z westchnieniem:

- Chcemy ci pomóc, rozumiesz? Jediną osobą, która cię krzywdzi, jesteś ty sama.

Kobieta patrzyła wyczekująco. Viviane spojrzała na nią spode łba i drżącą ręką napisała swoje nazwisko pod regulaminem zakładu.

Wystarczył miesiąc, by Viviane znów przybrała na wadze. Przełamywała powoli swoją dzikość, starała się otwierać. Początkowo, gdy widziała szykowane dla niej porcje, próbowała dobić targu z lekarzami, że będzie jadła połowę, ale oni nie ustępowali. Była załamana tym, że przybiera na wadze, jednak po paru sesjach z psychiatrą zrozumiała, że ma być zdrowa, nie chuda. Nawiązała kontakt z innymi chorymi, wymieniając się doświadczeniami, obawami, nadziejami.

Tęskniła jednak za Camille, Marcelem, Pierre'em, a nawet za Philippe'em, z którym wciąż miała sprawę do zakończenia. Przez cały pobyt w szpitalu kłótnia z chłopakiem wracała do niej niczym natrętna pielęgniarka.

Po sześciu tygodniach hospitalizacji uznano, że może wrócić do domu, pod warunkiem regularnych sesji terapeutycznych i kontroli u lekarza. Cieszyła się wizją powrotu do normalnego życia i odzyskania nad nim kontroli. Miała nadzieję na nowy start.

Gdy dojechała do mieszkania, rozpakowała swoje rzeczy, umyła się i próbowała myśleć o tym, jak ułożyć wszystko od nowa, do jej pokoju weszła mama. Spojrzała na nią i usiadła na łóżku. Westchnęła, odzywając się po chwili milczenia:

- Przepraszam. To wszystko moja wina, powinnam była wiedzieć, że coś się dzieje... Jestem egoistką. -Kobieta schowała twarz w dłoniach i wstrząsnął nią niepohamowany szloch.

Viviane poczuła, jak ogarnia ją żal i współczucie. Ale zaraz potem zalała ją fala gniewu. Wszystkie pretensje do matki, które tak długo w sobie tłumiała, wylały się z niej jak rzeka:

- Tak, to twoja wina, powinnaś była wiedzieć, jesteś egoistką. - Jej głos był lodowaty.

Siedząca na łóżku kobieta podniosła głowę, zaskoczona. Spodziewała się zaprzeczeń i pocieszeń. Nie była przygotowana na zbesztanie.

Tymczasem córka kontynuowała, nawet nie podnosząc głosu:

- To ty zawsze miałaś depresję, tobie zginął mąż, ty miałaś problemy. Nigdy cię nie interesowało, co się dzieje ze mną, ale nie szkodzi, bo nigdy nie byłam tak nieskończenie żałosna jak ty. Mną nie miał się kto zająć, musiałam być twarda, bo ty nie byłaś. Ja dzwoniłam do twojej pracy, mówiąc, że nie przyjdiesz, ja gotowałam, prałam, sprzątałam, nie miałam ani ojca, ani matki. Ale to nic przy twoich problemach. - Ani razu nie odwróciła wzroku. Nie była tą samą Viviane. Terapia zmieniła nie tylko jej podejście do swojego ciała, lecz także osobowość.

Wyszła wolnym krokiem najpierw z pokoju, a potem z mieszkania.

Na cmentarzu byli już wszyscy, z wyjątkiem Philippe'a. Viviane

podeszła do nich cicho. Pierwszy zauważył ją Marcel.

Poznał ją po ubiorze. Wyglądała inaczej. Nie była już szkieletem z naciągniętą skórą. Była zaokrąglona, policzki jej się nie zapadały, oczy nie wychodziły na wierzch. Miała zdrowe włosy, wyglądała atrakcyjniej. Jej oczy jednak były przygaszone, plecy zgarbione, paznokcie poobgryzane, a ramiona podrapane i pokryte bliznami.

Chłopak wstał, podszedł do niej i mocno ją objął. Nie odwzajemniła gestu, ale była za niego wdzięczna. To samo zrobili Camille oraz Pierre.

Wszyscy usiedli na nagrobku i zapadła cisza, którą przerwała Viviane:

- Gdzie jest Philippe?

Wszyscy spojrzeli po sobie, ale nikt się nie odezwał. Kiedy zaczęło robić się niezręcznie, przez lodową pokrywę ciszy przebił się głos Camille:

- Nie pojawia się już od dłuższego czasu, właściwie to nie przychodzi odkąd... - tu zawiesiła głos, nie będąc pewną, czy może powiedzieć na głos to, o czym pomyślała, i spojrzała z przestraczem na Viviane.

Ta jej jednak już nie słuchała. Myślami była daleko, przeżywając na nowo swoje ostatnie spotkanie z chłopakiem. Odtwarzała tę chwilę wciąż od nowa, słysząc wyraźnie każde swoje słowo ociekające jadem i głęboko wgryzające się w duszę Philippe'a, zostawiające broczące ukąszenia.

Viviane poczuła, jak łzy napłynęły jej do oczu. Żałowała tamtej rozmowy. Nie powinna była pozwolić emocjom dojść do głosu. Czowała się zagubiona. Nie wiedziała, jak powinna

postąpić. Część jej chciała porozmawiać z chłopakiem, pogodzić się, wyjaśnić swoje zachowanie. Ale ta bardziej krnąbrna część jej natury wciąż się buntowała i chciała pograżyć się w rozpacz i rozgoryczeniu, nie dopuszczając do siebie nikogo.

W trakcie spotkania Viviane była nieobecna duchem. Kiedy skrępowanie sięgnęło zenitu, Camille nie wytrzymała i odezwała się pierwsza:

- Viviane, chodźmy się przejść.

Patrzyła wyczekująco na przyjaciółkę, ale ta nie zareagowała. Dopiero po lekkim klepnięciu w ramię podniosła się i bezmyślnie ruszyła za dziewczyną, nawet nie zerkając na resztę.

Gdy przyjaciółki oddaliły się nieco od pozostałych, Camille zaczęła:

- Co się z nami stało, co?

Viviane spojrzała na nią otumaniona, nie wiedząc, co odpowiedzieć, chociaż doskonale знаła sens tego pytania. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, Camille wybuchła niczym długo uśpiony wulkan, gwałtownie zalewając ją wrzącymi słowami:

- Nic mi już nie mówisz, rolę przyjaciółki przejął Marcel, nie dopuszczasz mnie do siebie, trzymasz na dystans. Myślisz, że nie widzę, jak mnie od siebie odsuwasz? Powiedz, co zrobiłam nie tak, to jest jakaś dziecinada!

Dziewczyna była zdesperowana i Viviane to widziała. Została postawiona w sytuacji, w której żaden wybór nie był dobry. Wzięła głęboki wdech i odparła spokojnym głosem:

- To wszystko przeze mnie i to całe żarcie. To nie ma nic wspólnego z tobą, Marcelem czy Pierre'em. Wszystko jest już w porządku.

Powiedziała to tak pewnie, że prawie sama sobie uwierzyła. Bojąc się jednak dalszych pytań, po prostu uciekła.

Wiedziała, że być może zrobiła najgłupszą rzecz w swoim życiu. Jej słowa straciły na wiarygodności, wyszła na idiotkę. Miała szansę wszystko wyjaśnić, ale odrzuciła ją. Nie chciała teraz z nikim rozmawiać, nikogo widzieć, nikogo słyszeć. Miała ochotę odciąć się od wszystkich i pograżyć w swojej melancholii. Przegrać tę od tak dawna prowadzoną walkę ze sobą i światem. Już nikt nie mógł jej pomóc. Postawiła się demonom, a one zmiażdżyły ją jednym ruchem ręki, nie pozostawiając nic, co byłoby warte miłości, troski czy po prostu egzystencji. Została definitywnie pokonana.

Philippe biegł przed siebie, próbując uciec od myśli galopujących w jego głowie. Chciał zostawić je w tyle, ale one natrętnie doganiały go za każdym razem. Miał dość. Chciał rozpędzić się i zatracić w bólu mięśni, pieczeniu płuc, swędzeniu potu na skórze. Pragnął, by fizyczne cierpienie przyćmiło wszystkie emocje, zgasiło je niczym dmuchnięcie gasi płomień świecy. Chciał nie myśleć o słowach

wykrzyczanych mu w twarz, o swoich wyrzutach sumienia, o współczuciu wobec tej zagubionej dziewczyny. Ale przede wszystkim chciał wyrzucić z siebie to beznadziejne uczucie, narastające w nim od momentu poznania Viviane. Przez to uczucie każde jej słowo raniło jeszcze mocniej, każdy ruch odczuwany był bardziej, każde autodestrukcyjne posunięcie niszczyło także jego. Kiedy ona się potykała, on się przewracał. A kiedy ona upadała na ziemię, on wpadał do zastawionej przez kłusowników pułapki. Próbował to pokonać, ale nie umiał. Przestał przychodzić na cmentarz, żeby jej nie widzieć, nie słyszeć, nie być przez nią ranionym. Tak bardzo pragnął usłyszeć, że wcale nie ma o nim takiego zdania, jakie wykrzyczała wtedy. Rozpaczliwie chciał móc udzielić jej rozgrzeszenia.

I wtedy dowiedział się o pobycie dziewczyny w szpitalu. Pamiętał ten moment, kiedy zapytał Camille, czy widziała Viviane. Nie natknął się na nią od dłuższego czasu i zaczął przyjaciółkę. Marcel był zbyt dyskretny, a wiedział, że dziewczyna powie mu wszystko. Wystarczyło jedno pytanie, a Camille eksplodowała składaną od tyłu tygodni frustracją. Opowiedziała o problemie przyjaciółki, o swoich własnych obawach co do niej, ich skomplikowanej relacji przechodzącej kryzys i emocjach, jakie się w niej kłębiły.

Ta rozmowa była momentem przełomowym dla Philippe'a. Wszystkie puzzle, które rozsypała w jego sercu Viviane przy pierwszym spotkaniu, teraz ułożone zostały w przejrzysty obraz jego własnych uczuć. Chciał pomóc dziewczynie i miał pretensje do siebie, że nie może. Każdego dnia był coraz mniej

sobą. Gniew i bezsilność oddziaływały na siebie wzajemnie, podsycając jedno drugie kosztem chłopaka.

Właśnie od takich myśli i wspomnień próbował uciec, biegnąc po chodniku i nie zwracając uwagi na nielicznych przechodniów. Było już późno, słońce zachodziło za wysokie budynki luksusowej dzielnicy. Gdzieś w jednym z nich jego matka właśnie płakała z bezsilności, kiedy mąż po raz kolejny nie wrócił na noc do domu. W każdym z tych bajkowych domów miał miejsce inny dramat, szczelnie ukrywany pod warstwą pieniędzy i hollywoodzkich uśmiechów. Czuł się jak podglądacz, zerkając z daleka na monumentalne kamienne budowle otoczone ogrodami.

Słońce kłuło bezlitośnie ostrymi promieniami prosto w oczy niczym rozżarzonymi włócznie. Philippe'owi sprawiało to masochistyczną przyjemność. Uważał, że zasłużył na cierpienie. Za to, że nie pomógł dziewczynie, że nie zdążył jej pokazać, że się myli co do niego, że na nią krzyczał, że nie wytłumaczył jej, że jest warta więcej.

Słuchawki wypełniały mu głowę cichą melodią, dołączając go, a jednocześnie podnosząc na duchu:

*You float like a feather
In a beautiful world
I wish I was special
You're so fuckin' special*

Właśnie tak się przy niej czuł. Była niesamowita, inna, specjalna. Nie jak Brigitte, Bastien i reszta. Miała w sobie to

coś.

*I don't care if it hurts
I wanna have control
I wanna a perfect body
I wanna a perfect soul*

*I want you to notice
When I'm not around
You're so fuckin' special
I wish I was special*

*But I'm a creep, I'm a weirdo
What the hell am I doing here?
I don't belong here*^[19].

Tak mu powiedziała? Że tutaj nie pasuje. Jest z innego świata, innej bajki. Dokładnie takich słów użyła. Piosenka zmieniła się. W nowy rytm wbił go głos Ramonesów, przywołując obrazy imprezy u Pierre'a. Potem z nią rozmawiał, powiedział jej.

Kiedy zabrzmiało mocne uderzenie w struny gitary chłopak zawrócił i w przyspieszonym tempie ruszył z powrotem w stronę stacji pociągu w kierunku miasta, a w jego głowie pulsowało zdanie: KATA TON DAIMONA EAYTOY.

Samotna postać stała nad przepaścią. Była tylko cieniem na

tle zachodzącego słońca. Całe życie była tylko cieniem na czyimś tle, niczym więcej. Cieniem spalonym i postrzępionym przez innych i siebie.

Wolnym ruchem wyjęła słuchawki z uszu i odłożyła je wraz z odtwarzaczem na ziemię. W głowie wciąż rozbrzmiewały jej słowa ostatnio wysłuchanej piosenki.

Kiedy wokalista w jej głowie wyśpiewał ostatni werset, postać rozłożyła ramiona i wolno postąpiła w przód, osuwając się w przepaść. Jej ostatnią myślą było: KATA TON DAIMONA EAYTOY.

Przez cały pogrzeb nie odezwał się nikt poza księdzem. Wśród gości poza rodziną była Camille z mamą i Marcel. Nie poinformowano szkoły o terminie uroczystości, nie chciano robić widowiska, więc placówka otrzymała tylko niezbędne do uzupełnienia w kartotece informacje oraz instrukcje zachowania jak największej dyskrecji.

Gdy już spuszczone i przysypano trumnę, ludzie zaczęli się rozchodzić. Na zapłakaną Camille czekał Pierre, który nie przyszedł na pogrzeb mimo namów swojej dziewczyny. Nie czuł się upoważniony. Dręczyło go poczucie winy za to, co się wydarzyło. Miał pretensje do siebie. Wiedział, że Viviane i Camille były ze sobą blisko. Być może gdyby nie zabrał tak nagle dziewczynie przyjaciółki, ostatnie wydarzenia nigdy nie miałyby miejsca. Nie miał śmiałości nawet spojrzeć na grób dziewczyny. Wydawało mu się, że to on pchnął ją na tory.

Marcela również dręczyły wyrzuty sumienia, czuł jednak,

że jest winien Viviane swoją obecność. Może nie poświęcił jej wystarczająco dużo czasu, nie słuchał jej dość uważnie. Chociaż teraz mógł jej towarzyszyć po raz ostatni.

Podobne myśli miała Camille, niemogąca poradzić sobie z przytłaczającą rzeczywistością. Nie zapłakała ani razu przez całe dwie godziny, tępo wlepiając wzrok w trumnę i walcząc z poczuciem winy, wgrzyzającym się w nią niczym drapieżnik w ofiarę. Odrzuciła przyjaciółkę w kluczowym momencie, kiedy ta najbardziej jej potrzebowała. Nie chciała jej pomóc, nie starała się dość mocno. Analizowała każdą rozmowę, próbując wyłapać wszystkie momenty, gdy mogła postąpić inaczej.

Najgorzej jednak z nich wszystkich przeżyła to matka Viviane. Miała pretensje do niej za to, że ta ją zostawiła. Nie mogła jej wybaczyć egoizmu. Kiedy wszyscy już się rozeszli, kobieta stała nad grobem córki i wpatrywała się w położone na płycie irysy, lilie i róże. Czuła się zlekceważona, poniżona, pominięta przez dziewczynę. Jakby ta chciała jej udowodnić, że może podejmować decyzje bez niej, jakby nawet teraz śmiała się niepokornie z matki.

Kobieta nie umiała tego zrozumieć. Myślała, że nigdy nie miała problemów wychowawczych z Viviane, dziewczyna zawsze jej pomagała, wspierała ją. To zawsze musiało być udawane, nigdy nie była szczera. Dopiero teraz pokazała, co naprawdę sądzi o osobie, której zawdzięcza wychowanie. Sama była sobie winna, ale nie musiała odbijać wszystkiego na niej, kimś, kto o nią dbał jak nikt inny.

Czuła narastający gniew i nie usłyszała zbliżających się

kroków. Dopiero kiedy chłopak stanął obok niej, gwałtownie drgnęła i zwróciła głowę w jego stronę. Atletycznie zbudowany siedemnastolatek miał zapuchnięte oczy, a pot perlił mu się na czole. Patrzył pustym wzrokiem na wyryte na płycie litery.

Philippe był na siebie zły. To on jako jeden z wielu doprowadził ją do tego miejsca. Gdyby nie pokłócił się z nią tamtego dnia, wszystko miałoby inny przebieg. Czuł obrzydzenie do siebie i świata, który ją na to skazał. Był wściekły na wszystkich, tylko nie na nią. Na jej manię perfekcji, na próby dogodzenia wszystkim – ale nie na nią.

Spojrzał w prawo i uchwycił wzrok stojącej obok kobiety. Od razu domyślił się, kim ona jest. Jej twarz była tak samo wyniszczona, jak twarz córki. Wszystkie emocje skumulowały się w nim i znalazły doskonały cel w matce Viviane. Czekały tylko na odpowiedni sygnał.

- To pokazała – usłyszał głos kobiety – jak bardzo miała nas wszystkich w dupie.

To jedno zdanie wystarczyło, by odblokować cały bunt, na który nie było stać chłopaka przez tyle lat. Tama pękła, a rzeka frustracji zalała jego umysł goryczą i pretensjami:

- Jej problemem było to, że nikogo nie miała w dupie. Nawet tych, którzy nie byli warci, by na nią patrzeć, nawet tych, którym nic nie zawdzięczała. Wszystkimi przejmowała się równie mocno, a tymi śmieciami może nawet bardziej. Dosłownie poświęciła życie, żeby uszczęśliwiać innych, w tym panią, kiedy to pani miała ją w dupie! – teraz już krzyczał. – Robiła, co się dało, żeby Camille nie była tak napiętnowana

chorobą matki jak ona, traktowała ją jak młodszą siostrę, dorosła za szybko! Chciała się nienagannie zachowywać, wyglądać, być idealną przyjaciółką, córką. W swoim popieprzonym życiu zrobiła jedną rzecz dla siebie: UMARŁA! - Oddychał ciężko, jakby wykrzyczenie ostatniego słowa kosztowało go wiele wysiłku, ale kontynuował. - I od własnej matki, dla której spalała się każdego dnia, po jedynym samolubnym uczynku usłyszała, że miała ją w dupie! To pani miała ją w dupie całe życie, pozwalając, żeby to ona wszystko robiła!

Po ostatnim wykrzyczanym zdaniu odetchnął głębiej i kontynuował spokojnie:

- Nie wypominam pani, jaka jest, ale to, że Viviane miała kogokolwiek w dupie jest ostatnią rzeczą, jaką może pani o niej powiedzieć; zwłaszcza pani - zakończył lodowato, akcentując mocno ostatnie dwa słowa i rzuciwszy jej ostatnie spojrzenie, ruszył w kierunku bramy.

Kobieta patrzyła za nim osłupiała, a potem rozplakała się. Przysiadła na płycie nagrobnej i płakała długo, gorzko, nie będąc właściwie do końca pewną powodu swych łez.

Marcel leżał na łóżku w swoim pokoju ze wzrokiem utkwionym w suficie. Nie miał siły pisać, nie chciał pisać o tym wydarzeniu. Gdyby poświęcił mu choć zdanie w zeszycie, ożywiłby je, musiałyby przyjąć, że naprawdę miało miejsce. Tymczasem dopóki nie zostało wyryte na kartach, mógł je traktować jako coś nierealnego, zwykłe majaczenie.

Nie chciał także o tym z nikim rozmawiać. Jediną osobą, która by go zrozumiała, była Viviane, ale nie miał jak jej powiedzieć tego wszystkiego, co czuł. Gdyby tu była, wysłuchałaby jego słów pełnych oddania, miłości, gniewu, poczucia winy, pretensji, współczucia, zrozumienia, zagubienia.

Nie mógł się na niczym skoncentrować. Myśli w jego głowie były pełne napięcia. Chciał je uwolnić, ale nie widział w tym sensu. Nie miał zamiaru przelewać ich na kartkę, w nicość. Chciał się nimi z kimś podzielić. Nagle owładnęła nim złość. Wstał i w amoku ruszył ku półce z notesami. Chwycił je wszystkie, rzucił nimi o podłogę i zaczął z furją drzeć kartki. Miliony zapisanych słów rozpadły się z taką łatwością, jakby nigdy nie istniały. Okazały się być tak samo ulotne jak przed ich utwaleniem.

Hałasy były słyszalne w całym mieszkaniu, ale matka chłopaka nie przeszkadzała mu. Nie wiedziała, co robi, ale była świadoma jego potrzeby odreagowania. Często gościła Viviane i widziała więź, która łączyła syna z dziewczyną.

Chłopak owładnięty szałem rozrywał kartki, drapał okładki, pozbywał się wszystkiego, co kiedykolwiek czuł i myślał. Nie chciał zostawić po tym żadnego śladu. Umarł wraz z nią, więc wszystkie jego myśli musiał czekać ten sam los.

Czasem w oczy rzucił mu się pojedynczy wyraz, który natychmiast kończył rozczłonkowany oraz poszarpany przez bezlitosne dłonie chłopaka. „Dzisiaj”, „nigdy”, „ona”, „pociąg”... Każde słowo kojarzyło się z ostatnim wydarzeniem.

Tusz zaczął się rozmazywać, gdy spadły na niego ciężkie łzy. Marcel dyszał, ręce go bolały, ale nie przerywał. Dopiero kiedy dziesięć lat pracy jego umysłu było w strzępach, opadł ciężko na plecy, a jego klatka piersiowa szybko poruszała się w górę i dół.

Kiedy się nieco uspokoił, powoli usiadł i powiódł wzrokiem po pokoju. Zatrzymał spojrzenie na zapalnicze Pierre'a leżącej na biurku. Wstał i sięgnął po nią. Nacisnął przycisk i z lekkim syknięciem nad zapalniczką pojawił się płomień. Chłopak przystawił ogień do stosu kartek, który natychmiast się zajął. Słowo po słowie, myśl po myśli tożsamość Marcela niknęła w jaśniejących językach, a chłopak obserwował, jak niszczeje to, co sam stworzył. Jak niszczeje on sam.

Gdy na podłodze zostały popioły, chłopak schował twarz w dłoniach, wyzuty z sił i emocji. Nie chciał płakać, czuł się pusty. W końcu wstał, sięgnął po czysty brulion, otworzył go na pierwszej stronie i długopisem, który dostał od przyjaciółki na urodziny, bardzo wolno, starannie napisał: „Kochana Viviane”. Zakończył zwrot przecinkiem i długo wpatrywał się w nakreślone słowa. Zastanawiał się przez chwilę, co chce przekazać przyjaciółce, od czego zacząć, czego jeszcze nie wie, ale gdy przystawił długopis do początku nowej linijki, słowa same z niego wypłynęły:

Kochana Viviane,

tydzień temu umarłaś. Popełniłaś samobójstwo, rzuciłaś się pod pociąg. Pewnie to wiesz, ale nie szkodzi. Wiesz, że

lubię mówić na głos to, co oczywiste. Zawsze cię to denerwuje. W sumie to dość zabawne, że wybrałaś pociąg. Tak nie lubiłaś Philippe'a, a to on zawsze mówił, że albo zostanie w pociągu, albo wyskoczy na peron. Ja mówiłem, że może zrobić albo to, albo to, wszystko jedno, tylko żeby nie rzucał się na tory. Nie sądziłem, że Ty to zrobisz.

Pamiętasz moje urodziny? Dałaś mi ten długopis, właśnie nim piszę. Ale powiedziałaś, żebym utrwaliał nim myśli. To muszę Cię rozczarować. Wszystkie swoje myśli podarłem i spaliłem. Po co je zapisywać, skoro nikt ich nie przeczyta? Wiesz, odkąd Cię znam, mniej piszę. Większość mówię Tobie. Mogę dalej tak robić? Będę zapisywać wszystko Twoim długopisem. Tylko obiecaj mi, że będziesz słuchać. Mam Ci wiele do powiedzenia, bo dużo się zdarzyło.

Wiesz, Camille rozpacza. Poszła do Pierre'a, ale nie wiem, czy jej pomógł. Nie było go na pogrzebie. Powiedział, że byś tego nie chciała. Myślał, że byłaś zła, że zabiera Camille, bo nie znał prawdy. Mam mu teraz powiedzieć? Mam im wszystkim powiedzieć? Czy tylko Camille?

A jak trzyma się po tym wszystkim Twoja mama? Wiem, że nie byliście blisko, ale na pewno to przeżyła.

Wiesz, że tego dnia, kiedy umarłaś, na cmentarz przybiegł Philippe i pytał się o Ciebie? Byłem tam tylko ja, myślałem o Tobie. Powiedziałem, że nie wiem, gdzie jesteś, a on na to, że nie tylko wyskoczył na peron, ale odnalazł się na dworcu. Ironia, co? Spytałem go, co ma na myśli, a on usiadł obok mnie i zaczął mi się zwierzać. Pewnie nie chciałby, żebym Ci to wszystko mówił, ale jeszcze nigdy nie

wygadałaś czegoś, czego nie powinnaś była, więc chyba mogę.

Mówił o swojej rodzinie, ale to, co się tam działo, to była tajemnica poliszynela, więc nie będę Cię tym zanudzał. Najciekawsze ujawnił potem. Powiedział, że się z nim pokłóciłaś i krzyczeliście na siebie. I on to bardzo boleśnie przeżył, bo coś do Ciebie czuje. Nie był tego pewien, ale uświadomił to sobie właśnie w trakcie tej kłótni. Z godzinę nawijał, jaka jesteś niezwykła i inna od wszystkich lasek, z którymi się do tej pory zadawał (nie popisał się odkrywczością, wiadomo, że moją siostrą nie mogłaby zostać pospolita Brigitte). I był o mnie zazdrosny, wyobrażasz to sobie? Aż chce mi się śmiać. Mówił, że nie mógł znieść tego, jak Cię pocałowałem na imprezie rozpoczynającej wakacje u Pierre'a! Oczywiście nie powiedziałem mu, że to nie mnie jako konkurencji powinien się obawiać. Haha.

Nie zdążyłaś mi opowiedzieć, jak było w szpitalu. Bardzo źle? Kiedy wróciłaś, wyglądałaś piękniej niż kiedykolwiek. Byłem wtedy taki dumny, że mam taką księżniczkę za przyjaciółkę. Moja Siostrzyczka.

Była heca, kiedy dowiedzieli się o samobójstwie w szkole. Zdziwiłabyś się, ilu masz przyjaciół! Nawet te pustaki, wiesz, Brigitte i spółka, mówiły, jaką byłaś dobrą koleżanką. Może o czymś nie wiem, ale nigdy nie widziałem, żeby zaszczycili Cię chociażby spojrzeniem, bo słowo to by było zbyt wielkie wyróżnienie wobec takich plebejuszy jak my.

Philippe po Twojej śmierci kompletnie się załamał. Parę razy do mnie przychodził i mi się żalił, że Brigitte chyba coś

zauważyła, bo przyczepiła się do niego i cały czas gada mu takie głupoty jak „smutni wrażliwi faceci są tacy seksowni”. Ma tego dość, ale nie umie jej powiedzieć, żeby spadała, nawet na to nie ma już siły.

Wiesz, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Znaczący, o Tobie. Nie obwiniam Cię, nie uważam, że to było samolubne. Ale też nie będę Cię czarował i pochwalał Twojej decyzji, mówiąc, jakie to było odważne. Zawsze jestem z Tobą szczery. I tak sobie myślę, że tego nie przemyślałaś. Rozumiem, że to Cię przerosło. Miało prawo. Anoreksja, bulimia, homo, matka, ojciec i cały ten syf. Wiem, że musiało być źle, bo jesteś najtwardszą laską, jaką znam. Ale co z Jimem? Co z demonami? Tak po prostu pozwoliłaś im wygrać? To nie w Twoim stylu, Siostra.

A może właśnie z nimi wygrałaś? Może w ten sposób pokazałaś im, że nie będą Ci dyktować warunków życia, że Ty jesteś Panią swojego losu... Chciały rządzić Twoim życiem, a Ty się go pozbawiłaś. Szach-mat, demony! Może i jest w tym jakaś logika.

Na pewno jest, bo mój Braciszek nie jest głupia. A już na pewno nie jest jakimś mięczakiem, pozwalającym się kopać życiu w dupę, kiedy tylko ono ma na to ochotę! Wierzę, że zrobiłaś dobrze, że chciałaś dobrze. Zawsze chciałaś dobrze dla innych, teraz wreszcie jest dobrze Tobie. Jak masz tam taką możliwość, to obejrzyj „Amelię”, rozweseli Cię po tym wszystkim.

Odezwij się czasem, Braciszku. Mam nadzieję, że trafiłaś na swoją asteroidę. I czekaj tam na mnie (trochę to pewnie

potrwa, bo nie jestem takim twardzielem jak Ty). Ale chcę, żebyś wiedziała, że zawsze Cię wspieram, nieważne, jak bardzo jesteś popieprzona.

Bądź niepokorna, KATA TON DAIMONA EAYTOY.

Pozdrawiam, całuję i pluję,

Twój przyjaciel i siostra - Marcel.

PS. Pozdrów ode mnie Jima (bez pocałunków i plucia, to jest zarezerwowane tylko dla Ciebie).

PPS. Zawsze chciałaś, żebym napisał o Tobie wiersz. Nie wiem, czy mi się to udało, ale próbowałem:

*Niczym gwiazda dawno zgaszona
Będziesz świecić kolejnym pokoleniom
Podziwiającym Twój blask chwalona
Będziesz w pieśniach co świat owieją*

*Jak kwiat róży niegdyś zerwany
Zachwycisz schowana między pamięci stronami
I gdy człowiek usiądzie stywany
Zachwyci się Twymi krasnymi płatkami*

*Jako dawno już martwy komar
Zatopiony szczelnie w żywicy
Wolny od wszelkich życia mar
Wzbudzi współczucie żałobnicy*

Tak Ty zatrzymana w pamięci

*Będziesz zachwycać i rozczulać
Chociaż świat dziś tak pędzi
Każdego za Tobą będzie tęsknota otulać*

Kiedy chłopak oderwał długopis od kartki, poczuł, jak wielki ciężar schodzi z jego serca. Uwolnił się od dręczących go demonów, podzielił się nimi z Viviane.

Wyczerpany, zatrzasnął zeszyt i opadł bez sił na materac. Ostatnim obrazem, jaki zobaczył przed zapadnięciem w sen, była uśmiechnięta twarz przyjaciółki.

Camille trzymała głowę na kolanach Pierre'a, gdy ten przeczesywał dłonią jej włosy. Wciąż myślała o przyjaciółce. Byli sami w domu Camille, mama dziewczyny poszła do matki Viviane, by spędzić z nią tę noc.

- Wiesz - zaczęła dziewczyna, patrząc na chłopaka - ona była moją matką. Była dojrzalsza. Niby miałyśmy tyle samo lat, a jednak mnie wychowała.

Chłopak słuchał uważnie, nie przerywając jej. Nawet nie próbował zrozumieć uczuć Camille. Wiedział, że nie da rady. Jemu samemu wciąż nie dawała spokoju myśl, że może jednak powinien był przyjść na pogrzeb. Wciąż od nowa analizował ich rozmowę, odbytą przed urodzinami Marcela.

Tymczasem Camille kontynuowała:

- Nie ma jej dopiero tydzień, a już odczuwam jej brak. Już czuję się taka... bezbronna. Była moją tarczą przed światem. Kto mnie teraz ochroni?

Jakby chcąc się schronić przed czyhającymi niebezpieczeństwami, dziewczyna objęła się ramionami w obronnym geście. Wzrok miała wbity w dal, lekko zaszklony przez zbierające się w oczach łzy.

Pierre poczuł, jak ściska mu się serce. Ta pewna siebie dziewczyna, wesoła i odważna, była przerażona perspektywą samodzielnego życia. Chłopakowi zrobiło się żal Camille. Zdał sobie sprawę, że dziewczyna, która siedzi obok niego, była tak pewna przyjaciółki, że opierając się na niej jak na fundamencie, ufała światu, przerzucając całą odpowiedzialność za swoje życie na Viviane. Teraz, gdy tej nie było, Camille była jak porzucone przez matkę szczenię.

Poza współczuciem dla dziewczyny, zaczęło nagle wykwitać nowe uczucie: zazdrość. Chłopak zrobił się zazdrosny. To on powinien być barierą, za którą Camille może się schronić, to na nim powinna oprzeć ciężar swojej egzystencji, on powinien ją bronić.

Gwałtownie obrócił się w jej stronę, otarł łzy spływające z policzków dziewczyny i powiedział:

- Jesteś w stanie mi tak zaufać?

Spojrzała na niego zaskoczona, a on powtórzył:

- Czy zaufasz mi tak jak jej?

Nic nie odpowiedział, dziewczyna zarzuciła mu rękę na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem. Wstrząsnął nią nieopanowany szloch. Odzyskawszy spokój, oderwała się od niego i pocałowała go mocno. Odwzajemnił gest. Nie był to jednak zwykły pocałunek. Mówił więcej, zapewniał bezpieczeństwo, schronienie, był zawładnięciem i oddaniem

się.

Pocałunki stawały się coraz bardziej natarczywe, wręcz agresywne. Metalowy kolczyk chłopaka wbijał się boleśnie w wargę dziewczyny. Ręce Camille zaczęły wodzić po jego ciele. Sięgnęły do brzegu jego koszulki i jednym szybkim ruchem pozbyły się jej. Dziewczyna dotykała jego nagiej skóry, jakby chciała dokładnie poznać każdy zakątek swojej nowej przystani.

Obydwoje wiedzieli, że postępują źle. Właśnie odbył się pogrzeb, to nie było właściwe zachowanie. Ale potrzebowali tego. Musieli odreagować, nie umieli dłużej utrzymać na wodzy emocji, które nimi owładnęły.

Dłonie chłopaka chwilę błędziły pod koszulą dziewczyny. Całował nagą szyję Camille.

Dziewczyna wplotła palce w jego włosy, a on sięgnął do haftek jej stanika. Całował jej piersi, brzuch. Chciał jej pokazać, że jest silny, że da radę jej bronić. Jego usta zatrzymały się dopiero przy brzegu dżinsów Camille. Spojrzał jej w oczy, a ona skinęła przyzwalająco, mimo to jednak zatrzymał się. Uniosła brwi w wyczekiwaniu.

- Nie chcę być jednym z zagrożeń, przed którymi miałbym cię chronić - powiedział cicho.

Dziewczyna zgięła się wpół, pocałowała go w usta i wyszeptała:

- Chcę tego. Chcę pokazać, że ci ufam.

- To było moje życzenie.

Dziewczyna spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Na początek wakacji - wyjaśnił. - To ja miałem zaufać tobie.

Camille uśmiechnęła się.

- „Być jego papierosem”. To ja miałam cię chronić.

- Zawsze musimy coś namieszać, co? - pocałował ją delikatnie.

Camille sięgnęła rękami do rozporoka jego spodni, odpięła go, po czym wróciła do poprzedniej pozycji. Chłopak przełknął ślinę i zdał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką go obarczyła. Szybkim ruchem zsunął spodnie, po czym to samo zrobił ze spodniami Camille. Chciał być jak najbliżej jej, otoczyć ją całym sobą. Okrył sobą Camille i spojrzał na nią niepewnie.

- Ufam ci - odpowiedziała tylko, a potem wygięła się w ekstatyczny łuk.

Kiedy skończyli, chłopak objął ją mocno i przytulił jej głowę do swojej piersi.

- Dziękuję - wyszeptała Camille i zapadła w spokojny sen, wiedząc, że jest otoczona opieką.

Kiedy Camille obudziła się rano, Pierre'a już nie było. Na poduszce obok niej nonszalancko leżała karteczka z niedbale skreślonymi słowami:

Przepraszam za to nieeleganckie wyjście, ale chyba jeszcze mniej kulturalna byłaby scena, kiedy Twoja mama zobaczyłaby nas razem nago w łóżku. Nie zrozum mnie źle, dla mnie, jako estety, wyglądałaś pięknie, ale nie wiem, czy

Twoja mama posiada podobny gust artystyczny i póki co nie mam ochoty tego sprawdzać, nie w takich okolicznościach.

Do zobaczenia,

Twój Ochroniarz.

Camille cztery razy przeczytała liścik, cały czas się uśmiechając, zanim zmusiła się, by wstać i naciągnąć ubranie. Rzeczy, które miała na sobie wczoraj, leżały z boku, dokładnie poskładane w kosteczkę.

Kiedy doprowadziła się do stanu względnej używalności, popędziła do drzwi, żeby jak najszybciej opowiedzieć o wszystkim Viviane. Dopiero w przedpokoju uświadomiła sobie, że tego nie robi. Poczuła, jak zapada się w ciemność.

I w tym momencie przypomniała sobie stanowczy uścisk ramion, a w głowie zadźwięczało jej ostatnio przeczytane zdanie: *Twój Ochroniarz*. Odetchnęła głęboko, sięgnęła w stronę klamki i już chciała wyjść z mieszkania, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie.

Najpierw zza progu wyłoniła się głowa z burzą nieokiełznanych włosów. Zaraz po niej ukazała się drobna figura matki Camille w kolorowych, zniszczonych już ubraniach z second handu.

Dziewczyna spojrzała na nią niespokojnie z mieszaniną poczucia winy i strachu. Kobieta bez słowa postąpiła krok do przodu i zatrzasnąwszy głośno drzwi, przyciągnęła do siebie córkę.

Lata bólu i żalu wreszcie znalazły ujście. Tak bardzo pragnęła zainteresowania tej ekscentrycznej osoby, że teraz

potrzeba ta uderzyła ze wzmocnioną siłą. Objęła mocno matkę. Poczwała, jak wilgotnieją jej oczy. Ciężkie krople bez opamiętania spływały po zarumienionych policzkach. I mimo całej nieestosowności tej myśli wciąż powtarzała sobie, że straciwszy przyjaciółkę, właśnie zyskała kolejną.

Marcel po przebudzeniu rozejrzał się dokoła i dopiero widok popiołu na podłodze przypomniał mu o wydarzeniach minionego wieczoru. Zmiotł pozostałości po swoich myślach i zsypał je do woreczka. Pogrzebał chwilę w szufladzie biurka, a potem wyjął z niej białą kredę. Umywszy się oraz zmieniając ubranie, wyszedł z mieszkania i ruszył w stronę cmentarza.

Kiedy Philippe wszedł rano do salonu, przy stole z jego rodzicami siedziała Brigitte. Widocznie o czymś rozmawiali, bo gwałtownie urwali, odwróciwszy głowy w jego stronę, gdy tylko się pojawił. O ile rodzice mieli trochę ogłady i się nie odezwali, to Brigitte od razu wstała, ruszając w jego kierunku:

- Moje biedactwo, trzymasz się jakoś? To musiało być dla ciebie okropne, w końcu się z nimi zaprzyjaźniłeś. Od początku wiedziałam, że to nie jest towarzystwo dla ciebie, zadawać się z takim pospółstwem. Ale trudno, wyciągniesz z tego lekcję, wszyscy wyciągniemy - spojrzała porozumiewawczo w stronę siedzących na kanapie dorosłych.

Chłopak stał niewzruszony, kiedy dziewczyna oplatała go

rękami i całowała w policzki. Dopiero kiedy na niego spojrzała, odezwał się powoli, uśmiechając się ironicznie:

- Ja się nauczyłem, że ludzie wartościowi nie mieszkają w szesnastej dzielnicy i że spędziłem życie ze śmieciami. A wy jaką lekcję wyciągnęliście? - Pytanie zawisło w powietrzu i trwało tam, kiedy Philippe mijał osłupiałą Brigitte, przechodził obok równie zdumionych rodziców i wychodził z domu przez dębowe drzwi.

Marcel wyciągnął z kieszeni woreczek z popiołem. Delikatnie odwiązał supeł i rozsypał zawartość wokół grobu, klęcząc, aby wiatr nie zwał wszystkiego od razu. Kiedy skończył, schował folię z powrotem do kieszeni i wyjął z niej owiniętą w chusteczkę kredę. Pochylił się nad nagrobkiem i tuż pod nazwiskiem przyjaciółki nakreślił drukowanymi literami: KATA TON DAIMONA EAYTOY. Postawiwszy ostatnią literę, wstał, patrząc na swoje dzieło. Nie był pewien, ile czasu tak trwał, nie myśląc o niczym konkretnym, ale dopiero czyjeś kroki wyrwały go z letargu. Obejrzał się i zobaczył nadchodzącego Philippe'a. Kiedy chłopak go dostrzegł, nic nie powiedział, posłał mu tylko blady uśmiech, stanąwszy obok.

Obaj milczeli. Ciszę przerwał Philippe:

- Kochałeś ją? - spytał po prostu, bojąc się odpowiedzi.

- Była jak siostra - usłyszał pewny głos. - Ale nie kochałem jej tak jak ty.

Chłopakowi ulżyło mimo świadomości, że Marcel mógł nie mówić prawdy.

- Wiesz - znów pierwszy odezwał się Philippe - tamtego dnia kiedy... kiedy to zrobiła... Byłem przy tych torach. Byłem niecały kilometr od tego miejsca. I zawróciłem. Zawróciłem, żeby jej poszukać... Gdybym biegł dalej... - głosem chłopaka wstrząsnął szloch. - Gdybym tylko biegł dalej...

- Nie wolno ci tak myśleć! - ostro przerwał mu Marcel. - Każdy z nas mógłby się równie mocno obwiniać i każdy z nas po części jest jej mordercą. Ale nie możemy się tym zadręczać. Każdy z nas może dzisiaj pomyśleć „gdybym tam był...”

Philippe spojrział na niego i odezwał się z wdzięcznością w głosie:

- Dzięki, jesteś w porządku. Nie dziwię się, że wołała cię, ale im bardziej mnie odrzucała, tym bardziej jej chciałem, była taka... inna.

- Ona mnie nie kochała - zaprzeczył Marcel, pomijając milczeniem resztę wypowiedzi kolegi. - Kochała kogoś, ale to nie byłem ja.

W oczach Philippe'a błysło zaniepokojenie, ale Marcel go uprzedził:

- Nie, przykro mi, nie mogę powiedzieć, obiecałem.

I znów zapadła cisza, pełna melancholii łączącej obu stojących nad grobem chłopaków.

Pierre pokonał drogę do domu w rekordowym tempie. Przekraczając próg domu, próbował sobie przypomnieć, o czym przez cały ten czas myślał, nic jednak nie przychodziło

mu do głowy.

W salonie siedzieli rodzice, ale bez słowa ich wyminął, kierując kroki do swojego pokoju. Nie chciał z nimi rozmawiać.

Zabolało ich zachowanie syna. Było ono jednak tak powszednie, że z goryczą każdego dnia odkrywali, jak bardzo się już do niego przyzwyczaili.

Pierre rozejrzał się po pomieszczeniu. W oczy rzucił mu się rysunek przedstawiający Camille. Wrócił myślami do chwili, gdy jego smukłe blade palce trzymały ołówek i płynnymi ruchami, kreska po kresce, przenosiły na papier sylwetkę dziewczyny. Wtedy uderzyło go, jak bardzo zaufali sobie już tamtego dnia. Przyrzeczenia, które złożyli sobie wczoraj, były tylko wypowiedzeniem na głos tego, co obiecali sobie w momencie powstania rysunku. Był on namacalnym dowodem ich słów.

Poczuł nagle, jak spada na niego odpowiedzialność i kładzie mu się na barkach, przygniatając ciało, garbiąc sylwetkę, a jednocześnie zmuszając do wyprostowania i dumnego noszenia nowego jarzma.

Zalała go fala słabości. Był pewien, że tego nie udźwignie. Nie da rady. To było dla niego za dużo. Mówił wczoraj całkowicie szczerze, że chciałby pomóc, ale nie ocenił odpowiednio swoich możliwości. Zerknął ponownie na rysunek.

Wziął głęboki wdech. Odczepił kartkę od płyty pilśniowej i włożył ją do teczki stojącej obok. Zarzucił gitarę na plecy, otworzył drzwi, po czym wyszedł z pokoju.

Postanowił, że pójdzie na Montmartre. Tam zawsze potrafił zebrać myśli. Nie mógł się udać na cmentarz w obawie, że spotka tam Camille.

Przechodząc przez salon, podniósł głowę. Jego wzrok napotkał spojrzenie zerkającego znad książki ojca. Niemal natychmiast obydwaj przerwali ten niewerbalny kontakt.

Przez chwilę jednak byli bliżej siebie niż kiedykolwiek przedtem. Pierre zrozumiał, za co przez tyle lat był na rodziców wściekły. Dlaczego poddali się innym, zmienili się: bo czuli odpowiedzialność.

Na pozór tak proste tłumaczenie nie przyszło mu nigdy wcześniej do głowy. Byli odpowiedzialni za niego, za siebie nawzajem. Pierre znów poczuł niewidzialny ciężar na ramionach. Tym razem jednak wynikał on z poczucia winy wobec siedzących naprzeciwko osób. Osób, które były w stanie tyle poświęcić, ufając, że druga osoba jest tego warta.

Jarzmo stawało się coraz cięższe. Przytłaczało go. Przygniatało do ziemi. Zmuszało jego ciało do uległości. Poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Pod naporem niewidzialnej siły, odezwał się w końcu cicho, nieśmiało podnosząc wzrok:

- Przepraszam - i wyszedł szybkim krokiem, zatrzasnął za sobą drzwi.

Rodzice podnieśli głowy zaszokowani, ale chłopaka już nie było. Nie wiedzieli, co go skłoniło do wypowiedzenia tego krótkiego słowa, ale byli pewni, że jego wydźwięk był mocniejszy niż wykrzychanego z odwagą elaboratu.

Gdy tylko Pierre znalazł się na werandzie, poczuł jak ciężar zmniejsza ucisk. Mimo iż wciąż go czuł, nie był już tak dokuczliwy. Podziwiał rodziców, lecz zalała go kolejna fala wątpliwości co do samego siebie. Teraz był jeszcze mniej przekonany o swojej sile. Szybkim krokiem ruszył w kierunku stacji metra.

Pierre wyszedł na wzgórze Montmartre. Wydawało mu się, że co najmniej rok minął, odkąd był tu ostatni raz z Camille. Ruszył jak zwykle w kierunku bazyliki. Rozglądał się niespiesznie dokoła, skręcając w jedną z uliczek.

Po chwili stał w tłumie turystów z aparatami. Przed nim wznosiła się ogromna, wyłożona granatowymi kafelkami ściana, znana w Paryżu jako Ściana Miłości. Widniały na niej napisy „kocham cię” w trzystu jedenastu językach świata. Chłopak czytał po kolei każde z wyznań. Chociaż sam znał tylko dwa języki, czuł, że od każdego zdania biło to samo żywe, szczere uczucie. Zwykle niemająca dla niego żadnego sensu cyrylica, teraz była całkowicie przejrzysta. Na ogół chaotyczne azjatyckie znaki tworzyły idealną zrozumiałą harmonię. Ściana wibrowała emocjami, przekazując je widzowi. Jakby szeptała mu do ucha to samo zdanie we wszystkich językach po kolei.

Pierre poczuł, jak ściana zdejmuje ciężar z jego ramion. Wziął głęboki wdech i spojrzał jeszcze raz na mur. Wydało mu się, że widzi, jak zabrane jarzmo wybiera sobie miejsce i zostaje wchłonięte przez ścianę, tworząc napis w osobnym, znanym tylko jemu i Camille języku.

Całe przeżycie trwało nie dłużej niż ułamek sekundy, ale podziało na chłopaka z ogromną siłą. Rozejrzał się dokoła, spoglądając na fotografujących się przy atrakcji turystycznej zakochanych. Nie mógł być pewnym, że nigdy nie zawiedzie Camille, ale na pewno będzie się starał do tego nie dopuścić.

Z nową energią lekkim krokiem ruszył na stację metra.

Camille szła w stronę cmentarza. Wciąż była wzruszona po ostatnim wydarzeniu. Gdy tylko mama i ona się uspokoiły, wyszła z mieszkania z zapuchniętymi oczami i uśmiechem.

Natknęła się na Pierre'a przy bramie nekropolii.

Chłopak uśmiechnął się do niej promiennie i pocałował mocno, otaczając ją ramieniem. Mimo delikatnego ukłucia strachu wiedział, że zrobi wszystko, by nie zranić tej kruchej dziewczyny.

- Dotarłaś tu bez obstawy? - zażartował.

- Drżałam całą drogę - odpowiedziała z uśmiechem, ale zaraz spoważniała. - Poszedłbyś ze mną na grób Viviane? Chciałabym jej coś powiedzieć.

Milczeli aż do grobu dziewczyny, gdzie spotkali Marcela i Philippe'a. Zatrzymali się przy chłopakach, lecz zachowali ciszę.

Camille w myślach zwierzała się przyjaciółce z wydarzeń minionej nocy, a na jej twarzy wykwitał lekki rumieniec.

Pierre przeproszał Viviane za to, że nie przyszedł na jej pogrzeb, teraz było mu wstyd. Obiecał spróbować ją zastąpić w sprawowaniu pieczy nad Camille.

Philippe także wyznawał przed zmarłą swoje winy

i żałował wszystkich lat spędzonych z Brigitte.

Jedynie Marcel nie obwiniał się za śmierć dziewczyny. Wiedział, że zrobił wszystko, co mógł. Rozumiał ją. Wiedział, dlaczego tak postąpiła, i był przekonany, że żadne działania z niczyjej strony nie zmieniłyby jej decyzji.

Nikt nie był świadomy porozumienia, które zapanowało pomiędzy nimi, ale wszyscy wpatrywali się w nakreślony kredą napis. Ciszę przerwały dopiero nieśmiałe dźwięki gitary. Wszyscy spojrzeli na Pierre'a i zgodnie zaintonowali, by rozładować zaistniałe między nimi napięcie:

*I can still recall
Our last summer
I still see it all
Walks along the Seine
Laughing in the rain
Our last summer
Memories that remain*

Po raz kolejny pomogła im muzyka. Kontynuowali więc, by nie zepsuć atmosfery. Śpiew był pełen nostalgii, ale także nadziei na lepszą przyszłość. Byli nim tak pochłonięci, że wydawało im się, iż słyszą głos Viviane we wspólnej polifonii:

*I can still recall
Our last summer
I still see it all
In the tourist jam*

'Round the Notre Dame
Our last summer
Walking hand in hand
Paris restaurants
Our last summer
Morning croissants
Living for the day
Worries far away
Our last summer
We could laugh
And play^[20]

Jakby umówieni, wszyscy przerwali w tym miejscu. Kolejna zwrotka mówiła o przyszłości, a oni nie chcieli jej znać. Za dobrze wiedzieli, że może jej nie być.

Znów zapadło milczenie. Obecność Viviane była wręcz namacalna. Przerazało ich to, ale jednocześnie dodawało otuchy. Wiedzieli, że ona wciąż jest z nimi.

- Chyba mamy nowe miejsce - odezwał się Pierre.

Wszyscy spojrzeli na niego jakby wyrwani z transu.

- Pożegnajmy Jima - zaproponowała Camille. - Viviane by tego chciała, za dużo czasu tam spędziliśmy, żeby teraz tak po prostu o nim zapomnieć.

Rozejrzała się po zebranych, nikt jednak nie uczynił żadnego kroku. Sama ruszyła więc w stronę bramy cmentarnej. Dopiero wtedy pozostali podążyli za nią.

Przez całą drogę do Père-Lachaise nikt się nie odezwał.

EPILOG

Stali wokół grobu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Każdy z nich był skrępowany. Musieli pożegnać się z miejscem, w którym zaczęła się ich historia. Było im wstyd przed Morrisonem, chociaż jakiś głos w głowach mówił im, że to niedorzeczne. Nie wiedzieli, jak mają wyjaśnić to, że nagle go zostawiają. Pierre znów sięgnął po gitarę i zaśpiewał:

This is the end

Beautiful friend

This is the end

My only friend, the end^[21]

Głos mu się załamał, nie był w stanie dalej śpiewać. Szybkim gestem otarł łzę z policzka.

To tutaj Pierre odkrył, że nie wszyscy ludzie są źli. Mógł sobie tylko wyobrazić, co czuje Camille, żegnając to miejsce po tylu latach.

Dziewczyna, jakby znając jego myśli, siąknęła nosem, przypominając sobie wszystkie chwile spędzone tu z przyjaciółką, która być może śpiewa teraz ze swoim idolem

i opowiada mu o tym, co robiła w miejscu jego pochówku.

Marcel pomyślał, że to tu spotkał swój najważniejszy zeszyt, zawsze gotowy do wchłonięcia wszystkich jego myśli, i poczuł, jak kręci mu się w głowie.

Philippe wpatrywał się tylko tępo w płytę nagrobną, mając przed oczami ostatnie chwile, jakie spędził tu z dziewczyną, której pragnął, a która nigdy już nie będzie jego. Chwile, które spędzili na krzyku i wzajemnym obrażaniu.

Pogrążeni w myślach stali nad miejscem, które łączyło ich przeszłość i wyznaczyło przyszłość. Miejscem, co do którego wiedzieli, że nie dadzą rady doń wrócić, bo za dużo by ich to kosztowało.

Każde z nich odczytywało i interpretowało na swój sposób napis na pomniku, próbując wyryć go jak najdokładniej w pamięci, by nigdy nie zapomnieć, gdzie zgubili i odnaleźli siebie:

KATA TON DAIMONA EAYTOY.

KONIEC

Podziękowania

Praca nad książką była dla mnie niesamowitą przygodą, której jednak nie mogłabym przeżyć bez pomocy wspierających mnie osób.

Najbardziej chciałabym podziękować rodzicom, którzy zawsze przy mnie byli.

Za pierwsze recenzje i bezkompromisową szczerść dziękuję Kubie, który znosił dzielnie wszystkie moje zagniewane miny.

Powinnam zwrócić się do wszystkich, którzy dostarczyli mi pomysłów i motywacji, kiedy zniechęcona odchodziłam od kartki i mówiłam, że „to wszystko nie ma sensu”, ale zabrakłoby dla nich tu miejsca. Oni i tak wiedzą, jak wiele z zapisanych stron im zawdzięczam.

Przypisy

- [1] "No woman no cry" wyk. Bob Marley and The Wailers, aut. B. Marley, V. Ford
- [2] "People are strange" wyk. The Doors, aut. J. Morrison, R. Krieger
- [3] "You know I'm no good" wyk. Amy Winehouse, aut. Amy Winehouse
- [4] "I'll be there" wyk. The Jackson 5, aut. B. Gordy, B. West, W. Hutch, H. Davis
- [5] "All you need is love" wyk. The Beatles, aut. J. Lennon, P. McCartney
- [6] "Can't buy me love" wyk. The Beatles, aut. J. Lennon, P. McCartney
- [7] "Rehab" wyk. Amy Winehouse, aut. Amy Winehouse
- [8] "I want to hold your hand" wyk. The Beatles, aut. J. Lennon, P. McCartney
- [9] "Il est cinq heures, Paris s'éveille" wyk. Jacques Dutronc, aut. J. Lanzmann, A. Segalen, J. Dutronc
- [10] "Creep" wyk. Radiohead, aut. T. Yorke, E. O'Brien, J. Greenwood, C. Greenwood, P. Selway, A. Hammond, M. Hazlewood
- [11] "I wanna be loved by you" wyk. Marilyn Monroe, aut. H. Stothart, H. Ruby, B. Kalmar
- [12] "Satisfied mind" wyk. Bob Dylan, aut. B. Dylan
- [13] "Love is a losing game" wyk. Amy Winehouse, aut. A. Winehouse, M. Ronson
- [14] "Starman" wyk. David Bowie, aut. David Bowie
- [15] "I don't want to grow up" wyk. Ramones, aut. T. Waits, wyk. org. T. Waits
- [16] "I want to know what love is" wyk. Foreigner, aut. M. Jones
- [17] "Sous le ciel de Paris" wyk. Edith Piaf, aut. H. Giraud, J. Drejac
- [18] "Deadly beauty" wyk. Faces without names, aut. A. Falk
- [19] Patrz: s. 127
- [20] "Our last summer" wyk. Abba, aut. B. Andersson, B. Ulvaeus
- [21] "The end" wyk. The Doors, aut. J. Morrison, R. Manzarek, R. Krieger, J. Densmore

Niepokorni

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-509-2

© Natalia Płonka i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Dariusz Pohl

KOREKTA: Paweł Pomianek

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

